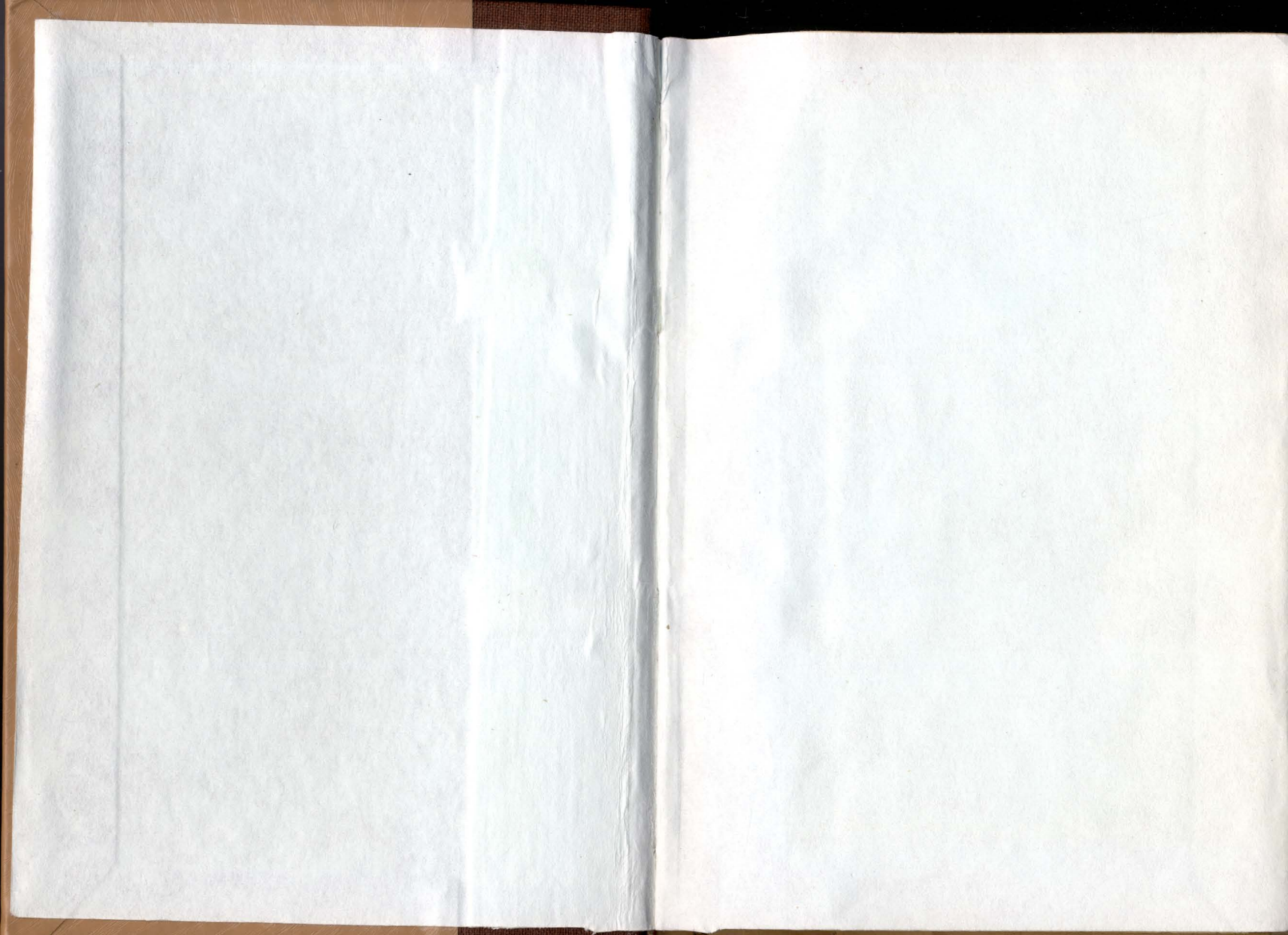






itala.

TANIE
ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI
ELIZY ORZESZKOWEJ.

Tom XI.
P a n G r a b a.
część II.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy Świat Nr. 39.
1884.

ELIZA ORZESZKOWA.

PAN GRABA.

POWIEŚĆ
w trzech częściach.

Część druga.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy Świat Nr. 39.
1884.



KOMPUTER

884-2

821.162.1-314.2

Дозволено цензурою

Варшава 15 Октября 1884 года.



wp.



0.8.2156.4

CZĘŚĆ II.

Muchy w pajęczynie.

I.

Są w mowie ludzkiej wyrazy, zamykające w sobie miliony innych; zaklinają one dusze ludzkie potęgą swojej treści, stawiają przed oczy mnóstwo obrazów i napełniają głowę mnóstwem myśli.

Jednym z wyrazów takich są słowa: *nazajutrz po ślubie*.

To: *nazajutrz po ślubie* mówi o szczęściu, miłości i nadziei, o najgorętszych rozkoszach życia i najzaciejszych poczuciach duszy, o uniesieniach obecnych, wśród których aniołowie do niebios dwoje ludzi biorą, i o przyszłym cieple rodzinném, wśród którego wzrastać ma i rozwijać się pokolenie młode — nadzieja świata. W wyrazie tym przedchwilowa przeszłość i daleka przyszłość łączą się w magicznym umyśle. Wszystko, co będzie, niczém się wydaje w porównaniu z tém, co było, i wszystko, co było, niczém jest wobec tego, co będzie. Po-za wyrazem tym widnieje czoło męczyzny, opromienione szczęściem

i dumą bez granic, i spuszczone oczy kobiety, pod których powiekami żar miłości stacza walkę ze wstydem dziewiczym. Po-za wyrazem tym okazuje się ubogi bogatszym od bogacza, i bogacz uboższym od nędzarza. Wyraz ten stoi wśród życia ludzkiego, jak brama, owinięta kwiatami; za nią i przed nią pustynia być może i ciernie, ale ona sama kwitnie, jak pełna róż oaza. Wkoło wyrazu tego unosi się tysiące dumań i rojeń, w które z radością zapuszcza wzrok wieszcz i myśliciel. Wyraz ten przedstawia pierwszy kamień do budowania rodziny, a więc świata cząstki; w nim zlewają się do jednego koryta dwa źródła życiowe, osobno dotąd płynące; jeśli w jednym z nich męty, w drugim fale przezyste; męty brudzą kryształ, lub kryształ czyści męty, a zawsze rozpoczyna się wielka praca oddziaływania, przetwarzania tego, co już stworzone.

Kamilla nazajutrz po swym ślubie siedziała w pięknym budoarze, z czołem na dłoni schyloném. W pokoju, przybranym z miękkim bogactwem, cisza panowała zupełna, tylko wielki brązowy zegar, wskazując południową godzinę, metalicznym monotonnym dźwiękiem ogłaszał upływające sekundy. Kamilla miała twarz bladą, pokrytą uroczystym spokojem i skupieniem ducha, a zamyślane jęz czoło sztucznie ożywiało różowy odblask, spływający z ciężkich ponsowych firanek, zdobiących wysokie okna.

O kilka kroków od niej otworzyły się drzwi, zdo-

bane w złocene rzeźby, rozchyliła się zasłaniająca je ponsowa portyera, i w budoarze stanął mężczyzna, owinięty w bogaty szlafrok ze wschodnim deseniem, o włosach gęsto przypruszonych siwizną, o ustach bladych, drgających, i twarzy obleczonej niemłą żółtością.

Stanął u drzwi i wlepił w zamyśloną kobietę wzrok szyderski, a zarazem pełen gorącej, lubo tajonej namietności, a podobny uśmiech roztworzył mu usta i ukazał dwa rzędy białych, bardzo ostrych zębów. Kamilla podniosła oczy, spojrzała na stojącego mężczyznę na wpół ze zdziwieniem i przerażeniem, i machinalnie podniosła się z kozetki.

Ostry śmiech rozległ się w budoarze.

— Nie poznałaś mnie, droga żono! — rzekł, śmiejąc się mężczyzna, i wyciągnął ku niej ramiona.

Kamilla wpatrzyła się w niego osłupiałym wzrokiem i cofając się, wyjąknęła:

— Boże! co to jest? cóż to za zmiana?

— O! i cóż w tém ważnego? — rzekł, niedbale i z uśmiechem postępując ku niej mężczyzna — nie poznałaś własnego męża, a on nie ma ci tego wcale za złe. Uspokój się i usiądź, a wytłómaczę ci całe zjawisko, które zresztą, na honor, nie ma w sobie nic dziwnego, ani ważnego!

To mówiąc, wysunął z szerokiego rękawa szlafrocka bardzo białą chudą rękę, ujął nią delikatnie rękę

Kamilli i, poprowadziwszy do kozetki, na której przed chwilą siedziała, rzekł z ukłonem:

— Usiądź, moja droga, i ja usiądę, bo prowadzenie konwersacyi w stojącej postawie jest niedogodnym, zwłaszcza, gdy rozmowa długo się ma przeciągać.

Kamilla usiadła automatycznie, jednostajnie osłupiałym wzrokiem wpatrzona w twarz męża. On usiadł naprzeciw niej w fotelu, oparł się wygodnie, popatrzył na nią przez chwilę w milczeniu i zaczął mówić:

— Nie poznałaś mnie przed chwilą, kochana żono, lubo, na honor, jestem tym samym Kalixtem Grabą, który o miłość twą ubiegał się przez kilka miesięcy, i któremu wczoraj zaprzysięgał na wieki serce twe i wierność małżeńską, z dodatkiem posłuszeństwa, winnego od żony mężowi. Wszakże nie mam ci za złe, żeś nie wierzyła oczom swym, dziś mnie ujrzawszy, bo dotąd widywałaś mnie w masce fizycznej i moralnej, i nie dziw, że, gdy ją zdjąłem, patrzyłaś na mnie tak, jak gdybyś mnie pierwszy raz widziała. Komiczne to jest w istocie; to też śmieję się z tego i radzę ci, abyś tak samo czyniła.

Zaśmiał się i umilkł na chwilę. Kamilla siedziała, ciągle nieruchoma, jednostajnie w niego wpatrzona, tylko z wolna, automatycznie podniosła rękę i położyła ją na sercu. Graba, po kilku sekundach milczenia, mówił dalej:

— U wstępu muszę uprzedzić cię, kochana żono, abyś bezpotrzebnie nie przerażała się oznakami starości, jakie spostrzegasz w téj chwili w mojej osobie. Nie jestem stary, bo mam lat trzydzieści sześć, a jeśli w stanie, w jakim mnie teraz widzisz, wyglądam na więcej, wina to... różnych cierpień i dolegliwości życia...

Ostatnie wyrazy wymówił z ironicznym westchnieniem, i ciągnął dalej:

— Bo, widzisz, nie tak nie zużywa człowieka i nie prowadzi go do przedwczesnej starości, jak cierpienia i troski. Ja, wychowany w zbytkach i próżnowaniu, nieraz w życiu musiałem sobie ciężko łamać głowę nad tém, jakby tym nałogom mój młodości zawsze zadość uczynić — ztąd miałem troski i włosy mi posiwiały. Następnie chorowałem wiele i często, pędziłem dwa razy więcej bezsennych, niż spokojnych nocy, i dlatego cera moja straciła świeży i zdrowy kolor, wiekowi memu właściwy; ciągle, a różnorodne wrażenia wycisnęły mi na czole i skroni te oto zmarszczki, które dziś po raz pierwszy widzisz, i dyabelnie osłabiły mi jakiś nerw w twarzy, tak, że jedno z moich oczu przyprowadza do ciągłego drgania. Z nałyków młodzieńczego wdzięku zostały mi tylko nie naruszone zdrowe, a ostre zęby, jakby dla pokazania ludziom, że każdego, kto-by mi niezręcznie włożył w drogę, potrafię do krwi ukąsić.

Jakby na potwierdzenie słów swoich, zaśmiał się

głośno i przeciągle, ukazując przez to dwa rzędy białych i ostrych zębów, poczem mówił:

— Smutna metamorfoza powierzchowności mojej zaszła już przed kilku laty, to jest wtedy, gdy jeszcze niespełna trzech krzyżyków żywot niósł na moich barkach. Być młodym w istocie, a starym zewnętrznie, nie miła to rzecz, przyznasz sama; ale, dzięki ulepszeniom i wynalazkom nowego wieku, jest na to zło rada, a ja nie omieszkalem z niej korzystać. Biegli fryzjerzy dostarczyli mi farby do włosów, pod którą zniknęła siwizna; bardzo niewinny i wybornie chemicznymi sposobami sporządzony kosmetyk pokrył żółtość mojej cery, zagładził zmarszczki i przygładkości nadał twarzy mej tę matową błądź, która dodaje jej coś niepospolitego i nazywa się w świecie interesującą. Oto więc moja maska fizyczna, której przywdzianie kosztuje mnie codziennie godzinę pracy przy toalecie, ale dostarcza wzajem powodzenia u płci pięknej, i pomaga do zdobywania wpływu nad ludźmi, niezmiernie mi potrzebnego. Bo jeszcze nie pojmujesz w zupełności, jakie ogromne w świecie znaczenie ma powierzchowność. Jest to paszport, za którego ukazaniem, jeśli dobrze napisany, przestąpisz bramy ludzkiej sympatii i ufności; jest to rekomendacyjny list, bez którego nie kołacz darmo do serc i umysłów ludzkich. Jak pożyjesz dłużej i poznasz świat, sama przekonasz się o tej prawdzie, tymczasem wierz mi na słowo, jako doświadczonemu ze wszech miar czło-

wiekowi. Więc noszę maskę, którą zdejmuję wtedy tylko, gdy jestem sam z sobą; a ponieważ mąż i żona są nierozdzielalną jednością, osądziłem, że i tobie mogę się bez niej ukazać, skoro już moją żonę zostałaś. Nie sądź wreszcie, abym w tym względzie wyjątkiem był, lub oryginałem; bynajmniej, wszyscy ludzie przechadzają się po świecie w maskach, które zdejmują w swoich pokojach: nie wszystkie wprowadzie maski są takie, jak moja, ale nie idzie o różnicę, lecz o rzecz samą. Zapewne nie wiesz jeszcze i o tej oklepanej prawdzie maskowania się ludzkiego, ale, gdy pożyjesz dłużej i poznasz świat, przekonasz się o niej, jak i o wielu innych jeszcze prawdach, o których ani się śni anielskim duszyczkom pensjonarek.

Kamilla siedziała ciągle nieruchoma, dłoń jej tylko coraz silniej cisnęła się do serca. Graba, po chwili milczenia, mówił dalej:

— Wytlómaczywszy ci zmiany, jakie spostrzegłaś w mojej powierzchowności, i dla których z trudnością poznać mnie mogłaś—co, wyznać muszę, nie przestanie mnie nigdy rozśmieszać, powinienem ci też ukazać i wytlómaczyć moją maskę moralną. Nie uczynię może tego w zupełności, bo zbyt jesteś niedoświadczona, abyś mnie pojął i godnie ocenić mogła; powiem ci tylko tyle, ile niezbędnem jest, abyś wiedziała. Wnosząc z tego, jakim mnie dotąd widziałaś, sądzisz zapewne, że jestem człowiekiem sentymentalnym, pełnym wzniosłych uczuć i szlachetnych dążeń.

Jesteś w błędzie. Uczciwość, szlachetność, wspaniałość, myślność, poetyczność i tym podobne objawy, które dałem ci w sobie spostrzegać, były także maską, jak czarne włosy moje i pociągająca cera twarzy. Jak świeżość i wdzięk fizyczny, tak i te ozdóbki sercowe, czy, jak je tam zwa niektórzy, duchowe, starły się ze mnie od dawna; nie wiem nawet, czy kiedykolwiek je posiadałem: — tak sztucznie i wybornie kształtowaną była od kolebki natura moja. Dziś jestem człowiekiem, którego rozkoszają jest próżnowanie, a jedynym celem: dogadzanie namiętnościom swym i nawykniom. Sumienie moje, to moje własne *ja*, a dewiza życia: — *użycie i żart*. — Gdy przestaniesz być naiwnym dzieckiem, jakim dziś jesteś, i będziesz zdolną do dokładnego pojęcia mnie, wtajemniczę cię w szczegóły mojej exystencji przeszłej i obecnej, a sama przyznasz mi, w braku czego innego, wielką przynajmniej logikę i konsekwentność postępowania i zasad. Teraz nadaremnie-bym się rozwlekał w tym przedmiocie, bo-byś mnie nie zrozumiała; powiem ci więc tylko, dlaczego ubrałem się dla ciebie w maskę moralną, i co mnie spowodowało do ożenienia się z tobą.

Z piersi Kamilli wydarł się krótki, głuchy jęk, druga ręka jęj podniosła się automatycznie i przycisnęła pierwszą, leżącą na sercu; Kalixt zaś, nie zmieniając wyrazu twarzy ani postawy, mówił dalej:

— Od pierwszój chwili, gdy cię zobaczyłem, po-

alaś mi się bardzo: masz rodzaj powierzchowno-
który mnie zawsze najbardziej pociągał, a nawet
o mi przyznać ci wyższość w tym względzie nad
innemi kobietami, do których się zbliżałem, lubo ta-
kiego było niemało. Powiedziałem sobie, że musisz
być moją jakimkolwiek sposobem. Gdybyś była bo-
gatą, pomyślał-bym może od razu o ożenieniu się z to-
bą, ponieważ zaś byłaś ubogą dziewczyną, zamierza-
łem rozkochać cię w sobie, bez wszelkich kościelnych
ceremonii i społecznych sankcyi. Wiész wszystkie
okoliczności: spotkałem w tobie upór, a zanadto zna-
łem ludzi, abym miał łudzić się, że potrafię go kiedy-
kolwiek przełamać. Bądź co bądź, jednak swego do-
stąpić musiałem, bom był postanowił, bo pragnąłem...
nie rozdrażniłaś nietylko już pociąg mój do ciebie, ale
moją miłość własną. Piérwszy raz w życiu zdarzy-
ło mi się, że otrzymać nie mogłem tego, co w danęj
chwili było celem najgwałtowniejszego żądania mego.
Zaspokojeniu mych chęci została mi jedna droga—
ożenienie się z tobą. Pomyślałem nad tém i uzna-
łem, że z wielu względów przyniesie mi ono korzyści
i przyjemności. Osądziłem nawet, że wygodniój mi
będzie z tém, iż jesteś ubogą, niż gdybyś była boga-
tą, bo-byś posiadała miliony. Bogata kobieta kre-
wuje niejako człowieka więcej, niż uboga. Tak jak
nie możesz być zależysz całkiem ode mnie i *musisz* być taką,
a nie inaczej; a gdybyś posiadała własny
dusz, mogła-byś oprzeć się na bogactwie swém,

lub jakich tam koligacjach, i paraliżować nieraz czynności i interesa moje. I oto dla tych wszystkich połączonej okoliczności ożeniłem się z tobą, co, miło mi wyznać, przynosi mi niezmierzone a wszechchronne zadowolenie, a tobie da szczęście lub nieszczęście, stosownie do dozy zdrowego rozsądku, jakim się w dalszém pożyciu naszém rządzić zechcesz.

Umilkł na chwilę, a Kamilla siedziała ciągle nieruchoma, z rękoma na sercu, tylko oczy jęj z osłupiałych stawały się obłąkanemi, a z czoła nawet odbłask ponosowej firanki nie spędzał śmiertelnęj bladeści.

Nagle roztworzyła dłonie, załamała je i przytłumionym, ale rozdzierającym głosem, krzyknęła:

— Ależ to niegodziwość!

I znowu została jak skamieniała, z załamanemi rękoma, z błędnym wzrokiem, wlepionym w twarz męża.

Graba uśmiechnął się.

— Raz na zawsze proszę cię, kochana żono — wyrzekł z wolna spokojnym głosem — abyś w rozmowach ze mną unikała wszelkich podobnie brzmiących wyrazów i frazesów. Pathos miłém i zajmującym jest w teatrze, w budoarze, wśród pogadanki małżeńskich, staje się śmieszném i przeszkadza do dokładnego porozumienia się. Miej to zawsze w swęj pamięci, że jakkolwiek mnie nazwiesz, nie zmieni to wcale stanu rzeczy, lecz owszem, pogorszyć go może, bo odbierze ci zimną krew, której zawsze potrzebować

będę. Zresztą, pojęcie o szlachetności, nieścisłości, zacności, uczciwości, i wszelkich tym połączonych cnotach i wadach, jest bardzo względne; nadzieję, że, gdy przestaniesz być naiwną pen-ka, a pod kierunkiem moim zostaniesz zdrowo kobietą, uznasz sama, że przed chwilą wyrze-niedorzeczność, co najmniej — dzieciństwo. Te-ś, posłuchaj mnie dalej, a nie będę już długo żywał twęj cierpliwości, bo zostaje mi tylko okre- i bliżej nowe twe położenie i zapoznać cię z ko- nemi warunkami twego przyszłego bytu. Graba poprawił się w fotelu, popatrzył z uśmie- na żonę, a widząc, że ona nie zmienia postawy rzuca twarz, dotknął lekko jęj rąk załamanych, wy-
w-
W-
sisz-
jęj-
bie-
wp-
es-
yc-
st-
ól-
z sp-
l-

W — Słuchaj mnie uważnie, piękna żono, bo to, co em, będzie wyrażeniem stanowczęj woli mojęj; ja-ś jest siła woli mojęj, masz najlepszy na sobie kład.

Kamilla wzdrygnęła się i cofnęła ręce, jakby się uila od dotknięcia gadu. Graba, nie zważając na zaczął znowu:

— Jesteś żoną człowieka, któremu przedewszyst- idzie o to, aby w oczach otaczającej publiczno- wydać się bardzo bogatym i aby co najwięcej zbierać około siebie. Dlaczego tak jest, dowiesz otém; teraz zaś, lubo nie znasz moich celów, mu- mi dopomagać, i pod tym względem będę żądał

od ciebie bezwarunkowego posłuszeństwa. An-
 więc chcę, abyś zawsze i wszędzie wyglądała m-
 ką panią, rozumiesz mnie? Masz w swojej ga-
 bie zapasy bogatych strojów, które przygotowa-
 dla ciebie; na rozkazy twe posiadasz powozy,
 i liczną służbę. Zawsze i wszędzie powinnaś
 na wykwintnie i bogato; piechotą wychodzić z-
 nigdy nie będziesz, chyba na ranną mszę do kościoła,
 bo to się używa między bogatymi ludźmi, wsz-
 zaś inne piesze wędrowki po mieście techną miesz-
 stwem i ubóstwem, którego najlżejsze nawet po-
 są ci przeze mnie wzbronione. *Powtóre:* życze-
 mojm jest, abyś była miłą i ujmującą gospod-
 mego domu, aby obecność twoja nie odstraszała,
 przyciągała do mnie gości, abyś w oczach tych, co
 otaczać będą, starała się być piękną i ujmującą;
 wszystkich odosobnień się, zaniechaj, zewn-
 nych powabów i braku uprzejmości dla osób, ko-
 będą u mnie gościli, najbardziej, stanowczo ci za-
 zuję. *Potrzebie:* wszystko, co się dzieć będzie mię-
 nami, wszystko, co we mnie i w mojm życiu sposta-
 żesz, a o czém nie będę chciał, aby inni wiedzieli,
 być tajemnicą, zamkniętą w tobie, jak w miłości-
 mogile; wszelkie rzucania się, skargi, lub wielono-
 stwo, sprowadzą ci tylko przykrości domowe, a wa-
 czém nie zmieniają położenia twego. *Poczwarte:* jato-
 kolwiek będą uczucia twe dla mnie — niechęć, a
 a choćby nienawistne, postaram się, abym o nich

cię dzięk, bo mam dla ciebie wielką słabość, którą, na-
 honor, mógł-bym nazwać miłością, gdybym był choć
 drobnie skłonniejszy do deklamacyi; obojętność więc
 woja, a tém bardziej niechęć, sprawiła-by mi przy-
 krość, a ja przykrości żadnej znosić nie lubię, i za
 każdą wyrządzoną mam zwyczaj podwójną odpłacać.
 Tak więc wobec ludzi masz okazywać się bogatą pa-
 nią, tak sam na sam ze mną powinnaś być uległą
 moim żądaniom, dogodną mi żoną. Takie są moje
 wymagania, które zaraz po ślubie objawić ci uważa-
 em za potrzebne. Jeżeli będziesz dość rozsądną, abyś
 e wiernie spełniać, będziemy żyli z sobą w ewange-
 licznej zgodzie i miłości, godnej pasterskich czasów;
 przytém będziesz miała wygodę, a nawet światową
 ekystencją, ciągle towarzystwo i męża uwielbiającego
 warz, kształtną kibić, gorącą cerę i włoskie oczy.
 W przeciwnym razie sama będziesz winna, jeżeli zmu-
 szysz mnie do zatruwania ci spokoju okazywaniem mo-
 ej niezłomnej woli. Dziś wymagam jeszcze od cie-
 bie automatycznego tylko posłuszeństwa, ale gdy pod
 wpływem moim i otoczenia, jakie ci stworzę, dojrze-
 esz umysłem i poglądem na życie, wyłożę ci teorią
 yciową, jaką się rządę, a nie wątpię, że ją pojmiesz
 staniesz mi się dzielną pomocnicą, a szczerą przyja-
 ółką.

Wymawiając ostatnie wyrazy, Graba powstał
 spojrzawszy na zegarek.

— Zagadałem się z tobą, kochana żono — rzekł

— a późno już jest, i na godzinę pierwszą obiecałem się do jednego z moich przyjaciół. Do widzenia więc; idę ubierać się, i ty uczyn to samo. Jeśli chcesz, możesz pojechać do swojej matki;— na obiad, który będziemy jadali o siódmej godzinie, zjedziemy się do domu. Na honor, miło mi będzie wracać z myślą, że cię tu znajdę i uścisnąć będę miał prawo. Jedziesz kareta, a ja koczem; moim nieodstępnym lokajem jest Michałek, do twoich usług w każdej chwili gotów kamerdyner Józef. Może każesz zadzwonić na swoje pannę służącą?

Kamilla nie odpowiedziała i nie zmieniała postawy, co widząc Graba, cofnął rękę, którą był wyciągnął do taśmy dzwonka, i rzekł:

— Widzę, że obecność tu czyjakolwiek, choćby nawet twój służący, była-by w tej chwili wcale niepotrzebna. Jesteś zdziwiona i bardzo naturalnie, ale trzeba, abyś ze zdziwienia tego ochłonęła, nim się komukolwiek pokażesz. Zostań więc sama i myśl o wszystkim, coś słyszała ode mnie. Mam nadzieję, że po kilku godzinach znajdę cię w dobrym humorze, z którym ci jest tak pięknie, i nie złorzeczącą bynajmniej losowi, skazującemu cię na jeżdżenie kareta-mi, noszenie bogatych sukien i przyjmowanie jak największej liczby gości, a w dodatku na posiadanie męża, zachwyconego twemi wdziękami i całą twą uroczą osobą. Pogódź się więc z tym losem, który wielu kobietom nie wydał-by się okrutnym, ubierz się pięknie,

odwiedź matkę, a wracaj mi zdrowa i wesół. Do widzenia.

Przesłał żonie całus końcem palców i wyszedł.

Gdy za Grabą zapadła gruba portyera i drzwi się zamknęły, cisza zupełna zaległa znowu budoar; trwała pół godziny i godzinę całą, a gdyby kto podsłuchiwał za drzwiami lub portyerą, nie domyślił-by się w tym pokoju istnienia jakiegokolwiek żyjącej osoby.

Kamilla siedziała na kozetce, nieruchoma jak posąg, tylko głowa jej opadła na piersi i ręce zwisły bezwładnie między fałdami sukni. Z twarzy jej niktby się nie domyślił, czy myślała o czémkolwiek, tylko zaciśnięte usta świadczyły o strasznej wewnętrznej boleści. Po godzinie powstała nagle, postąpiła na środek pokoju, chwiejąc się jak senna, i jak senna dotknęła rękoma swą twarz, ramion i włosów. Potém z wolna podniosła głowę, obejrzała się wkoło, raz jeszcze dotknęła ramion swoich, dotknęła ich silnie, otworzyła szeroko oczy i głucho krzyknęła:

— Nie, ja nie śpię!

Stała jak wryta na środku, opuściła czoło na zaciśnięte i splecione palce, a pierś jej pracowała gwałtownie ciężkim oddechem.

I znowu cisza panowała w budoarze pół godziny, może godzinę całą.

Nagle, młoda kobieta podniosła twarz, zarumienioną do szkarłatu, z oczyma błyszczącymi straszynym

ogniem, rozwarła i spłotła znowu ramiona, a z ust jęj gorącym potokiem wybiegały słowa:

— Oszukana! zdeptana! zgubiona! oszukana! oszukana!

Z ostatnim wykrzykiem poskoczyła ku oknu. Okno to, położone na pierwszym piętrze, wychodziło na brukowany dziedziniec. Otworzyła je ze stukiem, wyjrzała i krzyknęła, jak pierwszemu:

— Tam kamienie i śmierć!

Wymawiając ostatni wyraz, postawiła drobną stopę na oknie, obu rękoma pochwyciła silnie ramy i uniosła się do góry. Nagle wstrzymała się, opuściła jedną rękę i wyrzekła z wolna:

— Matka moja!

Z głuchym jękiem zsunęła na ziemię stopę, już postawioną na oknie, i w tył pochyliła głowę tak, że aż spadły z niej grube warkocze i opłynęły jęj plecy. Do tak odrzuconej głowy z całą siłą przycisnęła dłoń, a drugą ręką trzymając jeszcze ramę okna, stała nieruchoma.

I znowu cisza zupełna była w budoarze pół godziny, może godzinę całą.

Powoli kibić Kamilli chyliła się i gięła coraz bardziej, jedna ręka odpadła od głowy, drugą wypuściła ramę okna, ugięły się kolana, pierś schyliła się ku ziemi i czoło uderzyło o posadzkę.

Ktoby wtedy podsłuchiwał pod drzwiami, lub portyera budoaru, usłyszał-by ciężkie łkanie, wydobywa-

jące się co kilka chwil z piersi kobiecęj. Z razu łkania te były rzadkie i groźne, wyraźnie łez pozbawione, do jęków bardziej podobne, niż do płaczu; ale stopniowo stawały się coraz częstszymi i łez pełniejszymi, aż się zmieniły w długie, ciche szlochanie. W końcu i łkania umilkły, i nikt-by nie odgadł, czy kobieta z kibicią złamaną, rękoma splecionymi nad głową i czołem przyciśniętym do posadzki, była zemdląłą, czy przytomną, senną, czy obudzoną, czy płakała, modliła się, lub rozmyślała.

Zmrok krótkiego dnia jesieni zapadł w budoarze zupełnie, z-za ponsowych firanek przedzierało się do pokoju szare światło wieczoru. Pod oknem podniosła się zwolna, biało ubrana postać kobieca i, przeszedłszy przez pokój, pociągnęła taśmę od dzwonka.

W drzwiach pojawił się kamerdyner.

— Która godzina? — ozwał się głos kobiecy, cichy, ale spokojny.

— Pół do siódmego — odparł służący.

— Czy mąż mój nie wrócił jeszcze? — zapytał głos i zadrżał lekko.

— Jeszcze nie, jaśnie pani.

— Kazesz natychmiast zajechać karecie i pojedziesz ze mną, a Michałowi powiesz, aby uwiadomił mego męża, gdy wróci, że cały wieczór przepędzę u mojej matki — rzekła Kamilla powoli i wyraźnie.

— Jaśnie pani nie będzie u siebie na obiedzie? — zapytał kamerdyner.

— Nie — odrzekła Kamilla i dodała: — chcęjechać za pięć minut.

Sługa wyszedł, a Kamilla zbliżyła się do zwierciadła, zapaliła przed niem dwie świece i, wzięwszy flakon z orzeźwiającym płynem, starannie otarła ze swęjtwarzy ślady łez. Gdy turkot karety dał się słyszećna dziedzińcu, podniosła głowę i zamyśliła się. Na twarz jęj wystąpił wyraz męztwa i ofiary. Zakryła dłóni oczy i rzekła cicho:

— O, moja matko! ty o tęp nigdy wiedzieć nie będziesz!

* * *

Tegoż samego dnia, o wczesnej rannęj godzinie, pani G. wyszła ze swęj sypialni i z rozjaśnionęp czołęp usiadła na swęj ulubionęj kanapie. Blade promyki jesiennegosłońca igrały wesoło po jęj bawialnym pokoju, a ona machinalnie wiodła wzrokiem za niemi, jakby ciesząc się ich migotaniem i swawolą. Twarz jęj odmłodziła, na czole ubyłozmarszczek, oczy nabrały blasku, postać wyprostowała się, ruchy stały się rzeźkiami i silniejszymi. Pani G. widziała się uwolnioną od obaw gryzących, które męciły spokój jęj dni i nocy. Jędynaczka została żoną człowieka, o którego uczciwości, honorze i pięknęj duszy, nie wątpiła ani na chwilę; los jęj był zabezpieczony, przyszłość wytknięta, prosta, zdobna we wszystkie pociechy ziemskie.

To dziecie, które, urodzone śródbogactwa, zagro-

żone potęp było ciężkięp ubóstwem, nieustanną pracą, nędzą może — zostało znowu bogatęp; córka człowieka, o którym wspomnienie budziło w jęj sercu cześć, miłość i dumę, odzyskała należne sobie miejsce w rzędzie tych, którzy idą na czełę społeczeństwa, po drogach, pełnych światła inteligencyi i estetycznegowdzięku. Z czasem u łona Kamilli uśmiechnie się dziecina, potęp druga i trzecia, aż grono ślicznych aniołków otoczy tę smukłą, wyniosłą kibić i pocałunkami okryje tę piękną twarz i te wielkie czarne oczy, które przez lat tyle były rozkoszą i miłością matki. Aniołki te, będa to synowie i córki Kamilli: synowie wzrosną na mężnych, szlachetnych i rozumnych ludzi, a córki na piękne i zacne niewiasty; bo czyliż może być inaczej, gdy serca ich i myśli wykształcone będa przez taką matkę, jak Kamilla, przez takiego, jak jęj mąż, ojca. I w oddalonęj, oddalonęj przyszłości, pani G. widziała córkę swą poważną niewiastą, dobiegającą połowy życia swego, niepokalanego cieniem żadnym, niezakłóconego żadnęp nieszczęścięp. Wkoło nięj spokój, dostatek, cześć ludzka, przed nią synowie dorodni i wyniośli, z chwałą rozumu i energii nad czołęp, obok nięj córki z pogodą czystych serc na dziewiczych twarzach. Po nad tą cudowną grupą rodzinnegoszczęścia i rodzinnęj chwały uniesie się radosny i błogosławiony duch matki Kamilli. Tak, duch jęj tylko, bo ona sama zapewne wtedy nie będzie już żyć na ziemi; lecz,

choć jęj ziemską powłoka spóecznie w mogile, Bóg dobry, Bóg wielki, pozwoli zapewne jęj duchowi unosić się nad światem i patrzeć na szczęście, na miłość, zacność i wielkość tych, którzy są krwią jęj krwi i duszą jęj duszy.

Tak marzyła matka Kamilli i wzrokiem jaśniejącym ściagała słoneczne promyki, które ślizgały się swawolnie po ścianach i posadzce jęj pokoju. Jeden z promyków tych uniósł się z nad ziemi, przebiegł po szybach okna i, przerznawszy światłą atmosferę, skończył się w górze, aż w samém sercu bladę tarczy słonecznej. Wzrok pani G., wiedziony jak nicią, pobiegł też w górę, utonął w błękitach i zaszedł wielką łąą wdzięczności. Złożyła pobożnie ręce, a pierś jęj podniosła się wysoko i przesłała ku niebu westchnienie niewymownych, więc niemych dziękczynień.

Pani G. czuła się u kresu swego istnienia; chwila szczęścia, a lata niedoli — oto było jęj życie. Czyliż więc dziwna, że uwierzyła, iż Opatrzność nagrodzić chciała córce jęj to, co odebrała jęj samęj? Czyliż dziwna, że serce jęj, które tyle prześniło i przeplakało, przebolało i zrzekło się, uwierzyło nareszcie w ostatni sen przedśmiertny? Pani G. z pokorą i wdzięcznością niemal dziękowała Stwórcy za to, że prawica Jego przez całe jęj życie budziła ją ze snów błogich do srogięj rzeczywistości, bo była pewną, pewną, że nie zbudzi już jęj ze snu ostatniego, wysnio-

nego nad brzegiem mogiły, ze snu, w którym widziała szczęście córki jedynęj.

Uchyliły się ostrożnie drzwi pokoju i wsunęła się przez nie Kazia z listem w ręku.

— List z poczty do pani — rzekła, oddając pismo.

Matka Kamilli wzięła list do ręki i trzymała go długo, utkwivszy wzrok w jego kopertę. Zkąd przychodziło pismo to? kto je pisał? nie wiedziała, ani się domyślała nawet.

Charakter pisma na kopercie był nieznanym, stempel pocztowy nosił nazwę miasta, położonego w gubernii M., lecz odległego o mil kilkadziesiąt. Nie miała żadnego powodu posadzać listu tego o znaczenie złowróźbne, najlżejszego nie miała powodu lękać się o jego treść, a jednak trzymała i obracała go w ręku, nie łamiąc pieczęci.

Przed chwilą była tak szczęśliwą, serce jęj tonęło w najwznioślejszych i najrozkoszniejszych macierzyńskich marzeniach, a dusza uniosła się w niebo na skrzydłach podzięk, słańej dobremu Bogu. Czemuż z tém marzeniem swojém, ze szczęściem i z tą błogą modlitwą w piersi, nie mogła pozostać sam na sam długo, długo? Czemu w pasmo myśli jęj i uczuć mieszał się list ten, obcą pisany ręką? Czego chcą od nięj? któż się do nięj odzywa? czy może dawny przyjaciel jaki, co się zaparł, gdy była w ubóztwie, a powraca do nięj wraz z fortuną? czy może ktoś ży-

czliwy, a z dawna znajomy, winszuje jój świetnego zamążpójścia córki.

Przy téj ostatniej myśli, pani G. złamała pieczęć listu, poprawiła okulary i zaczęła czytać pismo następującej treści:

„Szanowna pani!

„Zaczynając pisać list ten, drzę z obawy, aby on zapóźno rąk twoich nie doszedł; obawa ta tak jest silną, a łączy się z nią tyle innych uczuć, które pani pojmiesz, po odczytaniu tego pisma, że drżąca ręka moja niekształtne kreśli litery, a myśli nie wiążą się w ład należyty. Zaczynając i kończąc czytanie listu tego, lituj się pani nade mną, a daj Boże, aby on zapobiegł temu, iżby się inni nie litowali nad tobą.

„Pani! jestem matką Kalixta Graby, którego zapowiedź przedślubną z córką twą odczytano przed tygodniem. Świadcę się Bogiem, że nie wiedziałam o jego zamiarach, i tylko wypadkiem dowiedziałam się o nich, inaczej dawno-byś już pani miała moje odezwe. Lecz ja nie jestem jedną ze szczęśliwych matek, którym synowie powierzają uczucia serc swych i zamiary przyszłości! Mnie przeznaczono wiecznie niespokojném okiem ścigać syna mego po drogach życia i widzieć go tylko przez mgłę łez.

„Pani! nie oddawaj córki swój memu synowi! dlaczego? o, nie wymagaj szczegółów i obszernych tłómaczeń! miej litość! bom ja matka! Mówię ci tylko, pani, z sercem, w łzach gorzkich skapaném, nie

oddawaj córki swój memu synowi; bo jeśli ona, jak niosą wieści, piękną jest, dobrą i niewinną dziewczicą, popełni się wielkie świętokradztwo i stanie się wielkie nieszczęście.

„Syn mój nie powinien być mężem żadnej kobiety o czystém sercu; jest on najnieszczęśliwszym z nieszczęśliwych, bo idzie najbłędniejszą z błędnych dróg tego świata.

„Ratuj pani swoją córkę, a nade mną i nad synem moim lituj się. Z obecnego postępu mego wnosć możesz, iż nie jestem pozbawiona uczciwości i honoru, a jednak ja to sama zgubiłam mego syna.

„Kochałam go, kochałam go tak, że uczyniłam z niego bóstwo moje, a każdy włoszek z jego głowy był mi relikwią. Ale nieszczęśliwa, bo nierozsądna ta miłość moja, stała się jadem, który zgangrenował jego serce młode, moc zmienił w niemoc, i zabił jego ducha trucizną próżniactwa i podbudzanych przez nią namiętności.

„Pani! nie gardź synem moim; on nie winien. Nie daj mu córki swojej, ale nie gardź nim i nie szkodź mu w opinii świata. Błagam cię o to, jak codziennie błagam potężnego Boga, aby wszystkie winy i występki mego nieszczęśliwego dziecka spadły na moje, nie na jego głowę.

„Niech aniołowie pomsty Bożej zamkną przede mną na wieki bramy zbawienia, bo jam-to zgubiła

i zniszczyła istotność, powierzoną mi przez Stwórcę, bo jam zabiła duszę mego syna.

„A cierpienia moje i bóle krwawe niechaj idą nie na moje, ale jego odkupienie.

„List ten, oblany łzami, które potokiem z piersi méj płyną, jest jednym z mych aktów pokutnych. Niech stanie on przed obliczem Boga i wyjedna jedną chwilę żalu przy skonie mego dziecka.

„Wyliczyłam dnie i sądę, że pismo dojdzie do ciebie, pani, w przeddzień zamierzonego ślubu, a zatem w porę. Będę się o to gorąco modliła.

„Wszystko, co napisałam ci, pani, ma pozostać tajemnicą; powierzam ją szlachetności twój i twemu macierzyńskiemu sercu, które biedne serce moje zrozumieć potrafi.

Matylda Graba”.

Pani G. czytała list ten powoli, ręce jój drżały, usta bladły, a czoło i twarz nabiegały szkarłatną czerwonością.

Kiedy wzrok jój doszedł do ostatniej litery podpisu, papier wypadł z jój palców, wstała, wyprostowała się i krzyknęła:

— Boże wszechmogący!

Potém, chwiejąc się, postąpiła kilka kroków, wyciągnęła ręce, obróciła się kilka razy w kółko, jak osoba, doświadczająca zawrotu głowy, i upadła zemdlna na posadzkę.

Nadbiegła Kazia, przeniosła ją na kanapę i trze-

źwić poczęła. Po kwadransie pani G. otworzyła oczy i bezprzytomnie powiodła ręką po czole.

— Może pani każe posłać po panią Grabinę? — zapytała Kazia.

Na dźwięk tego nazwiska, pani G. nadzwyczajną siłą zerwała się, stanęła wyprostowana i krzyknęła, załamując ręce:

— Oszukał mnie i zgubił moje dziecko!

Spojrzenie jój padło na list, obie ręce przycisnęła do skroni i czytała przez parę minut.

— Zapóźno... zapóźno... zapóźno...

Kazia stała na stronie i patrzyła ze zdumieniem. Pani G. spojrzała na nią, odjęła ręce od skroni i z wysileniem przybrała spokojny wyraz twarzy.

— Idź ztąd — rzekła — i zostaw mnie samą, a jak pani Grabina przyjedzie, nie wspominaj przed nią o tém, że otrzymałam dziś list jakiś, ani o tém, żem zasłaśnia.

Po wyjściu służącej, pani G. zapaliła świecę i przytknęła do promieni rożek nieszczęsnego listu. Gdy papier zajęty ogniem płonął stopniowo, pani G. rzekła do siebie:

— Kamillo moja! ty o niczém wiedzieć nie będziesz! Jeśli ci tak przeznaczono, to już jak najpóźniej obudź się ze snu twojego!

Papier spłonął, pani G. chwiejnym krokiem chodziła po pokoju.

— Któż on więc jest? kto on? jakież jest życie jego? jakie są te ciężkie występkę, o których nie wahała się pisać własna matka? — powtarzała co chwila pani G., a myśli jęj płały się w chaos nierozwikłanych przypuszczeń i domysłów.

Zmrok wieczorny zastał ją siedzącą nieruchomie na kanapie, z blademi usty, a krwią nabiegłém czołem.

Przed domem rozległ się turkot karety. Kazia z hałasem wbiegła do pokoju.

— Pani Grabina przyjechała! — wołała na progu.

Pani G. powstała żywo, rozpogodziła twarz, drżącą ręką poprawiła ubranie, bezładem swym świadczące o roztargnieniu, jakie przebyła, i wyszła naprzeciw córki, wyprostowana, uśmiechnięta, poprawiając okulary i czepeczek biały.

Kamilla lekkim także krokiem wbiegła do mieszkania matki, wyciągnęła ku nięj ramiona i rozjaśniła uśmiechem twarz do piersi jęj przycisnęła.

W kilka chwil potem obie kobiety siedziały obok siebie.

Kamilla trzymała rękę matki w swych dłoniach i głowę oparła na jęj piersi.

— Matko moja — mówiła — jestem bardzo, zupełnie szczęśliwa!

Głos jęj był pewny i spokojny, nie zadrżał nawet

ani razu. Wniesiono światło, Kamilla spojrzała na matkę.

— Mateczko! co tobie? — krzyknęła z obawy, bo usta pani G. sine były i drżały, a z czoła jęj nie ustępowała fala bijącej w skronie krwi.

— O, nic mi nie jest — odrzekła pani G. drżącym głosem, ale uśmiechającymi się ustami — cóż dziwnego, że jestem wzruszona.... twém szczęściem... — dodała ciszej i, powstawszy, odwróciła twarz od córki, pod pozorem wydania jakiegoś rozporządzenia Kazi.

Po chwili rzekła swobodnie:

— Przyjdę jutro do ciebie, aby obejrzeć twe nowe mieszkanie.

— O, prześliczne jest, moja matko! naznacz godzinę, a przyślę po ciebie karete!

W głosie Kamilli była radość i spokój, ale gdy matka odwróciła się od nięj, gorzki, rozpaczliwy wyraz przebiegł jęj usta.

Późno już było, gdy Kamilla opuściła mieszkanie matki.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią i z ulicy dał się słyszeć turkot odjeżdżającej karety, pani G. wyciągnęła ręce i zawołała:

— Kamillko moja! najdroższe, zgubione dziecko moje!

I całym ciężarem ciała runęła na ziemię.

Około północy do mieszkania państwa Grabów gwałtownie dzwoniono.

We drzwiach przedpokoju stanął jakiś rzemieślnik z Nadrzecznój ulicy, sąsiad pani G., i prosił otwierającego mu Michałka, aby jak najspieszniej obudzono panią Grabinę, bo matka jej została rażona apoplektycznym atakiem.

II.

Na dziedzińcu pięknego i obszernego domu, w którym mieszkał Ordynat Zrębski, stała budowa, której znaczenie trudno-by z pewnością na pozór określić. Murowane ściany jej były starannie pobielone, a jedyne, ale bardzo szerokie i ozdobne drzwi, miały wkoło medaliony owalne gipsowe, na których wyryte były konie, prześcigające się w pełnym biegu lub wyrrywające się z rąk trzymających je dżokejów. Wysoko umieszczone, okrągłe, o zwierciadlanych szybach okna, ozdobione były takimiż medalionami, wyobrażającymi amazonki, stojące na koniach. Wszystkie razem medaliony połączone były z sobą rzeźbionemi girlandami z laurowych i dębowych liści.

Wnętrze budowy tej przedstawiało jeden duży salon, więcej długi niż szeroki, z posadzką układaną w kwadraty i jak szkło lśniącą od wosku, ze ścianami pokrytymi obiciem, przedstawiającem różne konie

i gonitwy konne. Pod jedną ze ścian stały kozetki, powleczone ponsową materią, także fotele i niewielkie stoliczki z marmurowymi blatami; pod drugą były dwie obszerne zagrody z mahoniowych desek, wewnątrz obite kwiecistymi dywanami. W zagrodach tych stały dwie przesłiczne klacze, jedna angielskiej, druga tureckiej rasy. Uzdy ich, zrobione z ponsowej, srebrem haftowanej wstęgi, przywiązane były do bronzowych haków, nogi ich do kolan tonęły w cienkiej i drobnej, starannie oczyszczonej słomie. W mahoniowych, rzeźbą ozdobionych żłobach złocono się najpiękniejsze ziarno, na jakie tylko zdobyć się może gleba krajowa, a nad żłobami zawieszane były dwa zwierciadła, ramami dotykające sufitu. Pomiedzy zagrodami stało osłonięte ponsową kotarą i wysoko usłane, łóżko sportsmana. Anglika, którego staraniom powierzona była cenna exystencya wspaniałych klaczy. W czterech rogach tego pysznego końskiego mieszkania stały marmurowe konie, każdy w inną postawie, naśladowane ze spiżowych posągów, zdobiących cztery rogi miasta jednej z europejskich stolic.

Klacz rasy tureckiej zwała się *Sultanka*, bo głowę nosiła podniesioną z królewską dumą, i gdy stapała z wolna cienkimi nóżkami i zarżała, zdawało się, że wydaje rozkazy. Klacz rasy angielskiej nosiła imię *Lady Makbeth*, bo jak na bohaterce dramatu Szekspira, ciężyla i na niej rozlana krew wielu ludzi. Gdy ujeżdżano ją, tak była nieposkromioną, iż z kolei

zrzuciła z siebie kilku dżokejów; — połowa ich wyleczyła się z ran, otrzymanych przez spadnięcie, połowa łby sobie potrzaskała.

Kiedy się to działo, Edward Zreński był w Anglii, kupił nieposkromioną klacz za wielkie pieniądze, oddał ją na wychowanie do najpięrszego w Londynie *sportsmana* i nazwał *Lady Makbeth* — potem przywiózł ją do kraju i umieścił razem z *Sultanką*.

Mieszkanie dwóch klaczy było najulubieńszem miejscem przebywania dla Ordynata. Tu na jednym ze stolików leżały wielkie arkusze „Timesa,” na drugim stała nieustannie butelka porteru; tu Ordynat przychodził leczyć się od *spleenu* rozmawianiem po angielsku o Anglii z Anglikiem, tu jadał najczęściej obiady. A gdy zasiadł na miękkiej kozetce z angielską gazetą w jednej ręce, ze szklanką angielskiego napoju w drugiej, mając ze sobą porcyą sączącego krew rostbefu i patrząc na ulubione klacze, młodzieniec, wychowany w miłości befszteku i sportu, przestawał na chwilę poziewać i wzdygać się od chłodu, a pocucie rozkoszy życia i wzniosłych jego celów przenikało na chwilę jego obumarłą istotę. W tej tajni, czy w tym salonie, którego gospodyniami były klacze, mieściła się jego ojczyzna, honor, nauka, czyn. Była tam jego ojczyzna, bo szczególnem zjawiskiem wmówił w siebie, że jest Anglikiem, nie przez żadne uwielbienie dla Wielkiej Brytanii i żelaznego charakteru jej synów, ale przez zamiłowanie do an-

gielskiej kuchni, angielskiej rasy koni, angielskich paletotów i angielskiego *sans façon*. Był tam jego honor, bo cóż mogło przynieść mu większy zaszczyt, jak gdy w jednej stolicy *Sultanka* odniosła zwycięstwo nad *Abdul-Cerisem* lorda Dudleya, a w drugiej *Lady Makbeth* ukorzyła *Uragana* hrabiego P.....? Co rok w wyścigowej porze, gazety pisały jego imię obok imion największych arystokratów Anglii, a on, jako wódz najslawniejszy, co rok spoczywał na laurach, końskimi zdobytymi nogami.

Była tam jego nauka — bo nie innego w życiu nie studiował, jak ostatnie stronicie „Timesa,” doskonałość portera, soczystość befsztek i rasowość koni. Był tam jego czyn, bo mógłże świetniej służyć ludzkości, jak leżąc na kozetce, paląc cygaro, pijąc porter i rozkoszując się widokiem klaczy, których postacie podwajały się przez odbicie w zwierciadłach.

To też, gdy znajdował się w tym przybytku, napełnionym tchnieniem najdroższych dla człowieka rzeczy, Edward Zrębski był zachwycającym młodzieńcem. Poziewał tylko co pięć minut; zdejmował watomany paletot i wełniany szal z szyi — tak mu było ciepło; prędzej wymawiał zgłoski jedną po drugiej, i niekiedy zdawało się mu, jakoby naprawdę zdolnym był coś kochać oprócz klaczy, coś czynić, oprócz palenia cygar i czytania ostatniej stronnicy „Timesa.”

W jednym z ostatnich dni listopadowych, Ordynat był właśnie w owym zachwycającem usposobieniu

i z „Timesem” w rękę leżał na kozetce, naprzeciw stojącej w pysznej zagrodzie *Lady Makbeth*. Było to w przedobiedniej godzinie, na stoliku więc obok niego stała srebrna taca z rozmaitemi drażniącymi podniebienie przekąskami i szumiącym białą pianą porterm. Ordynat nie jadł już śniadania, tylko popijał porter i palił wonne cygaro, blademi oczyma, otoczonymi jasną rzęsą, wodząc po suficie.

W zagrodzie *Sultanki* stał sportsman, Anglik, imięmką szczotką czesał starannie długą, falującą grzywę klaczy. Był to wysoki, barczysty człowiek, z twarzą białą i pełną piegów, z zarostem rudawym, a czołem wysokim i nieco łysym. Cała fizygnomia jego miała piętno zimnej krwi i właściwego Anglika powolnego lecz matematycznego rozsądku, i tylko w bladobłękitnych oczach, jako też w zagięciu ust, ukazywał się lekki odcień ironii.

— Messir Dawid, może szklaneczkę portera? — ozwał się Ordynat po angielsku, zwracając spojrzenie z sufitu na Anglika-faworyta.

— Dziękuję, milordzie; nie zaszkodzi — odparł Dawid tymże językiem, skłaniając głowę na sztywną postać i kładąc szczotkę na poręczu zagrody.

Wyraz milord miał czarowny dar głaskania ucha Ordynata i wprowadzania go w najbardziej zachwycające usposobienie. To też pogładził on z przyjemnością jasne faworyty i, podniósłszy rękę do butelki z takim giestem, jakby rozpoczynał mowę w Izbie lor-

dów, nalał pełną szklanę szumiącego porteru i wyciągnął ją ku Anglikowi.

Dawid zbliżył się, wziął szklanę i, niosąc ją do do ust, rzekł ze sztywnym ukłonem:

— Za zdrowie milorda.

— Dziękuję ci, Dawidzie — odpowiedział Ordynat i wygodnie położył się na kozetce twarzą do sufitu; potem, wypiszy haust porteru i wypuściwszy z ust kłąb błękitnego dymu z cygara, ozwał się przesadnie, sycząco angielską wymową:

— Powiedz-że mi, Dawidzie, czy kontent jesteś, żeś opuścił Anglią dla mojej służby?

Dawid uderzył językiem o podniebienie, smakując trunek, zamyślił się i w końcu dobrej minuty milczenia odpowiedział:

— Anglia, milordzie, to kraj ciągłej pracy, fabryk, handlu, rzemiosł i polityki, a kiedym tu przyjechał zdało mi się, jakoby przybył do krainy mlekiem i miodem płynącej, w której nikt nic nie robi.

Ordynat rozśmiał się przez zęby, co było u niego oznaką dobrego humoru, i rzekł:

— Dowcipny jesteś, Dawidzie, ale nie powiedziałeś całej prawdy. Alboż i tu nie widzisz pracujących? alboż moi słudzy nie pracują? alboż ten *urzędniczek* co naprzeciw moich okien mieszka, i ten doktor co, mnie leczący od *spleenu*, nie pracują?

Anglik zamyślił się znowu i po długim milczeniu odparł:

— W Anglii wszyscy pracują.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Ordynat — bredzisz, messir, alboż w Angli lord Dudley, albo lord Russel, albo lord Fitt pracują?

Usta Anglika ironicznie się zagięły, ale wnet twarz jego odzyskała posagową angielską zimną krew, postawił szklanę na stole, włożył ręce do kieszeni i zaczął mówić:

— Ojciec mój był fermerem u lorda Jerzego Dudleya, którego widywałem często, jak byłem jeszcze młodym chłopakiem. Lord Jerzy nie mieszkał ciągle w swoich posiadłościach w hrabstwie Yorkschire, bo większą część roku przepędzał w Londynie. Do zamku swego przyjeżdżał tylko zawsze na wiosnę, a wtedy zjeżdżali się do niego wszyscy fermerzy z opłatami, prośbami i projektami. On obliczał należytości, wysłuchiwał próśb i rozpatrywał projekta. Jeden z fermerów radził czasem, aby osuszyć spory kawał błotnistej ziemi, roznoszącej wyziewami zarazę, i zamienić ją w grunt uprawny; drugi dowodził, że w fermie, którą zamieszkiwał, można-by z korzyścią założyć jaką fabrykę; trzeciemu zdawało się, iż dobrze będzie, jeżeli lord Jerzy pomnoży liczbę owiec, albo ulepszy gatunek wołów. Lord Dudley zamykał się w gabinecie swoim z podającymi projekta po kilka godzin dziennie, rachował, rozpatrywał na mapie pozycje miejscowości, i nad każdą pozycją głęboko się zastanawiał. To wszystko zajmowało mu kilka-

naście dni, i nie wiem, jak się to zda milordowi, ale my zwykliśmy mawiać wtedy, że lord Dudley pracuje. Potém miał on zwyczaj objeżdżać wszystkie swe posiadłości poblizkie konno, dalsze karetą lub kabrioletem. Zazierał w każdy szczegół gospodarstwa fermerów, oglądał, czy pola dobrze są uprawne, czy woły tłuste, owce na właściwych pastwiskach pasane, czy łąki osuszone i lasy utrzymywane w porządku. Niedbałych fermerów naganiał, a czasem i odbierał im fermy; wzorowych gospodarzy nagradzał pieniędźmi albo uściśnieniem ręki, które wiele znaczyło, bo lord Dudley był prawdziwym gentlemanem i przodkowie jego znajdowali się byli w liczbie baronów, piszących Wielką Kartę za króla Jana bez Ziemi. To wszystko zajmowało mu kilka tygodni i nie wiem, jak się to zda milordowi, ale myśmy mawiali wtedy, że lord Dudley pracuje. Potém jechał w podróż po obcych krajach, i nie wiem dobrze, co tam zwykł był porabiać, ale myśmy myśleli, że on i tam pracował, bo pisywał z różnych krajów do swoich fermerów, jak tam to i owo urządza się we Francyi i w Niemczech; a że urządza się dobrze, czy nie można-by podobnie robić i w jego posiadłościach? Jesień i zimę przepędzał lord Jerzy w Londynie; był on członkiem parlamentu, prezydował na wielu meetingach i w *Daily News*, którą trzymał mój ojciec, bardzo często drukowano jego mowy i rozpisywano się o różnych jego wnioskach i projektach. Nie wiem, jak się to zda mi-

lordowi, ale wtedy, nie tylko my, lecz i cała Anglia mówiła, że lord Dudley pracuje.

Powiedziawszy to, Anglik umilkł, wypił haust porteru, schował znowu rękę do kieszeni i stał wyprostowany.

— *Goddam!* — rzekł Ordynat — dobrze opowiadasz, messir, i zajmujęmnie twój lord Dudley. Powiedz mi tylko jeszcze, ile on miał dochodu rocznego?

— Kiedym był młodym chłopcem — odpowiedział Dawid — mówiono, że lord Jerzy miał dochodu tylko 5,000 funtów szterlingów, co było bardzo mało dla takiego gentlemana. W dziesięć lat potém, posiadłości lorda Jerzego dawały mu 10,000 funtów szterlingów; a kiedy przed rokiem wyjeżdżałem z milordem z Anglii, słyszałem, że lord Jerzy ma rocznego dochodu 15,000 funtów szterlingów.

— *Goddam!* — zawołał Ordynat — to bardzo pięknie, i wcale inaczej jest u mnie, bo ja przed pięciu laty miałem z ordynacyi mojej 30,000 rubli dochodu, a dziś, mam tylko 15,000. Powiedz-że mi, messir, przez co tak się zwiększyły dochody lorda Dudley?

— Osuszył on tysiąc jardów bagnistych gruntów i zrobił z nich pastwisko dla wołów, z których sto utuczonych odsyłało co miesiąc do Londynu; założył kopalnię węgla ziemnego, którego pokłady bezużytecznie leżały wpródy w jego posiadłościach, i zbudował

steamer, którym prowadził Tamizę do Londynu połowę zboża hrabstwa Yorkschire.

Ordynat zamyślił się i wypuścił z ust ogromny kłęb dymu.

— Dobrze też musiał żyć, posiadając takie dochody! — zawołał.

— Lord Dudley żyje, jak przystało na prawdziwego gentlemana i potomka baronów — odpowiedział Anglik. — Ma on w Londynie swój własny pałac, w którym przyjmuje na obiadach ministrów królowej i nieraz całą Izbę lordów, a kiedy wydaje bale, to mylady występuje w takim stroju, że aż błyszczy cała od brylantów. Przytém, fermerowie jego wzbogacają się i synowie ich nie rzadko zostają członkami Izby Gmin, a w fabrykach lorda i około uprawy jego gruntów pracuje kilka tysięcy ludzi, którzy nie tylko zarabiają tam na kawałek chleba, ale i uczą się, bo we wszystkich posiadłościach lorda Jerzego są szkoły dla wyrobników, nie mających za co posyłać dzieci do szkół gminnych. Lord Dudley jest członkiem Jockey-Clubu, członkiem towarzystwa opieki nad podrzutkami, członkiem opieki nad zwierzętami i członkiem wielu towarzystw, jakie tylko exystują na gruncie Wielkiej Brytanii, a milord, co zna Anglię, wie sam, że trudno je wszystkie policzyć.

— A i konie pyszne mieć musiał lord Dudley, jeśli można wnosić z tego wspaniałego *Abdul-Ceris*, któ-

ry się przed dwoma laty uganiał na wyścigach o pierwszą nagrodę z moją *Sultanką* — rzekł Ordynat.

— Lord Dudley miał w posiadłościach swoich stadninę koni, których hodowla prowadzi się na wielką skalę, i która przynosi mu rocznego dochodu 2,000 funtów szterlingów. Nie kupuje on nigdy koni, które wysyła na wyścigi, ale wszystkie one pochodzą z własnej hodowli, więc świadczą o wielkości i bogactwie Anglii nawet i w tej gałęzi gospodarstwa krajowego. Przed kilku laty, kilka koni ze stadniny lorda Jerzego wzięto na stajnię królowej, a *Lady Makbeth* pochodzi ze stadniny lorda Jerzego; milord więc sam dał mu dochodu 420 funtów szterlingów, to jest tyle, ile zapłacił za *Lady Makbeth*.

Anglik prowadził całą tę rozmowę z najzupełniejszą zimną krwią, bez cienia przechwałki lub alluzji. Imię tylko Anglii wymawiał z pewną dumą w głosie.

Ordynat zamyślił się głęboko. Skończył palić cygaro i ziewnął, ale tym razem zdawało się, iż uczynił to więcej z przyzwyczajenia, niż z nudy.

— No *mess* — ozwał się w końcu, wyciągając się na kozetce — powiedz mi, jak ci się zdaje, kto lepiej postępuje: czy Anglicy, którzy, jak powiadasz, wszyscy pracują, czy my, którzy nie nie robimy?

Usta Anglika zacięły się znowu w wyraz ironii, ale tak ulotny, że ani go spostrzedz można było. Założył

ręce na piersi, pomyślał i odpowiedział z niewzruszoną zimną krwią:

— Milord, który doskonale zna Anglią, niech pomyśli nad tém, gdzie jest lepiej: tam, czy tu? A gdzie jest lepiej, tam ludzie lepiej postępują.

— Ha, ha, ha! — rozśmiał się Ordynat — mądry z ciebie Anglik! przodkowie twoi musieli także pisać Wielką Kartę u Króla Jana bez Ziemi.

Dawid wyprostował się jeszcze bardziej i rzekł z dumą:

— Nie, milordzie; ale brat mój starszy zasiada w Izbie Gmin i należy do partyi Wighów.

— A więc, jakże się stało, messir, że nie szukałeś kariery w Anglii, ale zgodziłeś się wyjechać tu ze mną?

— Polska, widać, bogatsza od Anglii, bo milord płaci mi za utrzymanie dwóch koni tyle, ile-by lord Dudley zapłacił nadzorcy całej swojej stadniny. Więc w bogatym kraju zbiorę sobie pieniądze i, wróciwszy do Anglii, zapłacę niemi dzierżawę jednej z ferm lorda Dudleya.

Po téj odpowiedzi, ogłoszonej z niezমেchną zimną krwią i powagą, i z nieco tylko ironicznie zagiętemi ustami, Anglik skłonił się sztywnie i odszedł ku przeciwnéj ścianie. Tam usiadł na fotelu, wydobyl z kieszeni numer „Daily News” i zaczął go czytać z wielką uwagą.

Jednocześnie prawie otworzyły się drzwi i wszedł pan Kalixt Graba.

Mąż Kamilli był tym razem w swojej, jak ją nazywał, masce fizycznej, bo miał piękną bledosć i czarne, jak smoła, włosy.

— Szczęśliwy człowiek! — zawołał, podając rękę Edwardowi. — Siedzisz sobie w swém Eldorado, jak monarcha wschodni, otoczony wszystkiemi rozkoszami życia. Wyborne śniadanie, doskonałe cygaro, dwie pyszne klacze i Anglik do rozmawiania po angielsku, na honor, to raj ziemski!

I zaśmiał się pół swobodnie, pół szyderczo, potem spojrzał na Anglika, który, przy wejściu jego, podniósł wzrok od gazety i, kłaniając się lekko, pozdrowił go po angielsku. Dawid uklonił się sztywnie, a Edward przeciągnął się, ziewnął i odpowiedział:

— Czy wiesz, *mon chér Graba*, że nudzę się śmiertelnie!

— To nie nowina! — zawołał Kalixt i, zwracając się do Anglika, rzekł po angielsku:

— Messir Dawid! milord Edward mówi, że się nudzi; czy bywają w Anglii tacy młodzi, przystojni i bogaci milordowie, którzy-by się nudzili?

Anglik pomyślał dobrą minutę i odpowiedział:

— Bywają.

— Czemużeś mi tego wprzódy nie powiedział, messir! — zawołał Ordynat — był-bym cię już da-

wno prosił o radę! Powiedz-że mi, co robią młodzi angielscy milordowie, gdy się nudzą?

Anglik znowu myślał kilkanaście sekund i, podciągając sobie w górę kołnierzyk z największą flegmą, odpowiedział:

— W łeb sobie strzelają.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się na całe gardło Graba. — Doskonała rada, radykalna! Sądzę jednak, że nie skorzystasz z niej, Edwardzie!

— *Ma foi*, nie zaręczył-bym za to — odparł Edward, owijając gardło ciepłym szalem.

W tej chwili za rozmawiającymi ozwał się uniżony głos:

— Do nówek ścielę się pana Ordynata dobrodzieja! moje uszanowanie mistrzowi ludzi wesołego życia!

Ordynat i Graba, którzy siedzieli odwrócenie ode drzwi, i nie spostrzegli cicho wchodzącego gościa, obejrżeli się i zobaczyli przed sobą pana Ignacego Jodka. Edward nie zmienił leżącej postawy i lekceważąco wyciągnął ku niemu dwa palce, które on całą garścią uściśnął; za to Graba przywitał się z nim uprzejmie; miał on zwyczaj być uprzejmym dla wszystkich bez wyjątku. Kaptował sobie tym sposobem popularność ogólną i, jak kandydat na obieralny urząd, starał się o *vota affirmativa*.

— Może przekąsisz? — rzekł Ordynat, wskazując nowo przybyłemu tacę z resztą śniadania.

Oczy Jodka błysnęły.

— Dziękuję, dziękuję; czemuż-by nie? — odpowiedział, przysuwając fotel do stolika. — Doskonała szyneczka i kawiorzek doskonały!

I, wzięwszy srebrne sztucce, zawinął się koło szyneczki z kawiorkiem.

— Cóż tam nowego słyhać, Jodek? — zainteresował Ordynat.

— Byłem dziś u pani pułkownikowej M. Częstowała mnie doskonałą nalewką, którą przysłali jój ze wsi. Cóрка jój, panna Klementyna, za mąż idzie, za pana Edmunda D.; ale czy znacie panowie piosenkę: „Pod pozorem córek, kochają się matki”.

— Czy stosujesz tę piosenkę do pułkownikowej i Edmunda? — zapytał od niechcenia Graba,

— I jak! — zawołał Jodek, z gębą pełną szynki i mrugając ze znaczeniem oczyma.

Edward i Kalixt uśmiechnęli się.

— Cóż tam więcéj słyhać? — zapytał znów Ordynat.

— Byłem dziś u panien Jedlińskich. Częstowały mnie doskonałą śmietaną, którą urządzają u siebie *en vraies villageoises qu'elles sont*. Mówiły mi, że szambelanowa Słabecka z panną Rytą wrócą z za granicy za miesiąc i przepędzą zimę w M.

— Czy znasz tę pannę Rytę, Jodku? — zapytał Edward.

— I jak! — zawołał Jodek, nalewając sobie szklankę porteru.

— Czy podobna do brata?

— Z tego tylko, że ma ryzawe włosy.

— Czy ładna?

— Dla mnie brzydka; ale niektórzy znajdują ją ładną. *De gustibus non est disputandum* — dodał sentencyonalnie, kładąc na chleb warstwę limburskiego séra.

— Cóż więc słyhać?

— Zaszedłem po drodze do Borela. Znalazłem tam Stasia i Tozia. Czestowali mnie doskonałemi pierożkami z mięsem, tylko co wyszłem z pieca szanownego Borela. Niéma w świecie restauratora, jak Borel, panowie! Staś i Tozio zagrali przy mnie dwie partye bilardu: Staś obie przegrał.

Graba uśmiechnął się z ironią.

Edward wpatrzył się w Ignacego z nieopisanym wyrazem zdziwienia, graniczącego z przerażeniem, i po dobrej minucie milczenia rzekł z flegmą:

— *Peste!* — a któreż-to z rzędu śniadanie zjadasz dzisiaj, Jodek?

Jodek podniósł oczy, jakby przypominał sobie, i po chwili, włożywszy do ust ostatni kęs chleba z linburskim sérem, odrzekł z najzimniejszą krwią:

— Czwarte.

Edward wzruszył ramionami i, nie spuszczać zdumionego wzroku z pulchniej twarzy gościa, wycedził raz jeszcze przez zęby:

— *Peste!*

Graba rozśmiał się na całe gardło.

— Na honor, szanowny panie Ignacy! strawny masz żołądek! — zawołał.

— Jestem jak struś i lepiej niż struś, bo trawię z zupełną łatwością, nietylko to, co we mnie wchodzi przez usta, ale i to, co dostaje się do mojej osoby przez uszy — odparł Jodek z zimną krwią i, otarłszy usta serwetą, zapalił jedno z cygar Ordynata, leżących na stole.

— *A propos* Stasia Klońskiego, czy pamiętasz, Edwardzie, moję rozmowę z tobą przed dwoma czy trzema miesiącami? — zapytał Graba.

— Rozmowę o ładnej Cesi?

— Tak.

Jodek nadstawił ucha, na twarzy jego pojawiła się gorąca ciekawość.

Kalixt spojrział nań z ukosa, uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł do Edwarda:

— Powiadają w M., że ładna Cesia coraz bardziej jest tobą zajęta.

— Czy podobna! — zawołał Jodek, podskakując na fotelu.

Ordynat z przyjemnością pogładził faworyty i spojrział w zwierciadło, w którym twarz jego odbiła się obok głowy *Lady Makbeth*.

— *Au fait*, być to może — rzekł z flegmą — ale nie probowałem jeszcze przekonać się o tém, chociaż sam jestem nią zachwycony.

— Jesteś prawdziwym Anglikiem — uśmiechnął się Kalixt.

— Nie miałem czasu; *Suttanka* mi chorowała; ale *à propos* ładnych osób: jakże zdrowie żony twojej, Kalixcie? czy ma się lepiej?

Nerwowe drganie poruszyło gwałtownie ustami i okiem Kalixa.

— Od tygodnia już wychodzi ze swego pokoju i przyjmuje gości — odpowiedział,

— *C'est heureux* — rzekł Edward — bo też wistocie to nagłe zasłabnięcie w kilka dni po ślubie...

— Sprawione było nagłą chorobą matki, która dziś ma się lepiej — dokończył Graba, i jakby chciał co prędzej zmienić przedmiot rozmowy, żywo zapytał:

— No więc, *à quand* wizyta twoja do pani Kloński, rozpoczynająca afere?

— Pójdę dzisiaj — odparł Ordynat, lekko ziewając.

Jodek zerwał się z fotelu.

— Do nóg upadam, moje uszanowanie panom do brodziejom! — mówił, żegnając się.

— Dokąd tak śpieszysz? — zapytał Graba.

— Muszę jeszcze zajść do Borela; proszono mnie tam.

— *Grand Dieu!* czy nie na piąte śniadanie? — z nieudaném przerażeniem zawołał Edward.

— Nie, nie; na partyjkę bilardu — odparł Jodek i wybiegł.

Graba prowadził za nim oczyma, gdy tymczasem Ordynat, zbliżywszy się do *Suttanki*, oglądał z uwagą jej grzywę, jakby się przekonywał, czy nie brakuje w niej jakiego włoska; mąż Kamilli uśmiechnął się i szepnął:

— Już on się sprawi z ploteczką. I Staś, i całe miasto, dowiedzą się dziś, że pani Celina kocha się w Ordynacie.

Rzekłszy to do siebie, wyjął z kieszeni taliańską kartę i odezwał się głośno:

— Ordynacie! może sztosika?

Edward spojrzał, nie odpowiedział nic, przyjrzał się jeszcze przez chwilę grzywie *Lady Makbeth*, i, podchodząc do stolika, wyjął pugilares i rzekł z zimną krwią:

— Ciągnij bank.

Zasiedli naprzeciw siebie; Kalixt położył na stole storublową asygnatę.

Grabi, a Anglik, położywszy na kolanach „Daily News”, przypatrywał się im z powagą.

— Messir Dawid — rzekł do niego Graba w przestanku gry, i wskazując na Edwarda — milord przegrał w pół godziny 200 rubli, co angielską monetą znaczy 40 funtów szterlingów.

Anglik wyprostował się, poprawił kołnierzyki i wyрекł z flegmą:

— Bogaty kraj!...

Tymczasem pan Jodek pędził do Borela.

W cukierni, z dziesięciu młodych ludzi grało w bilard i piło czekoladę lub czarną kawę. Między nimi znajdował się Kloński, Tozio i kapitan.

Jodek wpadł pomiędzy nich, jak bomba, i został powitany żartami, śmiechem i kawalerskimi wykrzyknikami, jako ulubiony dowcipniś i nowiniarz całego zebrania.

Trzech mężczyzn, siedzących przy bocznym stoliku nad kieliskami ponczu, pomiędzy którymi był i kapitan, pociągnęło go ku sobie.

— Cóż słyhać nowego, kuryerze codzienny miasta M.? — zapytał jeden z nich, stawiając przed nowoprzybyłym kieliszek trunku.

— Mam, mam taką nowinkę, jakiej świat i korona polska nie słyszała! — rzekł półgłosem, i chichocząc z cicha Jodek, a zarazem obejrzał się i ukośne wejrzenie rzucił na Klońskiego, który, ze zmarszczonemi brwiami i pochyloną postawą, mierzył kijem do bilardowej kuli.

— No, to siadaj i mów! — huknął kapitan i, pociągnawszy za połę nowiniarza, posadził go między sobą a towarzyszami.

Jodek pochylił się nad stołem i począł mówić o czémś z cicha. Siedzący obok i naprzeciw niego mężczyźni pochylili ku niemu głowy i słuchali.

— Czy podobna? — zawołał jeden z nich.

— Proszę tu wierzyć kobietom! — krzyknął kapitan.

— Kłamiesz, Jodku! — zarzucił spokojniej trzeci.

— Daję słowo uczciwego człowieka, że mówię prawdę; zresztą, powtarzam tylko, co słyszałem, a słyszałem z ust najpewniejszych.

Mężczyźni zwrócili oczy na Klońskiego i wybuchnęli głośnym śmiechem.

Stanisław wyprostował się w tej samej chwili, oparł na kiju i z tłumionym gniewem wyrzekł:

— Przegrałem!

Śmiech mężczyzn wzmógł się. Kloński obejrzał się i zobaczył spojrzenia śmiejących się, skierowane ku sobie.

— I z czego tak śmiejecie się? — zawołał. — Czy z tego, że dziś już szóstą partya przegrałem? każdemu z was wydarzyć się to może.

— Bynajmniej — odrzekł jeden z mężczyzn — śmieliśmy się nie z tego, że przegrałeś, ale z tego, żeś wyraz: „przegrałem!” tak *à propos* powiedział.

Stanisław wzruszył ramionami.

— Nie pojmuje, jakie tu miało być *à propos*.

— Bo nie słyszałeś naszej rozmowy.

— Właśnie i my rozmawialiśmy o tém, żeś przegrał, ale wcale inną partya, niż bilardową.

— W bilardzie można przegrać i odegrać się, ale ty gdzieindziej tak przegrałeś, że wątpię, czy będziesz mógł się odegrać.

I znowu zaśmieli się wszyscy chórem.

Stanisław patrzył na towarzyszy pół zdziwiony, a pół gniewny.

— Proszę was — rzekł — o wytłómaczenie tych wszystkich zagadek! Od dzieciństwa nie miałem zdolności odgadywania rebusów, szarad i tym podobnych łamigłówek.

Śmiech wzmógł się.

— Biedny Staś! — zawołał jeden z mężczyzn — chce tłómaczenia!

— Jodku! wytłómacz mu tę zagadkę! — wołał drugi.

Jodek zerwał się, jakby chciał uciekać, ale, spojrzawszy na niedopity poncz, nie uciekł, tylko stanął za fotelem i, chwytając za tylną jego poręcz, jakby się chciał nim zastawić, wyjąknął z pomieszaniem:

— O niczém nie wiem; słowo uczciwego człowieka, o niczém nie wiem.

Kłoński zmarszczył brwi i z gniewem spojrzał na otaczających.

— Uważam, panowie — rzekł głosem, który usiłował uczynić spokojnym — że chcecie stroić ze mnie żarty; ale oświadczam, że tego nie lubię i nie znoszę, a rolę błaznów, służących do zabawiania kompanii, zostawiam innym.

Przy ostatnich słowach, spojrzał na Jodka, który raz jeszcze powtórzył:

— O niczém nie wiem!

Mężczyźni przestali śmiać się głośno, ale uśmiechali się, spoglądając na siebie.

— Mój kochany — ozwał się z ironiczną flegmą jeden z nich — takie-to już są prawa i wyobrażenia towarzyskie, że ludzie, zostający w pewnych położeniach, chcąc nie chcąc, i przyznać to muszę, bez własnej winy, stają się śmiesznymi.

Oczy Kłońskiego błysnęły gniewem, głowa podniosła się z dumą. Przystąpił do grupy mężczyzn i rzekł stanowczo:

— Ponieważ pozwalacie sobie mówić mi otwarcie, że jestem śmiesznym, ja czuję się w prawie wymagać jasnego tłómaczenia, dlaczego znajdujecie mnie takim. Jeżeli nie spełnicie mego wymagania, będę żądał innej satysfakcyi.

— Do licha! — zawołał jeden z mężczyzn — czyliż nas wszystkich czterech razem wyzwiesz na pojedynek?

Na te słowa, Jodek odskoczył o parę kroków, porwał za czapkę i wybiegł z sali, powtarzając:

— O niczém nie wiem; słowo uczciwego człowieka, o niczém nie wiem!

Mężczyźni śmieli się, patrząc za uciekającym, a Stanisław rzekł do nich z wzrastającym gniewem:

— Możecie, panowie, śmiać się, ile wam się podobą, z pana Jodka, bo on pozwala na to; ale ze mnie, to co innego; po raz ostatni proszę was, abyście powiedzieli, o co chodzi, bo inaczej...

— Ach! *mon cher* — rzekł jeden z kolegów — jeśli już tak żądasz tego koniecznie, to powiemy ci przedmiot naszej o tobie rozmowy, choć, dalibóg, to ambarasujące, i sam nie wiem...

— At! co tam długo w bawelnę obwijać! — huknął kapitan. — Nie darmo służyłem w złotych huzarach; nie lubię cedzić słówek przez zęby. Ot, powiem ci, Stanisławie, po koleżeńsku i przyjacielsku, że jesteś w położeniu króla Menelausa, męża pięknej Heleny.

Oczy Stanisława zaiskrzyły się dwiema błyskawicami.

— Radzę ci, kapitanie złotych huzarów — rzekł szyderczo — abyś nie wdawał się w historyczne cytacje, bo na wszelkiem polu uczoném, łatwo szwankować możesz, choć jesteś rycerzem. Tłómacz się jaśniej.

— Ha! jeśli tak koniecznie wymagasz ode mnie, abym ci całą rzecz, jak łopatą na stół wyłożył! — krzyknął kapitan, obrażony szyderstwem Kłońskiego — to powiem ci wszystko!

— Kapitanie! — zawołał jeden z mężczyzn, porywając go za rękę.

— Waryacie! głupstwo zrobisz! — mitygował drugi.

— Otóż, niech mnie piekło pochłonie, jeśli nie powiem; niech się przekona, co to żarciki ze mnie stroić! — wrzasnął kapitan.

— Mów, mów! — wołał Kłoński, drżąc cały z gniewu i niecierpliwości.

— Więc słuchaj, do stu dyabłów, a uważnie! Wieści chodzą po mieście, że Ordynat Zrębski kocha się w twojej żonie, a ona w nim!...

Stanisław sponsował tak, że aż czoło powlokło mu się szkarłatem; cofnął się, wyciągnął rękę i silnym głosem krzyknął:

— Milcz!

Wszyscy oniemieli, a ci sami mężczyźni, którzy żartowali przed chwilą, zarumienili się i pospuszczali oczy. Kapitan chciał coś junacko odpowiedzieć, ale zadrżały mu usta, głos i ręce, a tymczasem, między nim a Stanisławem stanął Tozio, niemy dotąd i niewiele rozumiejący świadek całej sceny.

— Stanisławie — rzekł, biorąc go za rękę — nie unós się zbyt — wszak między przyjaciółmi...

Kłoński wysunął dłoń z ujęcia Tozia, skrzyżował ręce na piersi i rzekł drżącym jeszcze, ale już spokojnym głosem, w którym była ironia i duma zarazem:

— W istocie... jesteśmy w przyjacielskiem kółku... to też skończmy tę rzecz po przyjacielsku... Na ten raz, nie wymagam od kapitana złotych huzarów żadnej innej satysfakcji za jego nierozważne słowa, jak tej, aby w domu moim więcej nie bywał, ale zapowiadam wam, panowie, wszystkim razem i każdemu z osobna, że na drugi raz, w podobnym wypadku, nie będę tak pojednawczego usposobienia. Znamie mnie,

że jestem dobrym kolegą do wypitki, ale może nie wiecie jeszcze, jakim jestem do wybitki. Kto nie życzy sobie przekonać się o tém, niech z należytém uszanowaniem wspomina imię mojej żony. Nie uczyłem się wiele w szkołach, to prawda... ale strzelać umiem tak, że jaskółki i nietoperze w locie ubijam, a mam tyle honoru i odwagi, że nie zawaham się wpakować kulę w łeb temu, kto się odważy najmniejszym słowem ubliżyć kobiecie, którą kocham i która nosi moje nazwisko.

Powiedziawszy to, wziął kapelusz i chciał wyjść ale u drzwi otoczyli go mężczyźni.

— Brawo! brawo! — wołali jedni — szlachetny i dzielny jesteś człowiek!

— Głupi kapitan! — mówili inni.

— Któż nie zna twojej żony! — powtarzali wszyscy — to anioł dobroci i cnoty!

I na wszystkich twarzach widomy był żal za popełnioną obrazę, sympatya i życzliwość dla tego, który został obrażony.

Stanisław w milczeniu podał rękę tym, którzy go serdecznemi otoczyli objawami, a między którymi pierwszym i najserdeczniejszym okazał się Tozio, i wybiegł na ulicę.

Po wyjściu jego z cukierni, powstał gwar nie do opisania.

Wszyscy prawie obecni napadli z gniewem na kapitana za jego bezczelne odezwanie się; ten się kłó-

maczył, że został wyzwany do tego przez gniewne i szydercze słowa Klońskiego; w końcu, całe zebranie zdecydowało, że wieść o Celinie Klońskiej musi być zupełnie fałszywą, że są to najniezawodniej plotki bezmyślne, w kurs puszczone, że zatem kapitan powinien, przy pierwszej lepszej sposobności, przeprosić Stanisława za nieuważnie wymówione o jego żonie słowa.

Zdecydowawszy tak, goście Borela rozeszli się po mieście, każdy w inną stronę, a w parę godzin potem, każdy, co znał lub tylko widywał państwa Klońskich, wiedział już o zajściu, wydarzoném w cukierni. Wieść o niem dostała się do uszu kobiet, które zazdrościły Celinie jej lat ośmnastu, albo bujnych, złocistych włosów i zgrabnej figurki, albo strojnych sukien i pięknych powozów. Dostała się ona także do uszu dewotek, których razila dziecięca żywość młodziuchnej mężatki, i do uszu matek, które miały córki na wydaniu, i nie mogły darować Celinie, że zabrała sobie na męża jednego z urodziwych i bogatych młodzieńców okolicy. Wszystkie te uszy wsiąkły w siebie z chciwością wieść o zajściu i powodach zajścia między Klońskim a kapitanem, a nad wieczorem dnia tego, opinia pani Klońskiej w mieście M. została zachwianą.

A Stanisław Kloński, wybiegłszy na ulicę, gdy się tylko znalazł po-za cukiernią i z dala od spojrzeń towarzyszy, stracił wymuszoną spokojność i nabrał wy-

razu żywego rozdrażnienia. Nie poszedł do domu ani do żadnego ze znajomych, ale prędkiem krokiem zmierzył nad brzeg rzeki, gdzie było ulubione miejsce przechadzki publiczności M. W tej porze jednak roku i dnia tego, nie było tam nikogo z przechadzających się; gdzie-niegdzie chyba pojawił się jaki żyd w brudnym i odartym chałacie, a około brzegów rybacy przywiązywali swe łodzie, nucąc lub pogwizdując proste piosenki. Drobną deszcz, więcéj podobny do mgły, niż do deszczu, zmacał szarą ziemię, rzeka z głuchym szmerem toczyła mętne fale.

Stanisław szybkim a niespokojnym krokiem zaczął przechadzać się po-nad długim wybrzeżem. Głowę pochylił, oczy utkwiał w ziemię, i skrzyżowane ręce mocno zacisnął na piersi.

Nie wierzył zapewne w to, co o żonie jego wyrzekł kapitan; a jednak, słowa, obwiniające Celinę o miłość dla Ordynata, jak grom padły mu na mózg i serce. W pierwszej chwili ozwał się w nim tylko honor i szlachetny poryw bronięcia kobiety, której był mężem; ale gdy znalazł się sam jeden z dala od zgiełku miasta i rozmów towarzyszy, coś nakształt wstydu zaczęło wjadać się w jego myśl; a wstyd ten wzrastał z każdą chwilą i stał się gorzkiem, gryzącem uczuciem.

W ogóle, najskłonniejsi do zazdrości są mężczyźni, czujący w kobietach, które kochają, jakąkolwiek nad sobą wyższość fizyczną, moralną lub umysłową.

Starzy, ludzie ograniczeni, i ludzie wiodący życie nie bez zarzutu, stają się koniecznie podejrzliwymi, jeśli posiadają żony młode, oświecone i cnotliwe. Podejrzliwość ta jest mimowolnem zeznaniem własnej niższości, jest wykrzyknikiem upokorzonej i zrozpaczonej duszy: „Nie wart ciebie jestem, a więc przedź, czy później, odebrać mi musisz swoje serce!”

Stanisław kochał Celinę z lekceważeniem, zwyczajném mężczyźnie, który się czuje bardzo kochanym; kochał ją z zaniedbaniem, właściwém pewności całkowitego posiadania, uświęconego sankcją kościelną i towarzyską. Niemniej jednak, w chwilach opamiętania i rozwagi, które, jak rzadkie wprawdzie oazy, zjawiały się wszakże nieraz wśród oddanego próżnym a namiętym zabawom życia jego, Celina stawała przed nim zawsze, jak anioł piękności i dobroci, a wtedy, kładąc rękę na sercu, mówił on sam do siebie: — „Nie wart jój jestem!”

Jeżeli zeznanie to jawiło się kiedykolwiek w głębi myśli Stanisława, to już najmocniej ozwało się wtedy, gdy po raz pierwszy w życiu pomyślał, że Celina pokochać może innego. Przypomniawszy sobie wszystkie swoje szaty i zabawy, dla których opuszczał ją, ranił jój serce i rzekł z goryczą w duchu: — „Nie wart jój jestem! a więc może przestać, może przestała mnie już kochać!” — Tak mówiła mu logika niespętanych jeszcze całkiem instynktów i nieskrzywionego rozsądku jego; uwierzył jój; twarz mu zbladła

i w oczach odbiło się wielkie cierpienie. Jeżeli kiedy, wśród szału zadomowych rozrywek, zapomniał prawie o Celinie i czuł się dla niej obojętnym niemal, to teraz, wobec myśli, że utracić ją może, poznał, że jest mu ona droższą nad życie. Posiadać serce tej ślicznej kobiety, ów brylant piérwszorządny, który, jak wyszedł z rąk Stwórcy, tak trwał dotąd w całym połysku swój świetności i w całej szlachetnej czystości swój głębi; posiadać brylant ten i stracić go... i wypuścić go z dłoni dla utrzymania w niej pikowego asa lub pamfila, wydawało mu się okropném—tak okropném, że był pewnym, iż słyszał szelest skrzydeł odlatującego oden anioła stróża... Po raz piérwszy przed oczyma jego mignęły mary nieszczęść, jakie sprowadzić na niego mogło bezładne, szalone, bezcelowe życie jego. Czuł ból głowy i piersi, a więc ruinę zdrowia, niby symbol ruiny majątku; widział on z dala zielony domek starego Wigdera, opłukany brudnemi kroplami deszczu, ściekającego z dachu; ruina bytu i szczęścia domowego przynosiła mu przed oczy nieustannie kręcącą się mu po głowie myśl: „Nie wart jój jestem, a więc może przestała mnie kochać!”

Wszystkie te myśli i pojęcia były w nim niewyraźne, nie tworzyły one żadnego żalu za przeszłość, ani na przyszłość postanowienia; sprawiały mu tylko ból dotkliwy i głęboki. To, co z natury było w nim dobrem, poczęło budzić się, ruszać i wołać o ratunek,

ale nie mogło dostać się na powierzchnią z pod grubiej warstwy naleciałości życiowych. Jedna tylko myśl, jedno uczucie, jeden ból, wyraźnie w nim drgały: — było to przypuszczenie, że Celina pokochała innego.

Tak chodził parę godzin nad brzegiem rzeki; na koniec, machinalnie opuścił to miejsce i szedł z jednej ulicy na drugą, bez celu, patrząc w ziemię.

Nagle ktoś go zawołał po imieniu; podniósł głowę i ujrzał przed sobą pana Grabę. Kalixt spojrział mu w twarz badawczo, i musiał jednym rzutem oka wszystko z niej wyczytać, bo tryumfujący uśmiech przebiegł mu usta.

— Ręczę, że zgrałeś się w bilard, kochany Stachu — zawołał z dobrodusznym uśmiechem — bo masz minę *d'un chevalier à la triste figure!*

— Zgadłeś — odpowiedział Stanisław — przebrałem z rzędu kilka partyi.

— *Mon cher*, znasz przysłowie francuzkie: „*Mal-heureux au jeu, heureux en amour*”; gdybym był na twojem miejscu, nie żalił-bym się na losy... Kto ma tak śliczną i tak czule kochającą żoneczkę... Ale nie zatrzymuję cie, *mon cher*, bo właśnie przed chwilą widziałem kabriolet Ordynata Edzia, stojący u bramy twego mieszkania... gdybym był na twojem miejscu, pośpieszył-bym przerwać to sam-na-sam Edzia z zachwycającą panią Celiną... My, mężowie, powinniśmy zawsze mieć się na baczności, mianowicie, gdy

większą połowę naszego życia przepędzamy za domem... nie miej mi tego za złe, *mon cher*, téj przyjacielskiej rady... jam uczony ptaszek, a twój szczerzy przyjaciel. Do widzenia, pocziwy Stasiu!

I ze śmiechem, ukazującym dwa rzędy ostrych zębów, pan Graba ucisnął dłoń Klońskiego i odszedł, giętką laseczką świszcząc w powietrzu.

Kłoński stał długo, jak przykuty do miejsca; na czole jego zbierały się chmury bóleści, gniewu i upokorzenia.

Tymczasem, gdy się to wszystko działo w miescie, w mieszkaniu państwa Klońskich panowała wielka cisza.

W przedpokoju chrapał, leżąc na sofie, lokaj w szafirowej liberyi, a kamerdyner czytał przy oknie gazetę. Trzy salony puste były zupełnie, wielkie zwierciadła milcząco odbijały kosztowne sprzęty, brązowy zegar głucho oznajmiał upływ kwadransów. W czwartym dopiero małym saloniku siedziała Celina, w ciemnej, jedwabnej sukni, z białą lewkonią, wyjętą z wazonu i wplecioną we włosy. Pilnie haftowała, a Lolo leżał u stóp jej na aksamitnym stołeczku. O szyby okien z dźwiękiem uderzał drobny deszcz jesienny; o ściany ze świstem tłukł się wichur silny i, jęcząc, wpadał w kominy domu. Samotna kobieta podniosła głowę i zdawała się słuchać w otaczającej ją ciszy. Naprzeciw niej, w kątku pokoju, między piękną konsolą i koszem kwitnących wazonów, stało

widmo nieszczęścia, które, lubo niedostrzeżone dla oka, tchnieniem swém rozsiewało smutek, i ręką, uzbrojoną w nóż, rozdzierając duszę, pisało na każdym spręcie, w powietrzu, wszędzie, tęskne wyrazy: „Jesteś sama! jesteś sama!”

Z przedpokoju doszedł jej uszu dźwięk silnie pociągniętego dzwonka. Zerwała się z kozetki tak nagle, że aż zrzuciła z kolan robotę; stanęła i w wyczekującej postawie została czas jakiś. Żaden szmer nie nastąpił w salonie po odgłosie dzwonka. Celina poskoczyła i uderzyła parę razy w srebrny dzwonek, stojący na stole. W mgnieniu oka kamerdyner stał we drzwiach.

— Czy mąż mój wrócił? — zapytała Cesia.

— Nie, jaśnie pani — odparł sługa.

Cesia spuściła smutnie głowę.

— A któż to dzwonił?

— Żyd jakiś, który do jaśnie pana ma interes.

Celina dała znak służącemu, że może odejść, a sama, westchnąwszy, powoli weszła do budoaru, przeszła przez sypialnię i stanęła w pokoju Komorowskiej. Tu stara sługa siedziała pod oknem i pilnie coś szyła. Celina, milcząc, usiadła naprzeciw niej i, wsparłszy twarz na rękę, wpatrzyła się w pochmurne niebo. Komorowska nie przerywała sobie roboty, i kilka minut siedziały tak obok siebie w milczeniu.

Deszcz dźwięczał ciągle po szybach, wiatr pędził po niebie szare jesienne chmury; okno wychodziło na

czworokątny, brukowany i cichy, niby więzienny, dziedziniec; z ulicy dolatywał oddalony gwar i turkot powozów. Celina westchnęła, nie zmieniając postawy i nie spuszczać wzroku z ciągnących u góry chmur.

Stara służa popatrzyła na nią, pokiwała głową i zapytała:

— Czy to pan nie wrócił jeszcze z miasta?

— Jeszcze nie, Komorosiu — odrzekła cichutko Cesia, patrząc ciągle w górę.

Wtém obok niej rozległ się łoskot donośny. Spuściła wzrok i ujrzała Komorowską, ucierającą nos w tak hałaśliwy sposób, a zarazem z oczu przywiązanej służi spływały dwie strugi łez.

— Co tobie, Komorosiu? płaczesz? — miękkim głosem zapytała Celina.

— Płacę, płacę! — żałośnie zawołała Komorowska — bo widzę nieszczęście pani, bo widzę, że mąż panią opuszcza, bo pani teraz do siebie nie jest podobna, smutna, blada, Chryste Panie! jakby nie ta sama szczebiotka, co to niedawno jeszcze śmiała się i szczebiotała od rana do wieczora.

Celina smutnie się uśmiechnęła, podniosła znowu oczy w górę i z wolna odpowiedziała:

— Wszystko w świecie zmienia się i mija, moja dobra Komorosiu. Widzisz, tam w górze przepływają chmury, prędko, prędko; tak samo młodość ludzka i szczęście ludzkie przechodzi, a potem płyną z nich łzy, jak deszcz z tych czarnych obłoków.

Milczała przez chwilę i znowu zaczęła mówić powoli i z cicha:

— Teraz jesień — niebo pochmurne — brzydki deszcz pada — i jam smutna — bardzo smutna — a niegdyś w miłym moim Wieńczynie było takie jasne lato, słońce świeciło, róże kwitły, kukułka kukała i ja byłam wtedy młoda, wesola...

Wyrazy: *byłam młoda, wesola*, dziwnie brzmiały w ośmastoletnich ponsowych ustach młodej kobiety. To też Komorowska patrzyła na nią, zaledwie mogąc wstrzymać się od szlochania, a Cesia, po minucie milczenia, ozwała się znowu, jakby do siebie i ciągle patrząc w górę:

— Dokąd wśród wichrów i deszczu leci ten ptaszek mały? może do gniazdeczka, w którym go druga czeka ptaszyna? szczęśliwy! jest-że szczęście większe na ziemi, jak śliczne miękkie gniazdeczko, gdzie dwie ptaszyny kochają się wzajem i Panu Bogu w podziękę za swe szczęście razem śpiewają! ale gdy jedną ptaszynie zechce się w świat wylecieć, to druga zostaje po niej smutna, tęskni i już nie śpiewa i nie szczebioce... Gdzie leci ptaszek ten? może w rodzinne strony moje? może będzie w Wieńczynie? usiądzie na starych lipach, które oceniają dach mego ojca, a potem zaśpiewa nad mogiłą mojej matki? a może w drodze wichry mu piórka oskubią? może zmęczony upadnie gdzie na zabłoconą ziemię? bo czyliż biedna mała ptaszyna zdoła oprzeć się burzom, które nią mio-

tać zacząć po świetle? Zatrzepoce skrzydełkami, zaśpiewa smutnie i zginie!...

Ostatnie wyrazy Celina wymówiła drżącym głosem; błękitne jej oczy, ścigające pod niebem jakąś wśród mgły i wichrów zbłąkaną ptaszykę, drobną łzą zaszczyły i pierś podniosła się westchnieniem.

Zapewne słowa swe stosowała do siebie; bo ona sama nie była drobna, bezsilna ptaszyką, którą wichry życia gnały w krainę boleści?...

W drzwiach pokoju ukazał się kamerdyner i z ukłonem wymówił:

— Pan Ordynat Zrębski.

— O mój Boże! — cicho szepnęła Cesia, przebudzona ze swego zamyślenia — jakoś nie w porę wizyta.

— To niech jej pani nie przyjmuje — odszepnęła Komorowska.

— Nie mogę! Staś chce, abym była uprzejmą dla jego przyjaciół, i gniewał-by się, gdybym nie przyjęła Ordynata.

— Proś — dodała, zwracając się do służącego, a objąwszy szyję Komorowskiej, pocałowała ją w czoło i z wolna opuściła pokój.

W bawialnym salonie stał przed zwierciadłem Ordynat i wyglądał swoje jasne faworyty i poprawiał z angielską fantastyczną kokardę krawata.

Od tego miłego zajęcia oderwał go szelest jedwabnej sukni w przyległym pokoju; odwrócił się i ujrzał wchodzącą Celinę.

Ciemno-brunatna barwa ubrania uwydatniała przezroczytą delikatność jej cery, a biała lewkonia, wpleciona w złociste loki, wdzięcznie błyszczała nad drobną, pobladłą twarzą, i rzucała na nią pewien nieokreślony smutek.

Powoli przeszła przez obszerny salon i z obojętną grzecznością podała rękę gościowi.

Ordynat, od roku prawie znając panią Klońską, przywykł był widzieć ją śmiejącą się i rumianą, niezmiernie żywą we wszystkich ruchach, pełną dziecięcą naiwności i swobody. Zmiana, jaka w niej od kilku miesięcy zaszła, przychodziła tak stopniowo, że nie mogła być dotąd zauważaną przez nikogo; wszakże w dniu owych odwiedzin Edwarda, była ona już tak uderzającą, że nie uszła jego wzroku.

Ordynat uśmiechnął się nieznacznie z zadowoleniem, bo i cóż może więcej obiecywać mężczyźnie, który sądzi, iż jest kochanym, jak bladeść i osamotnienie kobiety?

Rzucając się tedy na fotel i wysoki kapelusz umieszczając pod nim, rzekł.

— Męża pani *zapewne* niema w domu?

— W istocie, Staś wyszedł *dziś* na parę godzin — odrzekła Celina.

— *Toujours seule!* — szepnął Ordynat, rzucając na młodą kobietę melancholijne wejrzenie.

Celina uśmiechnęła się, że nie słyszy i z dawną a wrodzoną

swą żywością poskoczywszy z kanapy, pochwyciła ze stołeczka Lola na ręce i wróciła na dawne miejsce.

Usiadła i głaskała, milcząc, pieska; Ordynat milczał także, bawił się łańcuszkiem zegarka i miał dość zaambarasowaną minę.

— Pani lubi pieski — zauważył po chwili.

— Bardzo — odrzekła Cesia.

— A ja lubię konie.

— Słyszałam o tém; masz pan dobry gust, bo to piękne zwierzęta.

— Prześliczne!

Rozmowa znowu urwała się; Ordynat machinalnie przerzucił album, Celina zawiązywała kokardę Lola, nie troszcząc się bynajmniej o bawienie gościa. Młodzieniec spojrział na nią w końcu pełnym sentymentów wzrokiem i zapytał:

— Czy pani czytuje „Timesa?”

Na to niespodziane pytanie, Celina podniosła głowę, otworzyła szeroko swoje naiwne błękitne oczy i parsknęła śmiechem tak głośnym i dźwięcznym, że aż po całym rozległ się salonie, a Ordynat usunął się nieco z fotelem.

— *Qu'est-ce donc, qui vous fait tant rire?* — zapytał niezmiernie seryo i z wyrazem głębokiego zdziwienia.

— O, mój Boże! jakże mnie pan rozśmieszył! — zawołała Cesia — i któż u nas kiedy czyta „Timesa?”

I znowu zaśmiała się głośno i przeciągle.

— Ja czytam „Timesa” — z wielką powagą, rzekł Ordynat.

— To co innego, bo pan byłeś wychowany w Anglii, ale ja nawet nie umiem po angielsku, i zresztą jeśli przychodzi mi chętka do przeczytania gazety, mam polską lub francuską. Takie olbrzymie dzienniki, jak „Times,” exystują chyba tylko dla dyplomatów.

Edward z przyjemnością poglądził faworyty.

— Masz pani słuszość — rzekł z flegmą — że takie dzienniki właściwe są dyplomatom, to téż ja czytuje „Timesa,” bo chociaż nie zajmuję żadnego stanowiska dyplomatycznego w Europie, mam wysokie zdolności dyplomatyczne.

— Doprawdy? — zapytała Cesia, podnosząc brwi ze zdziwieniem.

— O! tak, jestem stworzony na dyplomata.

— To nudne — rzekła bardzo seryo gospodyni domu.

— Co? — zapytał gość.

— Dyplomacya.

Tym razem Ordynat wyszedł ze zwyczajnej sobie flegmy i ze zdziwieniem szeroko otworzył oczy, patrzył tak kilka sekund na Celinę, potem, zrobiwszy głową znak pełen ustępstwa, zaczął znowu bawić się albumem.

Milczenie trwało znowu dobre dwie minuty. Miłośnik befsteku i sportu po raz pierwszy sam na sam

rozmawiał z Celiną, lubo ją znał od roku; a że w ogólności bardzo rzadko zadawał sobie fatygę rozmawiania z *damami*, z wielką trudnością szła mu więc z panią Kłońską rozmowa, tém bardziej, że ona, ze zwyczajną sobie prostotą, nie starała się bynajmniej jęj podtrzymać. Przez ciąg milczenia pan Edward przypomniał sobie wprawdzie jeden komplement, który mawiał miss Betsy w Londynie i M-elle Susanne w Paryżu, ale zanadto znał prawa światowe, aby mógł nie czuć, że powtórzenie ich przed młodzieuchną, czystą i świetnie położoną w towarzystwie, panią Kłońską, było niepodobnem.

Milczał więc długo i Celina milczała, nie patrząc wcale na niego, a myślą zdawała się być zupełnie gdzieindziej.

W końcu Ordynat, jakby dla kontenansu, włożył na nos *pince-nez*, przechylił się ku Celinie przez poręcz fotelu, na którym siedział i, patrząc jęj w same oczy, rzekł:

— Pani przypominasz mi dziwnie Angielki.

Celina usunęła się nieco z lekkim wyrazem zdziwienia i pomieszaną wzburzonego śmiałym ruchem młodzieńca i rzekła machinalnie:

— Doprawdy?

Ośmielony tą bierną odpowiedzią, Ordynat bardziej jeszcze się przechylił i śmielęj jeszcze, niż wprzód, patrząc w jęj oczy, zaczął mówić:

— O! tak, była-byś pani bardzo pięknym typem Angielki... te jasne włosy... ta cera...

Nie dokończył, bo Celina usunęła się żywo i, odzyskując całą swą przytomność i naiwną śmiałość, przerwała:

— To dziwna! pan w téj chwili wydajesz mi się cudzoziemcem!

Był to najwyższy i najmiłszy sercu Edwarda Zrębskiego komplement. To téż pogładził białą dłonią po faworytach i rzekł z zachwycającym uśmiechem:

— *Vous trouvez, madame!* w istocie, postawa moja i wzrost muszą przypominać typy angielskie. Ale i rączka pani także...

Tu wyciągnął dłoń, jak dla ujęcia ręki Celiny, i chciał zapewne powiedzieć, że miała ona rękę Angielki, ale nie dokończył, bo pani Kłońska szybko zasunęła obie ręce w rękawy i z żywością mu przerwała:

— O, na postawę pańską i wzrost nie zwróciłam doprawdy uwagi; ale wydałeś mi się pan cudzoziemcem dlatego, że Polacy zwykli są zachowywać tradycyjną dla kobiet grzeczność i uszanowanie.

Ordynat usunął się na te słowa, jak oparzony; w téj samęj chwili w drzwiach przedpokoju ukazał się mąż Celiny, a za nim lokaj, niosący na tacy zapalone świece, bo początek zmroku zaczynał zaciemniać pokoje.

Stanisław był bardzo blady i oczy niezwykle mu się iskrzyły, ale wyraz twarzy jego był spokojny —

nawet zimny. Celina, ujrawszy męża, swoim zwyczajem, z wielką radością, okazywaną śmiechem i szczebiotaniem, rzuciła się na powitanie jego. Ale on grzecznie lecz z chłodem usunął się od niej i uściśnął lekko tylko końce jęj palców, potem od niechcenia powitał Ordynata.

— Sądziłem — rzekł, rzucając się w fotel — że zbyt już ciemno było w pokojach i kazałem wnieść światło za sobą... chociaż może szara godzina lepiej usposabiała państwa do miłej gawędki... przebaczenie... jam taki prozaik!...

Celina, jakby nie słyszała słów tych, wymówionych z zupełną obojętnością i z lekkim tylko szyderstwem w głosie; zimne powitanie męża przecięło na jęj ustach wesołe słowo, schyliła głowę i powoli wróciła na swoje miejsce.

Edward zaś musnął faworyty i odpowiedział:

— *Ma foi!* nie złego nie zrobiłeś; salony twoje zyskują przy pięknym oświetleniu!

Dalsza rozmowa zawiązała się jako tako, ale nie szła dobrze i urywała się co moment. Celina była smutna, Stanisław lodowo-zimny, Ordynat nie swój jakiś i zaambarasowany. Osobliwszém jednak zjawiskiem, przez całą godzinę nie ziewnął ani razu i nie poskarżył się na zimno. Wziął snadź na seryo rolę uwodziciela, w której stanął niespodzianie, bo od czasu do czasu rzucał na Celinę spojrzenia, z których uciekła zwykła jego angielska flegma.

Celina spojrzeń tych nie widziała wcale, bo zaczęła pod światłem lampy pilnie haftować; ale nie uniknęły snadź one uwagi Stanisława, bo za każdym razem czoło jego lekko ponsowiło i wpatrywał się w żonę tak usilnie, jak gdyby chciał przeniknąć głębią jęj spokojnie oddychającej piersi.

— Uważam, Edwardzie — ozwał się raz — że dziś nie uskarżasz się wcale na zimno.

— *Que veur tu, mon cher* — odrzekł Ordynat — w tak miłym towarzystwie zapomina się o temperaturze.

I przy tych słowach, rzucił na Celinę znaczące spojrzenie bladych oczu, które jednak straconém dla niej zostało, bo wcale nie podniosła wzroku od roboty. Ale spostrzegł je Stanisław i przygryzł usta.

— *A propos* milego towarzystwa — ozwał się w tej samej chwili — czyś poznał już osobiście panią Grabinę?

— *Pas encore* — odpowiedział od niechcenia Edward — wiesz przecie, że kilka tygodni chorowała, a dziś dopiero dowiedziałem się od Kalixta, że zaczęła już niedawno przyjmować gości.

— Ja złożyłem jęj już moje wizytę wczoraj — rzekł Kloński — i rozmawiałem z nią godzinę. Przecie śliczna kobieta! — dodał z uniesieniem i spojrzał na żonę.

— W istocie, bardzo jest ładna — potwierdziła Cesia, nie podnosząc jeszcze wzroku od roboty.

— Ależ to najmniejsza tylko z jęj zalet! — zawołał Stanisław. — Co za rozum w tęg kobiecie, jaki wdzięk, a zarazem powaga w obejściu się! Prawdziwie jest zachwycająca!...

Ton pełen zapału, z jakim mówił te słowa, stanowił uderzającą sprzeczność z lodowatym chłodem, z jakim rozmawiał przed chwilą. To tęg Cesia nagle zarumieniła się i spojrzała na męża.

— Powiadam państwu — ciągnął dalej — że nigdy w życiu nie widziałem podobnie doskonałej kobiety, jak pani Grabina. Kalixt jest prawdziwie dzieckiem szczęścia, i sądzę, że każdy mężczyzna, który pozna jęgo żonę, będzie musiał choć na chwilę mu pozazdrościć?

Rumieniec Celiny doszedł do szkarłatu i zalał jęj szyję i czoło. Spuściła znowu wzrok i chciała haftować, ale igła wypadła jęj z palców. Stanisław nie widział tego, bo w tęg chwili nie patrzył na żonę.

— *Ma foi, cher ami* — ozwał się Ordynat — dziwię się mocno twojemu uniesieniu dla pani Graba. Nie przeczę bynajmniej, że ona być może zachwycającą kobietą, ale kto ma zawsze obok siebie tak piękną gwiazdę, z mniejszém uwielbieniem musi patrzeć na inne.

Celina spojrzała na Ordynata.

— Czy to mnie pan porównałeś do gwiazdy? — zapytała.

— *Oh, madame* — odparł młodzieniec — porównanie zbyt skromne może...

— Nie wiedziałam, że w Anglii używają tak poetycznych metafor, w każdym razie jednak nie dziwię się wcale, że Staś oprócz mnie spostrzega i uwielbia inne kobiety, które tego są warte; owszem, cieszy mnie to, bo jest dowodem, iż umie on cenić prawdziwe piękno wszędzie, gdzie je spotka.

Powiedziała to z zupełnym spokojem, żeby jednak z uwagą jęj słuchał, dosłyszał-by, że głos jęj z pewném wysileniem wydobywał się z piersi.

— Otóż, widzisz, Edwardzie! — zawołał Stanisław, wstając z fotelu — mam pozwolenie od mojęj żony uwielbiać wszystkie na świecie kobiety, które tego są warte. Jaką nieocenioną mam żonę, Edziu, nie prawdaż? Brakuje tylko tego, abym ja jęj podobnego udzielił pozwolenia, a będziemy stanowili małżeństwo prawdziwe wzorowe, rządzące się czystą esencją filozofii! To tęg zaczynam z moich praw korzystać i wyznaję otwarcie, że jestem gorącym adoratorem pani Kamilli!...

Słowa te wymówił takim ostrym tonem chłodnego szyderstwa, a tylko ostatnie z takim zapałem, że ani Celina, ani Edward nic nie odpowiedzieli. Stanisław przeszedł się parę razy po salonie, jakby gwałtownie potrzebował ruchu i, stojąc przed żoną, zapytał w ten sam zimno-ironiczny sposób:

— A ty, Celino, czy nie uważasz sobie jeszcze żadnego przedmiotu uwielbianego?

— Owszem — odpowiedziała Cesi, nie podnoszę wzroku.

— I któż jest twym miłościwym? czy można widzieć?

— Celino — odrzekła krótko młoda kobieta.

Obaj mężczyźni roześmiali się. Stanisław ostrzegawczo. Edward przez zęby i z przymusem. Ostrzeżenia Cesi były naiwne i zdawały się żartować, ale gdyby w tej chwili kto zajrzał był po jej spuszczone powieki, zobaczył-by tam dwie, kręjące się pod rzęsą, powstrzymywane łezki.

W kilka chwil potem, Ordynat pożegnał państwa Klońskich i wyszedł, a małżeństwo zostało sam na sam.

Stanisław chodził ciągle po pokoju, Celina haftowała, kiedy niekiedy tylko zasmucony wzrok rzucał na męża.

— Stasiu — wymówiła w końcu — zdaje mi się że jesteś w bardzo niedobrym humorze? czyż czego zmartwiony?

Stanisław stanął przed nią i zamiast odpowiedzi rzekł ironicznie:

— Czy wiesz, Celino, że mocno się dziwię, iż do tej pory nie pomyślałaś o nauczaniu się angielskiego języka.

Celina wpatrzyła się w niego ze zdziwieniem.

— Zkąd ta myśl, Stasiu? — zapytałam — i dlaczego znajdujesz, że mi umiejętność tego języka potrzebna?

— Miała-bys przyjemność rozmawiać po angielsku z tymi, którzy wolą Anglią i wszystko, co angielskie, niż własny kraj.

Celina wzruszyła ramionami.

Stanisław, zamiast odpowiedzi, zaczął lekko pogwizdywać, ale skoczna nuta aryetki silnie sprzeczała się z jego twarzą, którą naprożno usiłował chłodną uczynić. W zmarszczonych brwiach i połysku oka malowało się wzburzenie.

Nagle pochwycił kapelusz i zmierzył ku drzwiom.

— Wychodzisz, Stasiu? — zapytała nieśmiało Celina, powstając i idąc za nim.

— Idę do Grabów — odparł Kloński.

Na twarz Celiny wystąpił znów rumieniec, spokojnie jednak wyciągnęła rękę i rzekła:

— Do widzenia, kochany Stasiu.

W tych wyrazach było tyle słodyczy i łagodnego zgadzania się, a zarazem taki w nich zadrzał smutek głęboki, że Stanisław ujął za rękę żonę, pociągnął ją ku sobie i spojrzał w jej oczy. Zdawało się przez chwilę, że chciał ją przycisnąć do piersi, ale w mgnieniu oka usunął się i, lekko tylko uściśnawszy jej palce, wyszedł.

Celina zbladła bardzo i, postawszy chwilę na miejscu, szybko przebiegła przez dwa salony i wyjrzała do

przedpokoju. Zdawało się, jakby rażona obojętném i niezrozumiałém obejściem się męża, pragnęła raz jeszcze go zobaczyć, nim odejdzie.

Na środku przedpokoju stał Kloński; kamerdyner podawał mu paletot.

— Przychodził dziś żyd jakiś do jaśnie pana, za interesem — mówił — ale jaśnie pana wtedy w domu nie było.

Stanisław żywo podniósł głowę.

— A nie powiedział, jak się nazywa?

— Owszem, jaśnie panie, Wigder z Nadrzecznej ulicy.

Celina spostrzegła, że mąż jej bardziej jeszcze zmarszczył brwi i przygryzł usta.

— Jeżeli przyjdzie jutro, a mnie w domu nie zastanie — rzekł do kamerdynera — to poproś go, aby się wicęj do mnie nie trudził, bo sam będę u niego.

Z temi słowy Stanisław wyszedł, nie spostrzegłszy patrząc na niego przeze drzwi żony.

W godzinę potem, Celina siedziała w swojej sypialni, a Komorowska zajęta była około zawijania jej papilotów. Młoda kobieta smutnie mówiła do swęj powiernicy-służącej:

— Czy wiesz, Komorosiu, że Staś dziś w dziwném był usposobieniu; jakiś taki obojętny i jakby rozgniewany...

— Chryste Panie! a za cóż-by téż pan mógł na panią być rozgniewany?

— Ja nie wiem; może zresztą był zmartwionym; zdaje mi się, że ma wiele kłopotów...

— Kłopotów! — zawołała służąca — Chryste Panie! a toż jakich? albo to pan gospodaruje, sieje, czy żnie, Panie odpuść! albo jaki handel prowadzi? Ot wszystko gotowiusieńskie przysyła papa jeden i drugi, to i zkad te kłopoty?

— Widzisz, Komorosiu, życie w mieście dużo kosztuje...

— Oj, co to, to prawda!

— Papa pisał mi w ostatnim liście, który otrzymałam przed tygodniem, że przeżyliśmy w tym roku dwa razy tyle, ile mamy dochodu oboje, że zatem przysłał mi już część kapitału, jaki był na moje imię złożony w banku...

Komorowska ciężko westchnęła.

— Oprócz tego — mówiła dalej Celina — pisał do mnie papa, że słyszał, jakoby Staś zaciągał znaczne długi; ja naturalnie odpisałam papie, że to kłamstwo i plotka na mego pocziwego Stasia, ale teraz, gdy zastanawiam się nad tém, myślę, że może to i prawda...

Komorowska jeszcze ciężęj westchnęła.

— Od pewnego czasu — ciągnęła dalej pani Klońska — widzę mnóstwo ludzi, przychodzących za interesem do Stasia, czego dawniej nie bywało... i żydzi, i jeszcze jakieś nieznane, niemiłe figury... może on od nich pożycza pieniędzy; widzisz więc, Komorosiu,

że ma on swoje kłopoty, i że trzeba mu przebaczać, jeśli czasem jest w złym humorze...

— Chryste Panie! — zawołała Komorowska — jakie też z pani dziecko! a któż panu przyczynia tych kłopotów, jeśli nie on sam? Już nie mówię o tém, że bezpotrzebnie państwo mieszkają w mieście i ponoszą takie znaczne wydatki, które-by można mniejszym daleko kosztem, a z taką samą wygodą i większą korzyścią, na wsi opędzać, ale jeszcze karty, bilard, kawalerskie wieczorki, ot co zjada fortunę!...

Teraz już Celina westchnęła.

Komorowska mówiła dalej:

— Toć Józef, kamerdyner państwa Grabów, opowiadał naszemu Andrzejowi, że dwa tygodnie temu, pan Graba wygrał tysiąc rubli od naszego pana... Oj, bo i ten pan Graba, Boże odpuść! żona chora leżała w łóżku, i to w dwa miesiące po ślubie, a on wieczorki u siebie wydawał! Oj, jaki też to świat!...

Celina ciężiej westchnęła i smutnie skłoniła głowę.

— Tak, tak, moja Komorosiu — rzekła — ani ten świat taki piękny, ani to życie takim łatwem nie jest, jak się to nam od razu zdaje. Ot, moje naprzykład, zdawało się, kiedym miała lat szesnaście i nie byłam jeszcze mężatką, że polecę sobie przez życie jak motylek, i same różyczki takie, jak ja lubię, drobniuchne a pachnące, będą kwitły na mojej drodze; a teraz zaczęłam dopiero rok dziewiętnasty i już wi-

dzę, że niedarmo powiadają, iż życie jest ciernistą drogą.

Komorowska kiwała żałośnie głową i nos jęj czerwieniał; zabierała się już do ocierania go z łoskotem, gdy Cesia ozwała się znowu po chwili milczenia:

— A jednak, czy wiesz, Komorosiu, że chociaż często bywam bardzo smutna i z kilku przyczyn, to jednak im więcej poznaję innych ludzi, tém więcej kocham mego Stasia. Ze wszystkich mężczyzn, których widuję tu około siebie, on jest najlepszy. To prawda, że niepotrzebnie gra w karty i w bilard, że była-bym daleko szczęśliwsza, gdyby częściej przebywał w domu i ze mną, niż ze swymi towarzyszami i przyjaciółmi; ale widzisz, czyż to jego wina, że go jakoś tak pokierowano od lat najmłodszych, że już przywykł do tego i trudno mu się pozbyć dawnych zwyczajów. Czuję przytém, że gdyby nie ten Graba, do którego od pierwszego wejrzenia powzięłam formalną antypatyą, Staś dawno już był-by innym. Wszak może pamiętasz, że wprzód daleko częściej bywał on ze mną i daleko mniej grał w karty, a dopiero jak zapoznał się z Grabą, wzmogły się te wszystkie trapiące mnie jego zamiłowania. Ale za to ja jestem pewna, że on ma bardzo, bardzo dobre serce i więcej rozsądku, niż wszyscy jego przyjaciele, a do dzisiejszego wieczoru byłam także przekonaną, że mnie kocha...

— Chryste Panie! do dzisiejszego wieczoru? — zawołała Komorowska.

Celina zakryła twarz obu rękoma i długo nie odpowiadała. Po chwili podniosła głowę i cichutko zapytała:

— Komorosiu, czy widziałas ty kiedy panią Kamille Grabiną?

— Widziałam, pani.

— Nie prawdaż, że ona bardzo piękna?

— At sobie! nieszpeta — zdecydowała Komorowska — a czemu to pani pyta mnie o to?

— Nic, nic, tak sobie — odparła Celina i zamyśliła się głęboko.

Z razu zamyślona twarz jęj była bardzo smutna, ale stopniami wypogadzała się, stawała się spokojną, aż zawitał na nięj dziwnie słodki, pełen rozrzewnienia i nadziei, uśmiech. Poniosła rękę do piersi i rzekła cicho, jakby do siebie:

— O, ja mam myśl, która mnie pociesza i odpe-
dza ode mnie wszystkie smutki i niepokoje! wszak-
że za kilka miesięcy.... za kilka miesięcy ja będę
matką...

Spojrzenie jęj przeniosło się na święty obraz, wi-
szący nad klęcznikiem, ręce złożyła jak do modlitwy
i szepnęła:

— O! Matko Boga! dzięki ci za to!

Komorowska patrzyła na nią długo pocziwym
wzrokiem, w którym był rodzaj macierzyńskiego uczu-

cia; potem, widząc, że ukochana pani jęj nie porusza
się i nie już nie mówi, nakreśliła nad jęj głowę
znak krzyża świętego i po cichu opuściła pokój.

Celina została nieruchoma, wpół leżąca w fotelu.
Długie fałdy białego penioaru spadały aż na posadz-
kę, ręce miała złożone na piersi, a wzrok, pełen rze-
wnego i słodkiego rozmyślenia, utkwiony w obrazie.
Z płonącej przed nim alabastrowej lampy szeroka
struga białego światła spływała na jęj głowę, niby
słane błogosławieństwo od świętej z obrazu, na którą
z niemą patrzyła modlitwą. Widmo nieszczęścia sta-
ło naprzeciw nięj w najgłębszym kątku pokoju, i nie
śmiało zbliżyć się do nięj, odżegnane przedświtem ma-
cierzyństwa.

III.

Wieczór grudniowy zimny był i sypał na świat drobnym, ostrym śniegiem, który, pokrywając ulice miasta M., z głuchym dźwiękiem odbijał się o szyby domostw. Dźwięk ten rozchodził się też w milczącym i pogrążonym w zmroku mieszkaniu państwa Grabów. W jednej tylko sali jadalnej światło było i ruch panował, bo lokaje zdejmowali tam właśnie ze stołu nakrycie do obiadu. Reszta salonów nie była oświetloną, i dopiero z budoaru Kamilli, z tego samego budoaru, w którym usłyszała nazajutrz po ślubie dziwne wyznanie męża, wązkami smugami płynęło do przyległego pokoju czerwonawe światło kominkowego ognia. Tam, przed żelaznym kominkiem, prosiłem zwrócona do płomieni, siedziała Kamilla. Wysmukła jej postać, opłynięta fałdzistym ubraniem z czarnego aksamitu, wybitnymi kształty rysowała się wśród zmroku, na czerwonym tle, utworzonym przez blask ognia. Ten sam blask spływał na twarz jej

ślizgając się po jej czole krwistymi smugami, rozświecał ją posępnym kolorytem, a oczy jej, pełne chmurnego ognia, błędziły po pokoju z zamysleniem.

W głębi budoaru i naprzeciw Kamilli, zasunięty w fotel i plecami odwrócony od okna, tak, że twarz jego cała tonęła w zmroku, siedział Kalixt.

Milczenie zupełne długo panowało w budoarze, przerywane tylko uderzeniem śniegu o szyby i trzaskiem ognia na kominku.

— Czy wiesz, Kamillo — ozwał się w końcu głos Graby — że przesłicznie wyglądasz w tej chwili. Bardzo ci jest do twarzy w tej aksamitnej sukni, a blask ognia dodaje szczególnego charakteru twojej postaci. Na honor, gdyby cię w tej chwili widział malarz jaki, z radością malował-by niezawodnie twój portret.

Kamilla milczała.

— No i cóż, kochana żono — rzekł znowu po chwili Graba — czy nie raczysz się odezwać do mnie ani razu? Szczególną jesteś kobietą! Ja mówię ci tyle miłych rzeczy, a ty nie rozchmurzysz nawet swego olimpijskiego czoła.

Kamilla milczała ciągle.

— Hm — ozwał się znowu jej mąż — jak widzę, musiałaś zapomnieć o jednym z punktów umowy, którą zawarliśmy nazajutrz po ślubie, to jest, że wymagam od ciebie, abyś była łagodną i uprzejmą żoną...

Kamilla milczała jeszcze przez chwilę, potem, nie zwracając spojrzenia na męża, rzekła:

— Pragnę zapomnieć o wszystkiém, com widziała i słyszała wtedy, ale... nie mogę.

Graba rozśmiał się głośno, przeciągle.

— Nie możesz... zapewne... i dobrze, że nie możesz zapomnieć, bo inaczej jabym ci sam wszystko na każdym miejscu przypominał. Ale sądzę, iż będzie lepiej, jeśli wniosą tu światło: może to zmrok czyni cię tak posępną?

I wyciągnął rękę do dzwonka.

— Ja *nie chcę*, aby wnoszono tu światło — rzekła Kamilla, a głos jej, lubo spokojny, tak był stanowczy i nieledwie rozkazujący, że Graba opuścił rękę.

— I dlaczegoż-to nie chcesz światła? czy można wiedzieć? — zapytał. — Może dlatego, że miło ci jest nie widzieć mojej twarzy?

— Tak — odrzekła Kamilla, tym samym, spokojnym i stanowczym głosem.

— Miły, na honor, komplement dla tak czule kochającego, jak ja, małżonka! — zawołał pan Graba z nerwowym śmiechem.

— W sercu i w myśli uczyniłeś mi tak ciemno, że razi mnie światło zewnętrzne.

— Coraz lepiej! — rzekł Graba, drżącym trochę od wzruszenia głosem — dziwną, dziwną jesteś ko-

biętą! Powiedz mi, zkad ten twój wstręt do mnie? dlaczego ty mnie kochać nie możesz?

Na te słowa Kamilla rozśmiała się ostrym i głośnym śmiechem.

— Ty powiedz mi: kto jesteś? — rzekła.

— Kto jestem? — odpowiedział Graba głosem znizonym od rozdrażnienia—jestem twoim mężem, któremu przysięgłaś miłość i posłuszeństwo; jestem człowiekiem, który otoczył cię bogactwem i włożył na ciebie tę suknię, w której jesteś tak piękna...

Kamilla wyprostowała się, dumnie podniosła głowę i przerwała:

— Nie o to pytam. Wiem, że jesteś moim mężem i że ci ślubowałam, boś mnie oszukał... oszukał twarzą i słowami; wiem, że dałeś mi bogactwo i *rozkazałeś* używać go. Wiem to wszystko i nie pytam o to; byłam biedna, w ubóstwie mojem szczęśliwa, bo ufna w Boga i ludzi, i nieznająca wielkich podłości tego świata. Dziś... bogactwo twoje... narzucone mi... jak rozpalony kamień ciąży na dumie i uczciwości mojej... suknia ta z aksamitu i koronek, to włosienica, która ból zadaje memu ciału i wjada się w głąb zranionej duszy. Więc nie pytam cię, czy jesteś moim mężem i czy mi dałeś bogactwo, bo czuję to... o! czuję sama. Ale zapytuję ciebie, kto jesteś... bo ani twych myśli, ani twego postępowania nie rozumiem... bo jesteś taki tajemniczy, jak głębie mętnej wody, i ja, która niedawno byłam tak czysta, jak kry-

sztął, pragnę wiedzieć, co się znajduje pod temi mętami i gdzie ich źródło?

Umilkła, i znać było, że oddychała z ciężkością. Graba ozwał się głosem nieopisanéj ironii:

— Retoryczne twe zdolności, kochana żono, za daleko cię unoszą. Alboż przypuszczasz, że powstałem z grobu i jak upiór błędę po świecie, albo, że jestem jakimś ukrywającym się Rinaldinim, czy przebranym królewiczem? Żywość twojej wyobraźni przenosi cię w takim razie w wieki średnie. Dziś, kochana żono, niema na świecie ani upiórów, ani kryjących się pod przybraném nazwiskiem rozbójników, ani szukających awantur królewiczów, i ja nie mogę dać poetycznej przyjemności reprezentowania się tobie kim innym, jak tym samym Kalixtem Grabą, którego nazwisko szanowny ksiądz dziekan zapisał obok twojego we wspólnej naszej metryce ślubnej. To jednak nie wydaje mi się dostatecznym powodem, abyś twemi przesłicznymi oczyma, które, na honor, najpiękniejsze są ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem, niechętnie na mnie patrzeć miała.

— Wiem, że jesteś mistrzem w szyderstwie — rzekła Kamilla cichym, złamanym głosem — wiem o tém od téj fatalnej godziny poślubnego ranka, w której serce pękało mi z bólu, a głowa ze zdziwienia. Udajesz, żeś mnie nie zrozumiał... być może zresztą, że tłómaczę się niejasno. Mam zamęt ciągle w myślach... może to skutek dawnéj ciągłej cho-

roby... może odczucie téj fali krwi, która zalała mózg mojej najdroższej matki i ledwie jęj nie zabiła...

Chciała mówić dalej, ale nie mogła, i z cichym jękiem zakryła oczy rękoma.

— Wydaje mi się, jak-bym był na melodramacie — ozwał się z wolna Graba, zapalając cygaro.

Światło zapalki, którą do téj czynności rozniecił, ukazało bladą twarz jego, powleczonej wyrazem szyderstwa, ale zarazem drgającą od nerwowego wzruszenia.

Młoda kobieta podniosła głowę i, jakby nie słyszała ostatnich słów jego, rzekła:

— Chcę wiedzieć, kim jesteś, to jest: jaką masz rolę na świecie, i jakie miejsce twe między ludźmi? Chcę wiedzieć, jakie są cele twego życia, bo przypuszczam, że nie muszą być dobre. Chcę wiedzieć, dlaczego tak bardzo pragniesz wydać się bogatym, bogatszym, niż jesteś, bo z wielu oznak, które nie mogły umknąć memu oku, spostrzegłam, że w istocie nie posiadasz tak wielkiego majątku. Chcę wiedzieć na koniec, dlaczego ci tak idzie o to, abym zawsze i wszędzie wydawała się wielką panią; co znaczą te ciągłe liczne zebrania, w tym domu, mężczyzn wszelkiego rodzaju, zebrania, których huczne odgłosy słyszałam, leżąc w ciężkiej chorobie i do uczestnictwa w których zaczynasz mnie zwałować, lubo zaledwie przyszedłam do zdrowia?..

Chciała mówić więcej, ale Kalixt zerwał się na-

gle z siedzenia, przystąpił do niej i rzekł gwałtownie:

— Słuchaj, Kamillo! mam dla ciebie wielką słabość... zaklinasz mnie i czarujesz niepospolitym powabem twój postaci, może też drażnisz i pociągasz niechęcią i wstrętem do mnie, jakich nigdy w żadnej nie spotkałem kobiecie. I przez tę tylko słabość moję, pozwalam ci zadawać sobie podobne pytania; ale posłuchaj mnie: lituj się nad sobą samą i nie pytaj więcej nigdy, bo jeżeli teraz zechcę odpowiedzieć ci na wszystko, złamiesz się u nóg moich, jak trzcina, i pożałujesz, żeś za wcześnie zdobyła wiedzę, której teraz żądasz. Rozważ, co mówię; nie szydę w tej chwili, i żart dalekim jest ode mnie. Ja, nim powiem ci wszystko, chcę wprzód nastroić cię do mojej nuty... chcę cię przygotować i usposobić... tymczasem milcz i nie pytaj o nic, jeżeli nie chcesz, aby duma twoja i uczciwość pozrywały w twój piersi wszystkie nici żywotne...

— Boże! — jęknęła Kamilla — cóż to jest? cóż to jest? kim ty jesteś? i czyją jestem żoną?!

Kalixt gwałtownie pochwycił ją za rękę.

— Słuchaj — rzekł — gdyby dawniej, dawniej kiedyś, podobna tobie kobieta zjawiała się była na mojej drodze... przykuła mnie do siebie pięknnością postaci i potęgą rozumu, może... może nie stał-bym się był tém, czém dziś jestem... ale teraz za późno, już wszystko skończone dla mnie... i żadna moc niebie-

ska, ani piekielna, nie odmieni we mnie krwi, która w czarną zmienić się musiała w mych żyłach. Wprawdzie miałem też niegdyś obok siebie młodą kobietę, która była tém, co marzyciele nazywają aniołem dobroci, alem jęj nie kochał. Podjąłem ją tylko, jako worek pełen złota, a ona sama nie wzbudzała we mnie żadnych uczuć. Było to dziecko słabe... z wodą w żyłach, zamiast krwi... jedna z tych istot, które stworzone są na pocziwe żony hreczkosiejów... nie mogła więc ona zwrócić w inny kierunek mego życia, które szalonym prądem biegło ku swemu przeznaczeniu... gdybyś ty wtedy była na jęj miejscu... może... bo ty jesteś inną... w twoich oczach ogień goreje, który wcisnął się w pierś moję tak, że musiał, choćby w sposób, z jakiego zawsze szydziłem... ty... o ty... wprowadzasz mnie nawet w tej chwili w stan exaltacji... zarażasz mnie swoim patos...

I przy ostatnich wyrazach zaśmiał się strasznym śmiechem szyderstwa, rozdrażnienia i namiętności.

Kamilla stała przed nim, jak odrętwiała; na twarzy jęj rozlał się wyraz przerażenia, połączonego z wstrętem i żalem.

— Kalixcie — ozwała się w końcu złamanym, ale łagodnym głosem — Bóg tylko wie, ile uczyniłeś mi złego. Starłeś z méj duszy wiarę w ludzi, kłamstwem związałeś mnie z sobą i bez litości nad moją młodością, nad tém uczuciem szacunku i sympatyj, jakie dla ciebie miałam, zdjąłeś swą podwójną maskę

i rzuciłeś mnie w odmet rozpacz w takiej chwili, jak innym kobietom przynosi szczęście bez granic. Więc kochać ciebie jam już nigdy niezdolna, o, nigdy! ale przebaczyć ci mogę i mogę podać rękę moralnej pomocy, jeżeli jęj potrzebujesz. Powiedz mi wszystko, zrzuć te ostatnie łachmanki twojej maski, któremi chcesz część siebie zakryć przede mną; jeżeli pod niemi są straszne jakie rany, nie odtrącaj mnie one więcej, niż wszystko, com już w tobie ujrzała. Nie urodziłam się wprawdzie na siostrę miłosierdzia... nie wiem, z kąd Bóg mi da siłę zaparcia się samęj siebie... ale jestem chrześcijanką i mam młode, silne serce... oddam je całe litości nad tobą i przyjaźni dla ciebie. Powiedz mi tylko wszystko...

Kalixt odstąpił od nięj parę kroków i, patetycznie wyciągając ręce, zawołał:

— O, żono kochana! jakże piękna jesteś w tęg tragicznej roli ofiary, wyciągającej dobrowolnie pod nóż szyję swoją! Patrząc na ciebie, zda się, że to Niobe, wyrzucająca niebu swe nieszczęścia!

Kamilla spuściła głowę na piersi; odbłask czerwony spłynął na nią i krwawo twarz jęj oświetlił.

— Ha — rzekła po chwili — nie chcesz, abym ci rękę przyjazną i pomoc moralną podała, nie chcesz nawet zostawić mi iskry nadziei, abym kiedykolwiek mogła być czémś więcej względem ciebie, niż nikczemnie oszukaną kobietą... jak chcesz więc, tak będzie; ale zarazem i ja oświadczam tobie, że dopóty tylko

będę twoją niewolnicą, dopóki potrzebować tego będzie życie i zdrowie mojęj matki. Dotąd taę przed nią wszystko, udaję szczęśliwą, bo wiem, że wiadomość o prawdzie zabiła-by ją... a gdyby jęj jeszcze mi zabrakło...

Nerwowe wstrząśnienie całém ciałem znowu jęj mowę przerwało.

— I cóż, kochana żono, myślisz uczynić wtedy, gdy życie i zdrowie twojęj matki nie będzie potrzebowało tego, abys była, jak powiadasz, moją niewolnicą? — zapytał Graba.

Kamilla dumnie podniosła głowę.

— O, bądź pewny — rzekła — że w chwili, w którą będę wiedziała, iż odkryciem prawdy nie zabiję mojęj matki, zedrę z siebie te bogate suknie, któremi przemocą mnie odziales, złamię ten ślubny pierścień, który oszukaństwem włożyłeś mi na rękę i pójdę, uboga, jak dawniej, pracować na kawałek chleba dla matki i siebie...

— Doprawdy? — z wolna rzekł Graba. — Jakież z ciebie naiwny dzieciak! Najprzód wiedz o tém, że pierścionki ślubne nie z taką łatwością łamią się, jak ci się zdaje, tém bardziej, gdy mąż naprzykład sprzeciwia się dokonaniu tęg drażliwej w każdym razie operacyi. Powtóre: wątpię, aby kiedykolwiek matka twoja mogła z bezpieczeństwem dla życia dowiedzieć się o wszystkiém, co zachodzi między mną a tobą, tém bardziej, że przedstawiś to w barwach wyexalto-

wanych twą żywą wyobraźnią. Atak apoplektyczny, któremu uległa pani G. nazajutrz po naszym ślubie, może powtórzyć się za jakimkolwiek silniejszym wzruszeniem; nie radzę ci więc próbować...

Kamilla jęczała boleśnie.

— O, jeśli masz najmniejszą iskrę uczciwości, jeśli choć najslabiej odzywa się w tobie sumienie! — zawołała — staraj się, staraj się wspólnie ze mną, aby ona miała mnie za szczęśliwą... jój życie, to moje życie... ona, to jedyny przedmiot między mną, a nie-
złąbioną rozpaczą...

— Uf! ileż frazesów — rzekł Graba. — Coraz więcej przekonywam się, kochana żono, że gdybyś była została artystką dramatyczną, znakomicie mogła-bys się odznaczyć w artystycznym świecie. Rzecz, o którą mnie prosisz, jest bardzo prosta do spełnienia, i nie mam żadnego interesu zwierzać się twojej matce, ani z naszego domowego pożycia, ani tém bardziej z dalszych spraw moich. Chcę nawet i wymagać od ciebie, aby to wszystko, co widzisz i słyszysz, pozostało zupełną tajemnicą między mną a tobą, jako między dwojgiem ludzi, którzy są: „jedną duszą w dwóch ciałach”, jak mówi Pismo Święte.

Kamilla gorzko się uśmiechnęła i rzekła z cicha:

— Dziękuję.

— Teraz, kochana żono — ozwał się Graba — może rozkażesz wnieść światło do pokojów. Jeśli mnie pamięć nie myli, zdaje mi się, że oczekujesz

swójjej matki, która i jutrzejszy dzień cały ma spędzić w naszym domu. Każ więc oświetlić pokoje, bo pani G., znajdując ciemności, pomyśli, że gramy w ślepą babkę, co-by memu przynajmniej wiekowi trochę już nie przyszło. Co do mnie, muszę cię opuścić i nie będę mógł korzystać dzisiaj z miłego towarzystwa twojej matki. Staś Kloński prosił mnie, abym zaszedł do niego, i pójdziemy razem na wieczorek do jednego z przyjaciół. Ten pocziwy Staś, znasz go już przecie dobrze, wydaje mi się od pewnego czasu w nieporozumieniu ze swoją żoną... podobno zazdrośny o tego anglomana Ordynata... przytém przegrywa szalenie, a to wszystko wprowadza go w tak czarny humor, że chcę go rozerwać i prowadzę na wieczorek, gdzie znowu zgra się na pociechę... ha, ha, ha! Ale zapominam się przy tobie, najdroższa żono — dodał, patrząc na zegarek przy świetle dogasającego na kominku ognia — i choć rozmowa z tobą wiele ma dla mnie powabu, niemniej jednak pożegnać cię muszę, bo obowiązki przedewszystkiem.

Mówiąc ostatnie wyrazy, rozśmiał się po swojemu, objął żonę i chciał ją przycisnąć do siebie. Ale Kamilla żywo cofnęła się i wysunęła z jego objęć.

— Resztką wstydlivosti dziewczęj! — rzekł Graba, patrząc w jój oczy — przebaczam ci ją... do czasu!...

Rzekłszy to, z galanterią pocałował jój rękę i wyszedł.

Po chwili Kamilla posłyszała donośny głos jego, wołający w przedpokoju:

— Światła do pokoiów!

W kilka minut potem salony były oświetlone lampami i świecami w złożonych kandelabrach.

Naokoło Kamilli, siedzącej nieruchomie przed kominkiem, z oczyma wpatrzonemi w zagasłe ognisko, ukazały się, wywołane z cieniów, piękne i bogate sprzęty: miękkie, ponsowo wybite kozetki, ciężkie portyery, zwieszające się gustownie nad drzwiami, stoliczki o marmurowych blatach, unoszące na sobie zegary, statuetki i różne zbytkowne cacka. Żwierciadła odbijały blask lamp i świec i powtarzały je po kilkakroć, oddając go sobie wzajem z salonu; posadzka zaślśniła na podobieństwo zwierciadeł.

A między tém wszystkiém, przed siedzącą w smutném zamyśleniu kobietą, za nią i wkoło niej, kręciło się hasło: nieszczęście!

Siedziało ono na miękkich poduszkach fotelów i kanap, przeglądało się w zwierciadłach, ślizgało się po woskowanych kwadratach posadzki, pełzało po kwiecistych kobiercach. Szyby, drżące pod uderzeniem śniegu, dźwięczały: nieszczęście! tętno zegara powtarzało ten sam wyraz, i cisza głęboka krzyczała: nieszczęście! nieszczęście! nieszczęście!

Kamilla, jakby poczuła dotknięcie tej mary, która otaczała ją zewsząd, jakby posłyszała głos jój, wołający na nią wśród ciszy, zerwała się nagle, przyci-

snęła dłonią czoło, i pierś jój jednym głębokim podniosła się łkaniem.

W tej samej chwili w bramie domu dał się słyszeć turkot zajeżdżającej karety, i kamerdyner Józef, stojąc we drzwiach, wyrzekł:

— Matka jasnie pani przyjechała.

Kamilla żywo poskoczyła do zwierciadła, w mgnieniu oka poprawiła włosy, przybrała wyraz fizyognomii pogodny, uśmiechnięty i wybiegła naprzeciw matce.

Po chwili obie kobiety znajdowały się razem w budoarze. Na pani G. znać było ślady przebytej choroby, co więcej, twarz jój, tak spokojna dawniej, powlokła się wyrazem jakiegoś nieokreślonego niepokoju, kilka zmarszczek przybyło na dumne czoło.

— Siadaj tu, moja najdroższa mateczko! — mówiła Kamilla, prowadząc matkę do wygodnej sofy i układając dla niej poduszki.

— Meża twego niema w domu, Kamillo? — zapytała pani G., siadając.

— Przed chwilą wyszedł — odrzekła Kamilla — i prosił mnie, abym przeprosiła cię, mateczko, że jutro dopiero cię powita, ale od dawna już wybierał się na dzisiejszy wieczór do któregoś z przyjaciół.

— Czy często zostajesz samą? — zapytała pani G., uważnie patrząc na córkę.

— O, bardzo rzadko — odparła najnaturalniej w świecie Kamilla. — Kalixt tak lubi moje towarzy-

stwo! Niekiedy jednak wychodzi, bo trudno przecie mężczyźnie zamykać się w domu, jak w klasztorze.

— Powiadasz, że mąż twój chętnie przebywa w twojem towarzystwie?

— O, tak mateczko; mamy zawsze ze sobą tyle do mówienia! on tyle rzeczy widział, tylu znał ludzi, i sama wiesz, jak zajmująco umie o wszystkiém opowiadać. Ja téż, choć nie mam tyle resursów, zawsze znajduję coś do powiedzenia jemu; tak więc doskonale nam czas ze sobą przechodzi.

Pani G. badawczo patrzyła na córkę, ale fizyognomia Kamilli była tak spokojna i pogodna, ton jej mowy miał w sobie taką żartobliwą wesołość, że najmniejsza wątpliwość o prawdzie słów jej nie mogła nasunąć się myśli matki.

— Powiedz mi, droga — ozwała się znowu po chwili rozmawiania o czém inném — jak ci tam było w czasie twojej choroby? Mówiłam ci, jakie męki przeżyłam, nie będąc w stanie ciągle zostawać przy tobie.

— O, wszakże przyjeżdżałaś do mnie, moja matko! — zawołała Kamilla.

— Tak, ale byłam sama tak słaba, że niepodobna mi było dłużej nad jedną godzinę siedzieć przy twojem łóżku; przytém, dziwném zjawiskiem, widok mój pogarszał zwykle twój stan i wzmaczał chorobę...

— To w skutek gorączki — żywo tłumaczyła Kamilla.

— Zapewne, ale z nieopisanym niepokojem myślałam zawsze, czy téż kto zastępuje mnie skutecznie przy tobie. Jak téż był wtedy twój mąż? czy bardzo o ciebie troskliwy?

— O, nadzwyczajnie! — rzekła Kamilla pewnym głosem, ale nagle odwróciła się od matki i, pociągawszy za taśmę dzwonka, stała przez chwilę, zwrócona twarzą do drzwi, niby czekając nadejścia służącego.

— Podaj herbatę! — rzekła do kamerdynera, który wnet się pojawił, i dopiero, gdy ten zniknął, znowu zwróciła się ku matce.

— Kamilko! co tobie? — zawołała pani G.

— Cóż, moja matko? — z uśmiechem i zdziwieniem zapytała pani Grabina.

— Takeś strasznie zbladła!

— O, to nic, to wnet przejdzie! są to jeszcze pozostałości mojej choroby. Czasem nagle robi mi się słabo, i wtedy blednę; ale doktor mówił, że to lekkie osłabienie, które za parę tygodni przejdzie.

Mówiąc to zupełnie swobodnym tonem, wzięła z bocznego stolika pięknie oprawne album i, kładąc je przed matką, rzekła:

— Zobacz, mateczko, jaki to piękny zbiór nadreńskich widoków. Album to przywiózł Kalixt z podróży swojej po Francyi i Niemczech.

Pani G. zajęła się przeglądaniem albumu.

— Już to można przyznać twojemu mężowi —

rzekła po chwili — że jest człowiekiem bardzo dobrego smaku. Wszystko, co posiada, bardzo jest pięknem i gustownem; całe téż mieszkanie wasze bez zarzutu jest urządzone.

— Dopowiedz téż, moja mateczko — żartobliwie dodała Kamilla — że i żeniąc się ze mną, Kalixt dowiódł dobrego gustu!

Przy tych słowach zaśmiała się głośno i pieszczotliwie przytuliła do matki.

Wniesiono herbatę; Kamilla zaczęła koło niej krzątać się żywo i wesoło. Pani G. patrzyła na jej swobodne ruchy i rozjaśniła fizyognomią i wyraz niepokoju zniknął stopniowo z jej twarzy. Zamyśliła się i potarła ręką czoło, jakby walczyła z jakąś myślą.

— Czy nie wiesz, Kamilko — ozwała się po chwili — jaki jest stosunek męża twojego z matką?

— O ile wiem, są z sobą bardzo dobrze. Kalixt kocha matkę i często o niej wspomina.

— A nie słyszałaś-że nic o jej charakterze, o jej umysłowym usposobieniu?

— Nic, moja mateczko; ale dlaczego pytasz mnie o to?

— Tak, bez żadnej szczególnej myśli. Słyszałam od kogoś, że miewa ona przystępy waryacyi.

— O, nie sędzę, aby to było prawdą! zresztą, może Kalixt tai to przede mną.

Widocznie pani G., nie mogąc pogodzić tego, co wiedziała z listu, otrzymanego od matki zięcia, chy-

tała się myśli zbawczej, że list ten napisany był przez nią w chwili nieprzytomności umysłowej.

Wieczór upływał szybko, rozmowa między matką i córką toczyła się nieustannie, ożywiona swobodą i śmiechem Kamilli. Pani G. odzyskała całkiem dobry humor.

— Moja mateczko — rzekła nagle Kamilla — kilka razy chciałam ci już powiedzieć o tém, że nie pojmuję, jaki-by mógł być powód twój nieszczęsnej choroby? Powiadają, że podobne ataki zdarzają się tylko w skutek wielkich wzruszeń.

Tym razem pani G. zbladła; nie okazując jednak najmniejszego pomieszczenia, odrzekła spokojnie:

— Radość wywiera nieraz takie skutki, jak i boleść; a ja tak bardzo cieszyłam się twojém zamażpójściem! Zresztą oddawna mówili lekarze, że skłonna jestem do téj choroby; nakoniec przyszyła ona, i nie warto o nią wspominać.

— Obawiałam się — zaczęła Kamilla — aby...

— Czy wiesz — żywo przerwała pani G. — że napatrzeć się nie mogę, jak ci ładnie w tym czarnym, aksamitnym szlafrocuku. Masz w nim minę francuskiej markizy z wieku Ludwika XIV.

— O, mateczko! pochlebiasz mi! — żartobliwie pogroziła Kamilla, uszczęśliwiona zapewne widokiem matki, do tego stopnia spokojnej i wesołej, że zwracała uwagę na takie drobnostki, jak ubranie.

Późna już była godzina, a matka z córką siedzia-

ły jeszcze obok siebie, trzymały się za ręce i słodko, nieustannie rozmawiały.

Nieszcześnie, otaczające Kamilę w bogatém jéj mieszkaniu, uciekło od niéj i schowało się, odzégnało swiętą jéj i wielką miłością dla matki. Niestety! opuściło ją ono na chwilę tylko zapewne!

IV.

Pewnego zimowego dnia, przed ustronne mieszkanie panien Jedlińskich, zajechała podróżna karetą na saniach, pocztowemi ciągnięta końmi, obciążona mnóstwem pak, przymocowanych do niéj z tyłu, z przodu i z wierzchu. Na odgłos dzwonków pocztowych, rozlegający się przed ich domem, panny Jedlińskie zarzuciły dwie chustki na swoje skromne, wełniane sukienki, i wybiegły na ganek. Z kozła podjeżdżającego powozu zstąpił z pańska wyglądający lokaj i otworzył drzwiczki. Wtedy z karety ukazały się najprzód dwa pudełka od kapeluszy, które lokaj wziął i postawił na ziemi; za pudełkami wysunięto kosz ażurowy, z którego wyglądały koronki, a za tém wszystkiém dopióro poczęła wysiadać niska i dość otyła kobieta, średniego wieku, w jasno-zielonéj sukni i takim samym szalu, w mocno obcisłém i szeroko futrem obłożoném okryciu. Ręce trzymała w białym zarękawku z wełny kóz angorskich, a okrągła, rumia-

na, niezmiernie ruchliwa jęj twarz, promieniała, otoczona łabędzim puszkciem, zdobiącym pięknie wyrobiany z peli kapturek.

— Leonie! Leonie! — wołała na lokaja wysiadająca pani — uważaj tylko, abyś mi koronek nie pogniótł! Mój Boże, po jakiemu postawiłeś to pudełko z kapeluszem! a podaj-że mi rękę, bo tak jest ślizko, że upadnę!

— Ciocia szambelanowa! kochana ciocia! — zawołały panny Jedlińskie i, nie zważając na śnieg, leżący pod gankiem, rzuciły się na jęj powitanie.

— *Bon jour, chères mignonnes, bon jour!* — mówiła pani Słabecka, obejmując z kolei szyje kuzynek i posyłając im pocałunki w powietrzu. — Wracam już z za granicy... wracam... *mon Dieu! il le fallait bien*, i zrobiłam sobie u was, *mes mignonnes*, moje *pied à terre*, nim wynajdę sobie mieszkanie w M. Wszak przyjmiecie mnie, *mes petites*, nie prawdaż?

— O, z największą radością! — zawołały jednocześnie obie siostry.

I Laura poprowadziła ciotkę do wnętrza domu, a Adzia powitała drugą osobę, wysiadającą z karety.

Była nią młoda panna, średniego wzrostu. Zimowy jęj strój był zupełnie czarny i poważnie odbijał przy jasno-zielonej sukni pani szambelanowej. Z pod czarnego podróżnego kapelusika widać było dwa pasma rżżawych włosów, gładko uczesane nad czołem. Nie niosła z sobą żadnych koszyków, tylko

w ręce, obciągniętej ciemną rękawiczką, trzymała książkę, którą musiała czytać w karecie. Książka to była angielska i na okładce miała poważny napis: „O emancypacji kobiet przez naukę i pracę”. Ruchy jęj przy wysiadaniu były bardziej powolne, niż żywe; stojąc na stopniu karety, czekała cierpliwie i ze spuszczonei oczyma, ażebv usunął się jęj z drogi olbrzymi, ciągnący się po ziemi, ogon sukni pani szambelanowej.

— Kochana Ryta! — wołała Adzia, całując ją serdecznie — jak-żeśmy się dawno widziały!

Ryta oddała powitanie kuzynce uprzejmie, ale bez szczególnego wylania i całe towarzystwo weszło do pokoju. Za niemi Leon począł z pomocą pocztyliona wnosić paki, a służące panien Jedlińskich pudełka, pudełeczka, koszyczki i mnóstwo najrozmaitszych gracików, które napełniały karete.

— *Où est mon châte?* — zawołała nagle pani szambelanowa, stając na środku pokoju i robiąc giest, jakby chciała otulić się szalem. — *Ryta, ma chère, ou est mon châte?*

— *Vous l'avez perdu, maman* — odrzekła z wolna Ryta, zdejmując z siebie futro.

— *Mon Dieu, oui, je l'ai perdu* — rzekła z rezygnacją pani Słabecka.

Potém, zwracając się do lokaja, zawołała:

— Leonie! Leonie! gdzie ja zgubiłam mój szal?

— Jaśnie pani musiała go zostawić na stacyi pocztowej — odpowiedział lokaj.

— *Au fait, oui*, musiałam go zostawić na stacyi pocztowej.

— *Mes mignonnes* — rzekła, zwracając się do pańien — kaźcie podać herbatę, bo ziębłam.

Gospodynie zakreśliły się około herbaty, a pani Słabecka zawołała po chwili:

— Leonie, podaj-no mi wachlarz!

I poczęła przechadzać się po pokoju, poruszając przed sobą wachlarzem, choć drżała trochę od zimna, i przez lornetkę oglądając skromne pomieszkание Je-dlińskich.

Tymczasem Ryta usiadła nieco na stronie i patrzyła w milczeniu przez okno na śniegiem zasypany dziedziniec. Wyglądała ona na lat dwadzieścia dwa, zbudowana była niezmiernie kształtnie i silnie, szczególnie rękę miała wielkiej piękności i sposób noszenia głowy wytworny. Za to twarz jęj, nietylko nie była piękną, ale nawet zwyczajnemu oku mogła się brzydką wydać. Kasztanowate, z silnym ryzawym odcieniem włosy jęj, gładko uczesane, otaczały czoło szerokie, o wydatnych wypukłościach. Gall albo Lavater odgadł-by zapewne z tego, czoła niepospolity umysł, ale každy ze zwyczajnych śmiertelników mógł mu zarzucić zbytnią, w stosunku do innych rysów, wysokość i wypukłość. Oczy Ryty były niewielkie i ciemne, nad nimi rysowały się wązkie, w energij-

czny łuk zagięte brwi; usta za duże względnie do oczu, miały przecież żywy, ponsowy koloryt, a całą twarz tę o nieregularnych rysach powlekała piękna cera, zwyczajna ryzym kobietom, złożona ze świetnej białości i ledwie dostrzegalnego rumieńca. Włosy jęj, o ile ją szpeciły barwą, o tyle zdobiły wielkiem bogactwem warkoczy, które, splecione z wielką prostotą, wiły się niedbale z tyłu jęj głowy. Wyraz twarzy Ryty miał w sobie coś bardzo oryginalnego: obojętny, zimny nawet wogółności, w oczach posiadał gorącą energią życiową, a w zagięciu ust — cechę wielkiej stanowczości charakteru. W składzie czoła, w spojrzeniu i ruchach jęj, leżało jakieś szczególne, całkiem skupione w sobie zamyślenie.

— *Figurez-vous, mes mignonnes* — mówiła pani szambelanowa, zasiadając przed stolikiem, nakrytym do herbaty i pokrywając rozłożystą suknią połowę sofy — jaki rozkoszny rok przepędziliśmy w Dreźnie. *Ah! Dresde! c'est quelque chose de ce qu'il y a de plus élégant, de plus aristocratique au monde!* bo to miasteczko niewielkie, ale takie estetyczne, takie artystyczne, takie *mignon*, że je całe do serca-bym przycisnąć chciała. *Dresde, c'est la patrie de mon coeur!* jakie magazyny! jakie stroje! wszędzie, wszędzie!.. *figurez-vous*, za pierścioneł turkusowy płacono tam przeszłej zimy sto talarów i więcej, tak turkusy były *en vogue*. Utrzymują, że turkusy szczęście przynoszą; co do mnie, wolę szmaragdy, ale ponieważ *il faut*

suivre la mode de temps, kupiłam sobie garnitur turkusów z cudowną oprawą *d'or maté*. Chciałam taki sam kupić Rycie, ale ona nie ma zamiłowania w podobnych rzeczach; *pauvre fille!* nie wiem, zkad się wziął u niej ten *tour d'esprit* taki melancholiczny. Wachlarze najmodniejsze w tym roku były czarne, rogowe, nabijane stałą albo złotem; *j'en ai un*, Ryta sobie kupiła prosty czarny. Nie mogę jęj nigdy namówić do żadnych błyskotek, *pauvre fille!* Noszono też bardzo kolie chińskie z ponsowych paciorek rzniętych i długich; przywiozłam wam takie, *mes mignonnes*, i wnet je oddam, jak tylko rzeczy rozpakuja. Będziecie z nich rade, szczególnież Lorci powinno być do twarzy w chińskiej kolii. *Ah! mon Dieu!* co też ja będę robiła w M.! taka miescina! a z Dreznia trzeba było wyjeżdżać! *Mon Dieu! il le fallait bien!* te interesa, nieznośne interesa, zmusiły mnie do powrotu! *c'est assommant* te interesa! czy też ja się znam na nich? liczyć! *la belle affaire!* to rzecz kupiecka i ekonomiczna, ale cóż robić? *que faire mon Dieu!* jestem wdową i muszę, *bon gré mal gré*, mieszać się w te obrzydłe afery dochodów, rozchodów, dzierżaw i t. d., bo inaczej... Ale, gdzie jest Tozio? czy nie wiecie, *mes mignonnes?* czy bawi on obecnie w M., czy może na wieś wyjechał? *Mon Dieu!* gdybyście znalazły kogo posłać po niego, była-bym wam bardzo wdzięczna!

— Tozio jest w M., kochana ciociu, i jużesmy

posłały po niego; bywa u nas bardzo często, pocziwy; z niecierpliwością oczekiwał kochanęj cioci — odparła Laura.

— *Merci, mignonne* — rzekła pani szambelanova, przesyłając jęj pocałunek w powietrzu, i, rozparłszy się wygodnie na kanapie, piła herbatę, poruszała z powagą zielonym wachlarzem i opowiadała o Dreźnie.

— Musiałas także doskonale bawić się w Dreźnie, kochana Ryto? — rzekła do kuzynki Adzia półgłosem, aby nie przeszkadzać rozmowie ciotki z Laurą.

— Tak — odparła Ryta, po chwili zastanowienia — przepędziłam czas bardzo dobrze. W tym roku mnóztwo było w Dreźnie publicznych lekcyi, na które uczęszczałam; miewali je ludzie głośniejszej europejskiej sławy, i prawdziwą korzyść z nich można było otrzymać. Przytém galerya obrazów drezdeńska, której podobnej niema na całym świecie, dostarczyła mi wiele przedmiotu do zastanawiania się i studyów. Chodziłam tam często z moim wujem, który mieszka w Dreźnie, i którego towarzystwo nad wszystko miłe mi było.

— Jakto! a w towarzystwach nie bywałaś? — zawołała Adzia.

— Owszem, ale tylko niekiedy, i gdy wymagała tego potrzeba. Nie wyniosłam z nich zresztą żadnych miłych wspomnień.

— Więc nie zawsze towarzyszyłaś cioci na zabawy, o których ona opowiada Lorci w tej chwili.

— Nie, bo większą część czasu spędzałam u mego wuja. Czy znasz mego wuja?

— Nie przypominam sobie, abym go kiedy widziała.

— Jest to już człowiek niemłody i posiada jedną z najlepszych głów tego czasu. Przeszedł wielkie nieszczęścia, nie z powodów osobistych, ale publicznych. Prowadzi w Dreźnie życie bardzo ciche i przyjmuje u siebie nieliczne tylko kółko przyjaciół, ludzi po większej części uczonych, albo stojących na czele dyplomacyi niemieckiej. Posiada bardzo piękny księgozbiór, i przez cały czas mego pobytu w Dreźnie służyłam mu za bibliotekarza. Było mi bardzo przykro rozstawać się z wujem.

— Zapewne też z żalem opuszczałaś Drezno?

— Przeciwnie, z żalem opuszczałam tylko wuja, jego przyjaciół i jego bibliotekę; cieszyłam się jednak, że wrócę do kraju, bo, zdaniem mojem, można żyć w całej pełni tylko w miejscu, gdzie wszystko znane nam dobrze, rodzinne, a więc i najmiłsze. Zresztą, przecież i brata już od dwóch lat nie widziałam.

Główną cechą rozmowy Ryty był spokojny, prawie obojętny ton, jakim ciągle mówiła, tylko przy ostatniej wzmiance o bracie, głos jej zmiekkł i nabrał pewnej tkliwości.

— Czy wiesz, Ryto, że Tozio bardzo jest zmieniony od pewnego czasu? — rzekła Adzia.

— Pod jakim względem? — zapytała Ryta, a w myślących i obojętnych jej oczach odmalował się niepokój.

— Zmizerniał, kaszle ciągle i od kilku miesięcy ma minę chorego.

Ryta nie odpowiedziała, tylko spuściła oczy i zamysliła się tak, że Adzia kilka razy przemawiać do niej musiała, nim otrzymała odpowiedź.

— *Où est mon mouchoir de poche, Ryta*, czy nie wiesz? *où est mon mouchoir de poche?* — zawołała nagle pani szambelanowa, szukając w obu kieszeniach okrycia i wydobywając z nich mnóstwo pugilaresów, bombonierek, cygarniczek i t. p. fatałaszek.

— *Vous l'avez certainement perdu, maman* — odpowiedziała Ryta z zupełnym spokojem.

— *Mon Dieu, oui, je l'ai perdu* — rzekła pani Słabecka i zaczęła mówić o czem inném.

Nie upłynęło godziny, gdy wszedł Tozio.

Pani szambelanowa, ujrzawszy go, wyciągnęła obie ręce i krzyknęła:

— *Mon fils! o, mon fils! quelle joie! j'etouffe!*

Tozio zbliżył się do niej bez pośpiechu; nie znał na nim było żadnego szczególnego wrażenia; pocałował rękę matki i rzekł obojętnie:

— Jak się ma kochana mama? Jakże kochana mama podróż odbyła?

Zwrócił się do siostry, która przy wejściu jego powstała. Wziął jej obie ręce i patrzył na nią przez chwilę, pociągnął ją do siebie i rzekł serdecznie:

— Dobrze, żeś przyjechała, Ryto; tęskno mi już było za tobą!

Na spokojnej twarzy Ryty odbiło się wzruszenie i oczy jej zabłysły, jakby łzą. Jeżeli to jednak łza była—nikt jej nie ujrzał, bo, wnet powściągnięta, zniknęła pod powieką, a tylko dłonie Ryty energicznem ujęciem uściśnęły obie ręce brata. Nie rzekła przytém ani słowa i znowu, posągowo spokojna, usiadła na swojem miejscu.

— *Dieu! mon fils!* jakże też jesteś ubrany! — zawołała po chwili pani szambelanowa. — Kolorowy krawat! któż teraz nosi kolorowe krawaty? to paraflaństwo! czarne tylko są dystygowane. Kołnierz przy tużurku powinien być także ze szpiczastemi końcami, a nie okrągły, jak twój. Znać zaraz, że mieszkasz w małej mieścinie. Gdybyś widział elegancką młodzież drezdeńską! Wyglądają tam wszyscy, jak laleczki, wycięte z żurnalu. *A propos* żurnalu, przywiozłam ci kilka modeli najmodniejszych ubrań męzkich.

Po ustach Tozia przebiegł ironiczny uśmiech.

— I nic więcej nie przywiozłaś mi z Drezna, moja mamó? — zapytał żartobliwie.

— *Oui*, przywiozłam ci jeszcze *nécessaire* tualetowy, *figure-toi; c'est de l'argent ciselé*; kosztuje mnie sto

talarów, ale téż jest *d'une elegance parfaite pour un jeune homme*. Miałam taki sam, zastosowany tylko naturalnie do potrzeb damskich, ale nie wiem, gdzie mi się podział. *Ryta, ma chère*, czy nie wiesz, *ce qu'est devenu mon nécessaire*?

— *Vous l'avez perdu, maman* — odparła z flegmą Ryta.

— *Mon Dieu, oui, je l'ai perdu, et ou est-ce que je l'ai perdu?*

— Jadąc z Drezna do Wrocławia.

— *Au fait*, tak, jadąc z Drezna do Wrocławia, zostawiłam gdzieś na stacyi mój *nécessaire*.

— Czy zawsze tak często gubisz swoje rzeczy, moja mamó? — zapytał Tozia.

— *Ah, mais oui, c'est mon malheur!* Wyobraź sobie, *mon fils*, że robiąc przeszłego lata wycieczkę do Saskiej Szwajcaryi, wzięłam z sobą znaczną część mojej biżuteryi, bom miała na widoku kilka zabaw w jednem ze znajomych miast, przez które przejeżdżać musiałam. Przyjeżdżam na miejsce, znoszą moje paki z rzeczami do mieszkania, pudełko z biżuteryą niema! Przeraziłam się nadzwyczajnie i poczęłam szukać, śledzić publicznie. Pokazało się, że pudełko stało w głębi powozu, którym jechałam, i ja wyciągnęłam je ogonem od sukni.

— I cóż, znalazła się biżuterya?

— Gdzie tam! oddano mi tylko pudełko z jedynym pierścionkiem w środku, i nigdy nie mogłam

dojść, kto zabrał resztę znajdujących się w niém rzeczy.

Przy wspomnieniu o straconej biżuterii westchnęła pani szambelanowa, ale wnet zaczęła mówić o czém inném.

Tozio zwrócił się do siostry.

— A ty, Ryto, co przywiozłaś mi z za granicy? — zapytał półzartem.

— Niezmienną zawsze przyjaźń moję dla ciebie i list od naszego wuja — odrzekła i, wydobywszy pismo z pugilaresu, oddała je bratu.

Tozio odszedł z niém ku oknu i czytał. Gdy skończył, usiadł znowu obok siostry i rzekł do niej:

— Zgadnij, Ryto, jaką radę przysyła mi wuj?

— Jaką? — zapytała.

— Abym jechał na uniwersytet.

Ryta patrzyła przez chwilę na brata.

— Czy nie uznajesz wielkiej słuszności téj rady? — zapytała z wolna.

— Zapóźno już, abym poszedł za nią — z cicha odpowiedział Tozio.

* * *

Nazajutrz Tozio, wchodząc do mieszkania kuzynek, znalazł w bawialnym pokoju Rytę samą jedną. Czytała ona książkę, którą na widok brata wnet zamknęła i serdecznym ruchem podała mu rękę.

— Gdzie jest mama? — zapytał młody człowiek.

— Poszła za sprawunkami do miasta.

— A kuzynki nasze?

— Lorcia towarzyszy mamie, a Adzia zajęta koło gospodarstwa.

— Powiedz mi, Ryto — mówił Tozio, siadając obok siostry — czy nie odgadujesz chwili, w której matka nasza przestanie kupować wiecznie fatałaszk, a potem gubić jedną po drugiej, zasiewając niemi wszystkie drogi swych ciągłych wojażów?

— Owszem, odgadam tę chwilę — krótko odrzekła Ryta.

— Kiedyż ona nastąpi?

— Gdy stracimy majątek.

Umilkli oboje, nie patrzyli na siebie i po ustach ich błąkał się smutno-ironiczny uśmiech.

— Co porabiałeś, Toziu, przez czas naszego niewidzenia się? — zapytała po chwili Ryta.

— Doskonaliłem się w mym specjalnym zawodzie — odrzekł brat.

Ryta podniosła na niego długie, zamyślane spojrzenie.

— W jakim? — zapytała.

— W sztuce uprzyjemnienia sobie życia.

Ryta spuściła wzrok i znowu milczeli oboje.

— Na czém-że, według ciebie, zależy ta sztuka? — zapytała znowu siostra.

— Na grze w karty i przeróżnych zabawach z dobraćmi i przede wszystkim wesółymi kolegami — odparł Tozio.

Tym razem Ryta milczała długo. Na twarzy jej ukazała się boleść, ale pociągnęła z wolna rękę po czole i znowu wydawała się spokojną. Po chwili ozwała się zniżonym, łagodnym głosem:

— Toziu, ja nie tak wyobrażałam cię, ja nie o takim specjalnym zawodzie marzyłam dla ciebie.

Tozio zaśmiał się przykrym, przymuszonym śmiechem i silnie zakaszał.

— Najprzód, dziękuję ci, droga siostrzyczko, żeś marzyła o czémś tam dla mnie — rzekł — a następnie pytam: o czém marzyłaś?

Ryta powiodła znowu ręką po czole, zamyśliła się na chwilę i rzekła:

— Kiedy w Dreźnie długie godziny przesiadywałam z kochanym wujem naszym w cichym gabinecie jego, między książkami, pisanemi przez ludzi wielkich umysłów i portretami mężów serc wielkich, rozmyślałiśmy nieraz o różnych sprawach tego świata. Przewroty i koleje społeczne, a mianowicie koleje, nieszczęścia, stosunki i potrzeby naszej społeczności, stawały przed naszymi oczyma. Wtedy wuj nasz, z właściwym sobie zapałem i mocą, przedstawiał potrzebę ludzi rozumnych i hartownych, zdolnych do logicznego życia i energicznych czynów, a ja całą myśl, całe serce moje przenosiłam do ciebie z pragnieniem, abyś ty był jednym z takich.

Umilkła na chwilę. Tozio nie odpowiadał.

— Wuj nieraz rozpytywał się mnie o ciebie,

a ja mówiłam mu, że masz pocziwe serce i wiele umysłowych zdolności. Wtedy i on życzenia swoje łączył do moich i powiadał: był-bym bardzo szczęśliwy, gdybym posłyszał o nim, że dojrzał na dzielnego człowieka.

Tozio milczał jeszcze długo; na twarzy apatyczny i lekceważący wyraz zaczął walczyć ze smutkiem, który na nią występował.

— Cóż rozumiełiście oboje pod tym wyrazem: dzielny człowiek? — zapytał po chwili.

— Jednoznaczniem wyrazu dzielności męskiej jest wyraz: praca — odrzekła Ryta.

— W takim razie oboje z wujem zawiedliście się na mnie; nic nie robiłem nigdy i nic nie robię.

Ryta znowu podniosła rękę do czoła.

— Powtórzę ci to, com wczoraj mówiła: masz rok dwudziesty pierwszy zaledwie — rzekła.

Tozio powstał gwałtownie i stanął przed siostrą; na bladłej twarzy jego było silne, przykre wzruszenie.

— Ryto! — zawołał — nie mów nic o latach moich; życie nie na lata się mierzy. Słuchaj: oboje z wujem składaliście dla mnie życzenia, do ziszczenia niepodobne. Mówisz o pracy, a pomyśl tylko, co robił ojciec nasz? bawił się przez całe życie; co robi matka nasza? bawi się przez całe życie; jak chowano mnie? w ciągłej zabawie. Ojciec uczył mnie bawić się, matka uczyła mnie ubierać się. Co wkładano mi od dzieciństwa w serce? miłość blasku i pró-

żności; do czego usposobiono moje siły? do próżniactwa! Ciebie matka oddała na pensyę, bo ujmowało to jęj kłopotów około wychowania twego i dozwalało dłużęj grać rolę młodęj kobiety, i na dobre ci to wyszło, bo przez dziecinne lata nie widziałas tego, na co ja patrzyłem. Ja patrzyłem na to, jak ojciec bawił się i trwonił pieniądze w jednęj stronie, a matka bawiła się i trwoniła pieniądze w drugięj; a gdy przypadkiem zeszli się, sprzeczali, i wzajem na siebie zrzucałi winę domowego nieładu i grożącej majątkowęj ruiny. Gdy ojciec umarł, cóż uczyniła matka? oto zabrała wszystkie pieniądze, jakie zkądkolwiek wydobyć mogła, i wyjechała za granicę, a mnie zostawiła zarząd odłużonych majątków, panem swojęj woli w ośmnastu leciech. Z pustką w głowie, z pustką w sercu, bez żadnego w niczém zamiłowania, zostałem na wsi, w dużym, pustym domu; cóż robiłem? naturalnie, uciekłem ztamtąd, uciekłem od samotności, któręj niczém nie umiałem zapełnić, od kredytorów, od nudy. Uciekłem, gdzie? do miasta. Z czém przybyłem do miasta? ze wspomnieniami zabaw, w których towarzyszyłem memu ojcu i z nędznemi sześciuset rublami rocznéj pensyi, wyznaczonemi na moje potrzeby przez matkę. Czy miałem jakie moralne zkądkolwiek wsparcie? żadnego! ani wewnątrz siebie, ani zewnątrz. Zrazu począłem bawić się trochę, potęm więcj, potem jeszcze więcj; nie starczyło pieniędzy—więc pożyczalem, pożyczalem

od żydów na lichwę. Bywali wprawdzie niekiedy ludzie, którzy mówili mi, że źle postępuję; ale nikt nie był dość rozsądnym, aby mnie nauczyć, jak mam postępować inaczej. Zresztą, widziałem najczęściej, że ci, co mnie przyganiłi, czynili tak, jak ja; prawili morały albo przez hypokryzyą, albo przez głupotę, albo przez chęć lepszego pokrycia własnych błędów. Więć nie budowało mnie to wcale i robiłem ciągle po swojemu. Przez długi czas nie czułem nawet, że źle robię; tak przyzwyczaiłem się do widoku żyjących na żart ludzi, iż nie wyobrażałem sobie nawet, że żyć inaczej można. Wtedy dopięro poczułem, że jestem na złęj drodze, gdy mi pewien bardzo biegły lekarz powiedział: — „Strzeż się pan; jeszcze rok podobnego życia, a umrzesz!...”

Nie mógł mówić dalej, albowiem silny kaszel mowę mu przerwał.

Ryta była bardzo blada.

— Wuj mi pisze, abym pojechał na uniwersytet — mówił znowu Tozio, rzucając się na krzesło. — Pisze, że tylko przez naukę mogę stać się takim człowiekiem, jakim on widziēć mnie pragnie. Bardzo dobrze; ale bierzmy tę rzecz ze strony praktycznej. Toć, o ile wiem, nie czytania i pisania i nie czterech działuń arytmetycznych uczą na uniwersytecie, ale nauk wyższych do rozpoczęcia studyów, na które mi trzeba pewnego przygotowania. Cóż ja umiem? jakie jest moje umysłowe przysposobienie na studenta

uniwersytetu? Mówię doskonale po francuzku i trochę po angielsku, przeczytałem kilkadziesiąt romanów Sanda i Dumasa, wiem, jak się znaleźć w salonie i z ożywieniem poprowadzić dowcipną konwersacyą z damami—i oto cała moja wiedza. Pókim nie kaszlał, śpiewałem jeszcze przy fortepianie kilka ary włoskich i francuzkich romansów, a teraz, to nawet, wedle przypowieści: „Kachu, kachu, tra la la la, kaszel i śpiewać nie pozwala!” Z tak wszechstronnem i szerokiem przysposobieniem umysłowem, na jakiż fakultet uniwersytecki radzisz mi wstąpić, kochana siostró? Zechęż zostać naturalistą? ależ w takim razie musiał-bym się wprzód dowiedzieć, co mianowicie znaczą: zoologia, fizyologia, geologia i wszelkie następne *logie*, bo chociaż nomenklatura ich uwięzła mi w pamięci, dzięki rzadkim o nich rozmowom w salonach, których naturalnie biernym tylko byłem słuchaczem, toć jednak *que le diable m'emporte*, jeśli wiem, czém one się różnią między sobą i o jakich przedmiotach każda z nich prawi. Czy może będę się uczył prawa? Ależ słyszałem, że, ażeby rozpocząć nad niem studia, trzeba posiadać pewne wiadomości historyczne; a ja z dziejów ludzkości znam tylko ustęp o cnotliwej Lukrecyi, Helenie, porwanej przez Parysa, pamiętam kilka anegdot o pani Montespan et compagnie i wiem, że świętej pamięci królowa Jadwiga wyszła za mąż za Jagiełłę. Jeżeli się nie mylę, historyczna ta wiedza posłużyła-by mi

tylko do tego, abym się dziewiczo zarumienił przed examinującym profesorem. Na medycynę stanowczo nie pójdę, bo mam wstręt do trupów, i gabinety anatomiczne zanedbto przywodzą mi na pamięć słowa poczciwego doktora, zwiastujące mi, że sam prędko mam umrzeć. Nie przychodzi mi w téj chwili na pamięć żadna naukowa gałąź, ale wiem z góry, że jakakolwiek-by ona była, jestem w każdej równie mało przygotowany, jak do tych, które już wymieniłem. A prawda! przypominam sobie jeszcze matematykę! Ale powiadają, że aby zacząć ją studyować, trzeba wprzód umieć arytmetykę, a ja tyle tylko posiadam arytmetycznej wprawy, ile jęj potrzeba do obliczenia procentów lichwiarzom i dodania ich do ogólnej sumy długu, co zresztą nie jest trudne, bo odbywa się za pomocą okrągłych cyfer, naprzykład: takich dziesięć procentów na miesiąc stanowi rocznie sto dwadzieścia od sta, a 1200 od tysiąca, co gdy dodam w końcu roku do powyższego kapitału, znajdę się dłużny żydowi 2200, to jest przeszło dwa razy tyle, ilem od niego pożyczyl. Zgódź się więc na to, siostrzyczko, że i na matematyczny fakultet pójść nie mogę. Z tego wszystkiego wynika, że, aby zostać studentem uniwersytetu, musiał-bym wprzód przejść kurs przygotowawczych nauk, to jest, mówiąc prostem słowy: pójść do szkół, które w dzieciństwie zastępowały mi guwernantki cudzoziemki i metrowie muzyki i tańców. Czy mogę zaś teraz, w dwudzie-

stym pierwszym roku życia, zapisać się na ucznia pierwszej klasy gimnazjum w M., sama już osądź, Ryto...

Zatrzymał się i popatrzył na siostrę oczyma, w których sarkazm łączył się z wielką goryczą; usta mu zbladły i drżały od wzruszenia. Ryta wydawała się wciąż spokojną, tylko stawiała się co raz bledszą, i znać było, że oddychała z trudnością. Tak parę minut siedzieli naprzeciw siebie w ciężkiem dla obojga milczeniu.

— Toziu — ozwała się Ryta z wolna i łagodnie — wszakże szkoły i uniwersytety są zakładane dla ułatwienia, dla systematyzowania nauk ludziom, a prócz nich jest jeszcze możność pracy samotnej, pracy w swoim domu, w swoim gabinecie, takiej na przykład, jakiej wuj nasz całe swoje życie poświęca.

— To znaczy — odpowiedział Tozio — radzisz mi, abym nakupował w księgarni wielką ilość naukowych książek, kazał je wnieść do jednego pokoju, poukładał systematycznie na półkach, a potem zamknął się z niemi sam na sam na długie godziny i dni, i wtedy dopiero je opuścił, gdy mnie one zrobią naturalistą, prawnikiem, autorem, lub czémś temu podobnem? czy taką jest myśl twoja?

— Toziu — odparła Ryta — ja sama zbyt mało umiem i wiem, abym przywłaszczała sobie prawo wskazywania dróg komukolwiek; ale zdaje mi się, że

jakimkolwiek bądź sposobem ty powinienes koniecznie pracować.

— A więc cóż chcesz, abym czynił? — zawołał coraz bardziej wzruszony Tozio — mam-że pójść orać ziemię naszych majątków, czy młócić zboże na chleb, czy drzewo rąbać?

— Któż nie wie — zawsze tym samym, cichym i łagodnym głosem odparła Ryta — któż nie wie, że ludzie naszej klasy nie potrzebują, nie mogą, a nawet nie powinni oddawać się grubiej, fizycznej pracy, spełnianej przez tych, dla których umysłowa praca niemożliwa? Któż nie wie o tém, że mężczyzna, urodzony na wyższym szczeblu społecznym, pracować może z korzyścią dla siebie i innych wtedy tylko, gdy posiada gruntowną naukę? Dlatego, Toziu, ja choć nie umiem, może nie śmiem ci wskazać dróg twoich, mówię jako najlepsza twoja przyjaciółka: ucz się!

Tozio zaśmiał się głośno, z goryczą.

— O, Ryto! — zawołał — jakże ty nie znasz natury ludzkiej! jakże nie znasz wpływu, jaki na cały nastrój fizyczny i duchowy mężczyzny wywierają najpierwsze jego lata młodzieńcze! Alboż sądzisz, że grając w karty, bawiąc się butelką i miłostkami, przepędzając bezsenne noce w gorączce użycia, tracimy tylko pieniądze, rujnujemy się tylko majątkowo, a z duszy naszej nic nam nie przepada, moralnie nie bankrutujemy? Jeśli tak myślisz, Ryto, mylisz się,

i nie dziw, że się mylisz, bo jesteś młodą i czystą dziewczyną. W tej jednak poufałej i braterskiej rozmowie naszój ja ci powiem, że jest inaczej. Życie, prowadzone na żart, męczy daleko więcej ducha i ciało, niż życie najtwardszej pracy: denerwuje ono, osłabia. Człowiek expensuje w niēm samego siebie, jak marnotrawna i nierządna gospodyni, która przy końcu roku widzi spiżarnią swą wyczerpaną i nie ma już czēm się karmić. Przychodzi zapewne chwila, jednemu wcześniēj, drugiemu późniēj, w którēj postrzega, iż źle robi, że wypęda z siebie Boga, a idzie za dyabłem do piekła prędzej, niż-by należało. Ale czy sądzisz, że w tej chwili rozważi i opamiętania, gdy człowiek powie sobie: stój!—to już tak zaraz wstrzyma się i zmieni, i inny kierunek przybierze? gdzie tam! co najwięcej, zamknie się na kilka dni w swojēm mieszkaniu z goryczą w sercu i flaszka lekarstwa na stole, a gdy gorycz tę przetrawi w sobie i połknie lekarstwo, znudzi się i otworzy znowu drzwi swe na oścież, a przyzwawszy wesołych kolegów, zawoła ze zdwojonym zapalem: Bank! poniterujcie! Bo powiedz, proszę cię, co zastąpi te pięćdziesiąt dwa obrazki, przynoszące mu wrażenia, do których nawykł, i tych towarzyszy, których pełna werwy rozmowa upaja go i ogłusza? Czēm on zabije długie szesnaste godzin doby, jakie mu po ośmiu godzinach snu do spędzenia pozostają? Może-by on i rad wziąć się do jakiegoś działania, ale ażeby robić coś,

trzeba najprzód umieć robić; a żeby umieć, trzeba się uczyć. Uczenie się—to praca, do którēj należy przynosić trzeźwy umysł i siły niezmęczone, a on tymczasem przy czytaniu drugiej stronnicy naukowej księgi poziewa, a przy trzeciej usypia; a jeśli wypadkiem dojdzie do końca kilku kart, nie usnąwszy, to czuje się tak zmęczonym i znudzonym, że idzie rezerwać się czēmś łatwiejszēm; a gdy znowu zacznie rozrywać się, niech wszystkie dobre duchy *requiescat in pace* śpiewają nad książką! Jakiś czas będzie ona leżała jeszcze w jego mieszkaniu na stole pod grubą warstwą pyłu i przykryciem różnych kawalerskich gratów, aż przyjdzie jaki koleżka, przywódzca i mistrz w zabawach, i zaśmiej się na całe gardło, i szyderczo zawoła: — „Cóż to? jak widzę, stajesz się literatem! czy nie wstąpisz wkrótce do zakonu Trapistów? ciska klasztor na lepij sprzyja uczonym medytacyom, niż wrzawa światowa!” — I wnet książka ze stołu idzie pod stół, a z pod stołu w piec, a z nią razem płoną na stosie suchego drzewa i dobre intencye, i słówka pobożne, i postanowienie poprawy. I pytasz mnie, dlaczego młody człowiek poziewa i usypia nad książką, dlaczego ona go męczy, dlaczego lęka się szyderstwa towarzysza, i przez obawę tę wrzuca w piec owoc długoletniej pracy jakiegoś uczonego pocziwca? Otóż powiem ci, że jest tak dlatego, że ten młody człowiek od lat dziecinnych nie był przysposobiony i hartowany do pracy, że kilkoletnie życie

gorączkowej zabawy osłabiło go, zdenerwowało, pomieszało mu pojęcia o złém i dobrém, zrobiło z niego słowem to *nic*, ubrane w modny tużurek, które, jeśli nie chce umierać w zmęczeniu, musi umierać z nudów, a jeśli jest dość zdrowej i silnej kompleksy, że nie umrze, musi żyć na utrapienie swoje i innych, póki funduszu nie straci; a jak go straci, palnąć sobie w łeb, lub pójść o żebraczym kiju śpiewać pod kościołem psalmy pokutne... Ryto, czy nie masz przy sobie wody kolońskiej? Słabo mi... nie mogę tak długo mówić...

Ryta podała bratu flakonik, wiszący u jej paska. Tozio potarł sobie skronie orzeźwiającym płynem i z gorzkim uśmiechem rzekł:

— Możesz do wuja napisać o tém, jaki to ze mnie dzielny człowiek...

Ryta obie ręce przycisnęła do czoła i spuściła głowę.

— O, Toziu! — rzekła głosem stłumionym — gdzież jest ten brat mój, o jakim marzyłam? gdzież jest ten brat, o którym myślałam, że będzie moją dumą i moim wsparciem?

— Wsparciem? jak może dać komukolwiek wsparcie człowiek, którego od dzieciństwa nie nie wspierało?...

— Ależ wola twoja, bracie! gdzież wola twoja! — zawołała Ryta z boleścią.

— Wola? utonęła tam, gdzie i siła. Wszyscy ro-

dzimy się słabi, skłonniejsi do złego, niż do dobrego; a ten tylko posiada wolę, kto miał ją wyrobioną w sobie od kolebki. Człowiek nie jest Bogiem, i jak zewnątrz siebie, tak i w samym sobie, nie może stworzyć światów jednem swém zachceniem. Wszystko, co jest w człowieku, wyrabia się powoli, stopniowo, czy to siła, czy słabość. Pytasz o wolę?—powiem ci jeden przykład, z którego poznasz, jak trudno zdobyć się na nią temu, kto nigdy nie myślał jej używać. Między towarzyszami mymi jest pewien młody człowiek, nazwiskiem Stanisław Kloński. Poczciwy w gruncie, jednak żyje tak, jak ja; czuje, że źle robi, a oprócz tego ma śliczną, młodziutką żonę, anioła piękności i dobroci. Żonę swoją kocha on tak, że gdy niedawno jeden z towarzyszków lekceważąco ozwał się o nią, sądziliśmy, że mu oczy wydrapie; a nam wszystkim oświadczył, że każdemu, kto ośmieli się kiedykolwiek najmniejszym słowem ubliżyć jego żonę, wsadzi kulę w łeb, choćby przed łufą jego pistoletu latał w zygzak jak nietoperz lub jaskółka. Mimo to wszystko, cóż robi ten człowiek? jak on żyje? oto opuszcza żonę i dom, trawi godziny przy zielonym stoliku, bilardzie i wesołych kompaniach. Gdybyś sądziła, że to łotr,—myliła-byś się; jest w nim sumienie i walka, jest w nim boleść rozrywanego ducha. Nieraz widzę, jak wśród najgwarniejszych zabaw, przy wspomnieniu o żonie, pociera czoło ręką i ma minę człowieka, który za godzinę w łeb sobie palnie; nie-

kiedy ucieka od nas, zamyka się w domu po kilka dni i parę tygodni, ale niestety! wraca, wraca zawsze, i im dłużej nie szalał, tém więcej szaleje. Gdzież więc wola jego?—niéma jój. A dlaczego jój niéma? osądź sama. Zkąd ona ma być w nim? czy wyrobiła ją praca? czy dojrzałość pojęć? czy potrzeba dawania sobie rady na świecie? nie; wszystko miał zawsze gotowe, wzrastał zupełnie tak, jak ja, z tą różnicą, że mnie guwernantki uczyły języków i mentorowie uczyli, a jego profesorowie w szkołach niczego nie uczyli, bo ojciec błagał, aby nie męczyli najdroższego jedynaka, a za promocyą karmił ich indykami. Oto, widzisz, co jest wola; nie pytaj o nią tego, kto źle czyni, bo skoro on jój nie ma, to już i stworzyć w sobie nie może; a żałuj tylko, że jój stopniową i wielką nie zdobył pracą.

Ryta milczała długo; na twarzy jój walczyły różne uczucia żalu, trwogi i zgrozy. Ostatnie przemoгло, i ozwała się z rodzajem przerażenia, patrząc na brata:

— I cóż-to wy za ludzie jesteście? i jakież-to wasz świat?

— O, tak — odparł Tozio — wy, młode dziewczęce, ani pojęcia o nas nie macie; wy w braciach waszych, w przyszłych mężach roicie bohaterów, a co najmniej, ludzi hartownych, niepokalanych. Tymczasem, zawodzicie się często, i strach, przerażenie, boleść was przejmują, nie prawdaż? Ale to dobrze, bo

przynajmniej jak będziecie miały synów, potrafcie postąpić tak, aby oni do waszych braci i mężów podobni nie byli.

Ryta oparła obie ręce na stole i głowę na rękach, i siedziała nieruchoma, jak posąg, z ukrytą twarzą.

Tozio, strasznie błądy, z chorobliwym tylko blaskiem w oczach, chodził wzburzonym krokiem po pokoju, pokaszliwał i pocierał skroń wodą kolońską. Nagle stanął przed siostrą, patrzył na nią długo i, dotykając jój ramienia, rzekł:

— Ryto, ty mną pogardzasz?

Ryta podniosła twarz, na której malowała się boleść, więcej mężka, niż niewieścia, bo łez nie było w jój oczach, a tylko usta otoczył taki głęboki wyraz smutku, że kto-by patrzył na nią, smutnym stać-by się musiał koniecznie. Energicznym, mężkim prawie ruchem, wyciągnęła rękę do brata, a drugą kładąc na sercu, rzekła pewnym głosem:

— Na to serce rachuj zawsze. W szczęściu czy niedoli, czy w największym choć-by grzechu twoim, ono cię nie odstąpi.

Tozio podniósł do ust jój rękę.

— Ryto! — zawołał — gdyby matka nasza była taka jak ty, nie był-bym takim, jakim jestem.

Jakby w odpowiedź na te jego słowa, za drzwiami pokoju, w którym rozmawiali, zabrzmiał słodziutki, pieszczotliwy, dość jednak donośny głos pani szambelanowej.

— Łokieć aksamitki po dwa złote! *mais c'est d'une cherté horrible*. Dziwnie tu u nas wszystko drogie, *mignonnes!*

Jednocześnie otworzyły się drzwi z wielkim hukiem i, z szelestem jedwabiu i furkaniem krynoliny, weszła pani Słabecka w swojej jasno-zielonej szubce i łabędziowym kapturku. Brakło tylko wczorajszego zarekawka z angory.

— *Bon jour, mes enfants, bon jour, mon fils* — mówiła — witajcie, dzieci; *Dieu! qu'il fait froid*, zziębłam cała, chodząc po sklepach; tyle-bo też rzeczy miałam do kupienia! Szczególnie za temi aksamitkami nachodziłyśmy się z Lorcją ogromnie.

— Dziwię się, że kochana mama nie kupiła sobie tego wszystkiego za granicą — ozwał się Tozio — bo tam taniej i lepiej być musi, niż w naszym niewielkim mieście.

— *Si, mon fils* — odparła matka — wiozłam z sobą z Drezna kilka sztuk aksamitek, ale gdzieś się podziały w Warszawie; zostawiłam je podobno w hotelu, w którym zatrzymałyśmy się na parę dni. *Mais où est donc mon manchon?* — zawołała, spostrzegając, że nie ma zarekawka. — *Ryta, ma chère, ne sais-tu pas où est mon manchon?*

— *Mais vous l'avez certainement perdu maman* — odrzekła Ryta z zupełnym spokojem.

— *Mon Dieu, oui, je l'ai perdu* — powtórzyła pani szambelanowa — *et où est ce que je l'ai perdu?* Lor-

ciu, *ma mignonne*, czy nie wiesz, gdzie ja zgubiłam mój zarekawek?

— Musiała go kochana ciocia zgubić na ulicy, bo w sklepach widziałam, że go jeszcze miała — odrzekła panna Jedlińska.

— *Au fait, oui*, musiałam go zgubić na ulicy. Szkoda wielka, żeś tego nie spostrzegła, bo będę musiała znowu pójść do sklepów, aby kupić sobie drugi. Każ podać śniadanie, *ma mignonne*, bo głodna jestem.

Tozio wstał nagle, odszedł do okna i zaczął patrzeć na ulicę. Ryta otworzyła książkę i wpatrzyła się w nią.

W tej chwili uchylono ostrożnie drzwi i słodziutki, uniżony głosik mężki zapytał:

— Czy można wejść?

— Prosimy, prosimy — ozwała się Laura.

Wtedy na środek bawialnego pokoju wszedł otyły i krępy, z łysiną na głowie i brodawkami na twarzy, gość; był nim Ignacy Jodek.

— Do stopek ściele się pani szambelanowej do brodziejce, rączki całuję panny Ryty — mówił, powitawszy wprzód gospodynią.

Ryta oddała zimny ukłon, a pani szambelanowa wyciągnęła ku przybyłemu pulchną i pełną pierścionków rękę, a twarz jej ożywiła się bardziej uprzejmym uśmiechem. Pan Jodek był jej wielkim ulubieńcem, i gdy się raz zeszli oboje, nie mogli dość nagadać się z sobą.

— *Le cher monsieur Jodek!* — zawołała — już się dowiedział, żeśmy przybyły!

— A jakże, a jakże — odparł jowialny gość. — Kiedy takie piérwszorządne gwiazdy pojawiają się na naszym horyzoncie, nie sposób o tém ignorować. Od wczoraj wiem, żeście panie przyjechały, ale odłożyłem na dziś moję wizytę, aby nie być natrętnym.

— *Oh, vous n'êtes jamais de trop, cher monsieur Jodek, vous, si aimable, comment donc!* — mówiła szambelanowa. — Cóż słysząc w M.? Kto tu jest z moich znajomych? jak się bawia? czy wiele bywa zebrzań? a publiczne zabawy jak idą? czy nie zawierają się jakie maryaże?

Widoczném było, że te gradem sypiące się pytania wprowadzały Jodka w jego właściwą sferę. Mrugał znacząco oczyma, uśmiechał się szeroko i gładził łysiną ręką, przyozdobioną w ogromny pierścień z pieczętą. Przysiadł się więc do pani szambelanowej i począł, jak z-za rękawa, sypać jój różne nowinki, ploteczki, anegdotki, opisywał bardzo dowcipnie zafane stroje niektórych dam, wyśmiewał oświecenie salonów pana X., unosił się nad kuchnią państwa I. i t. d. Pani szambelanowa odwdzięczała mu się opowiadaniem o różnych drezdeńskich powabach, towarzysztwach, modach, pikujących historyjkach, i t. d. A tak żywo toczyła się między nimi rozmowa, że mówili, jakby na wyścigi, niekiedy jednocześnie, przerywali sobie wzajem ciągle, i nigdy żadne z nich nie

mogło wypieszyć z odpowiedzią na zadane pytanie, bo po niém następowało drugie, trzecie, dziesiąte, i tak dalej i tak ciągle.

Gospodynie domu kręciły się około zastawy śniadaniowej. Tozio usiadł przy Rycie i półgłosem z nią rozmawiał. Młoda panna jednak mówiła bardzo niewiele; w całej spokojnej i harmonijnej jój osobie znać było ciężką jakąś myśl, która ją całą zajmowała.

— Ale pani dokazujesz cudów! zamiast stawać się starszą, wyglądasz pani coraz młodziej! — mówił Jodek do pani szambelanowej. — Zdawało-by się, że, przez czas, spędzony za granicą, ubyło pani lat dziesięć. Co za świeżość! jakieżywienie!

— *Mon Dieu*, to zapewne skutek mego szczęśliwego charakteru — odrzekła pani szambelanowa z wyrazem rajskiego szczęścia, i poczęła żywiej jeszcze powiewać nieodstępnym wachlarzem, i żywiej jeszcze rozmawiać z panem Jodkiem, i z większym wdziękiem poruszać głowę, i z większym zapałem strzelać oczyma.

Pan Jodek patrzył przez chwilę na Rytę, bladą, zamyśloną spokojnie, opartą o poręcz fotelu i swém głębokim, wyrazistém spojrzeniem patrzącą na brata.

— Mój Boże — szepnął do pani Słabeckiej — któż-by powiedział, że pani jesteś matką panny Ryty! ja sam, który przecież wiem o tém dobrze, zaledwie mogę wierzyć świadectwu własnych oczu. Każdy mo-

że wziąć panie za dwie siostry, i to panią... za młodszą i miłszą — dodał jeszcze ciszej.

Na to bezczelne pochlebstwo, szambelanowa uderzyła go wachlarzem po ręku.

— *Flatteur!* — rzekła. — Wiédz o tém, że mam lat trzydzieści pięć!

Słowa te, lubo powiedziane półgłosem, doszły do uszu Tozia. Zerwał się nagle z kanapy i parsknął śmiechem.

— Z czego się śmiejiesz, Toziu? — zapytała się Laura.

— Nic, nic — odpowiedział. — To Ryta mnie tak rozśmieszyła.

A kiedy siostra zbliżyła się do swego brata, szepnął jój bardzo cicho:

— Ryto, mama mówi Jodkowi, że ma lat trzydzieści pięć, więc chyba miałem lat czternaście, kiedyś się urodziłem!

Ryta spojrzała nań poważnie, niemal surowo.

— Toziu — odrzekła — nie lubię, kiedy śmiejiesz się ze słabości mamy.

— Słabości te kosztują mnie życie — odparł Tozio z goryczą — sądzę więc, że mam prawo wszystko, co straciłem, wynagrodzić sobie śmiechem, i to, przynaj sama, że ukrytym. Bo, że przed tobą śmieję się, to nic nie znaczy; przecież ty i ja, to jedno, nie prawdaż, Ryto?

Ryta podała mu rękę i promień radości rozświecił jój surowym smutkiem twarz posępną.

Przyniesiono śniadanie; wraz z niem weszła do pokoju Adzia, z twarzą nieco zarumienioną od ognia, bo, znając wybredny gastronomiczny gust cioci szambelanowej, a z natury gościnna, jak wszystkie wiejskie i prostoduszne dziewczęta, sama przez cały ranek uwijała się w kuchni z książką kucharską, naglądając niezbyt doskonałą, bo tanią, kucharkę. Za to, sporządzone pod nadzorem gościnnej gosposi, potrawy, były doskonałe, choć niewykwintne, i pani szambelanowa rzuciła się na nie z apetytem wcale nieidealnym, a wtórował jój w tém z zapalem pan Jodek. Ryta jadła bardzo niewiele, z umiarkowaniem i spokojem, cechującym ją w każdym ruchu; Laura, siedząc przy Toziu, kładła na talerz najsmaczniejsze kęski ulubionemu kuzynkowi, ale on dziękował jój serdecznie, a jadł mało.

— Toziu — ozwała się pani szambelanowa, biorąc z półmiska skrzydełko kapłona i suto oblewając je białym sosem — trzeba, abyś mi wyszukał mieszkanie. *Quelque chose de convenable*, naturalnie.

— Mieszkanie! — zawołał pan Jodek, nie zważając na to, że miał usta zapechane kapłonem — ja mogę pani szambelanowej załatwić ten interes.

— O, niech mama z pełną ufnością zwróci się w tej sprawie do pana Jodka — rzekł Tozio, i we wszystkich tym podobnych sprawach. Jest to kan-

tor stręczeń, biuro adresów i kurjer codzienny miasta M.

— Wiem, wiem już o jedném! — wołał Jodek, nie uważając na tę drwiącą rekomendacją towarzysza zabaw — na Złotój ulicy, siedm pokojów, bardzo nie-daleko mieszkania państwa Grabów.

— Państwa Grabów? *qu'est ce que ce?* — zawołała szambelanowa. — Nie słyszałam jeszcze, aby w M. byli państwo tego nazwiska.

— Jakże, jakże — mówił pan Jodek — są! i jak są! Pan Kalixt Graba, dzielny człowiek, słowo honoru, przybył tu na wiosnę, a w jesieni ożenił się z panną Kamillą G. Jak żyją! fiu! fiu!

— Z Kamillą G? — ozwała się Ryta — czy to nie z moją koleżanką, Toziu?

— Tak — odparł brat.

— Bardzo więc rada jestem, że znajduję ją w M.; jest to jedna z kobiet, dla których najwyższą miałam zawsze sympatyą.

Jodek począł natychmiast opowiadać o bogactwie Graby, o jego wystawném życiu, o jego miłej uprzejmości, potem zachwycił się nad wdziękami pani Kamilli.

— Tylko zanadto jakoś poważna, czy dumna — dodał.

Po śniadaniu Ryta zapytała brata:

— Powiedz mi, Toziu, kto jest ten pan Graba, mąż Kamilli?

— Mój najlepszy przyjaciel — odrzekł z emfazą.

— Jakiż to człowiek?

— W towarzystwie zachwycający, *bon camarade*, przedewszystkiém, w gruncie łotr skończony; ale nie mów o tém nikomu.

— I ty się z nim przyjaźnisz? — zapytała Ryta, uważnie patrząc na brata.

— *Qui se ressemble s'assemble* — odparł pół szyderczo, pół lekceważąco.

Ryta znowu ściągnęła krwi, znowu pobladła nagle i posmutniała.

V.

Zima przechodziła w M., jak wszystkie inne zimy, z tą tylko różnicą, że świat piękny więcej się tam, niż za innych lat, bawił. Szczególniej na Złotój ulicy był cały rząd domów, których okna, położone na pierwszym piętrze, gorzały codziennie prawie światłem rześistém, a nierzadko przechodnie zatrzymywali się przed niemi na ulicy, chwytając uchem odgłosy orkiestry, grającej skoczne tańce, i wzrokiem ścigając ulotne cienie mnogich par, prześlizgujące się po tle oświetlonych szyb. Niejeden młody człowiek, wracający wieczorem po całodziennéj ciężkiéj pracy nad piórem, książką, lub rzemiosłem, do chłodnéj i ciemnéj izdebki, w której oczekiwała go samotność, bieda, głód może, stawał na przeciwném tym oknom chodniku, i zadumał się przez chwilę, i westchnął nad dolą swoją, która wydała mu się ciemną i ciasną otchłanią, w porównaniu z tym rajem pełnym muzyki, pięknych kobiet i miłosnéj atmosfery, co patrzył na

niego promiennemi oknami, niby otworami do nieba, przed nim zamkniętymi, niestety! Niejedna młoda, uboga panienka, w powrocie swym od pracy szycia, lub mozolnego nauczania, z ciężkością walczyła z mroźnym wiatrem, który chód jéj utrudniał, z ostrym śniegiem, który twarz jéj chłostał, ze ślizgawicą chodników, grożącą jéj co chwila upadkiem, i nagle, usłyszawszy huczne, z głębi oświetlonych mieszkań płynące, akordy muzyki, przystawała, podnosiła wzrok ku oknom gorejącym od światła, chwytając uchem buchający przez mury gwar balowy i, podumawszy chwilę, szła dalej swoją drogą; tylko z deszczową, lub śniegową wodą, skrapiającą jéj policzki, łączyło się parę łez tęsknoty za weselem, swobodą, miłością, których odgłosy i widok zasłyszała i dojrzała tak blisko siebie. A nazajutrz, ten sam młody człowiek ubogi, i ta sama młoda uboga panienka, wstrząsani chłodem poranku, i skostniałe ręce tulące do drżącej od zimna piersi, przechodzili znowu obok tych okien, które wczoraj buchały światłem i gwarem, a dziś cicho, spokojnie, przesłonięte bogatemi firankami, zdawały się naśmiewać z wichrów i zamieci, szalejących na świecie, i znowu oczy ich, zmęczone niedospaniem, wzniosły się ku tym oknom, tętnącym ciepłem i ciszą dostatniego bytu, a głowy schylały się pod smutném własnój doli pocuciem. I nigdy może nie pomyśleli ci uprawiacze ciężkiéj roli pracy i biedy, że w tych mieszkaniach, co się im rajem zdawały,

odgrzewał się niejeden straszny dramat, wlokło się niejedno posępne bardzo istnienie, nigdy może nie pomyśleli o tém, że ich-to właśnie mozolne i ubogie życie szczęściem było, w porównaniu z życiem istot, w pięknym mieszkaniu tańczących wieczorem, a śpiących wygodnie rano, ale tańczących z sercem, targanym boleścią, a śpiących wśród mar, tłoczących się do głowy, objętej gorączką rozpacz. A jednak tak było, bo w jednym z tych mieszkań, wśród sprzętów bogatych i miękkich, tuliło się w kącie widmo nieśczęścia, i czyhało na mieszkańców, tém straszniejsze, że ukryte i spotęgowane kontrastem pozoru z rzeczywistością.

Najświeńsze i najbardziej otwarte z domów, bawiących się owęj zimy w M., były domy państwa Grabów i pani szambelanowej Słabeckiej. Wszyscy jednogłośnie zgadzali się na to, że Kamilla była pierwszorzędną z gwiazd na horyzoncie tamiecznego pięknego świata. Piękna surową i energiczną pięknoscią, ukazywała się wszędzie bogato strojna, z wielką powagą postawy i spokojem układu. Pod tą jednak powagą i spokojem ludzie upatrywali coś innego jeszcze, coś tajemniczego, coś, co się nie dawało dokładnie określić, ale uderzało widocznością. I tak: uważano, że nigdy się nie śmiała. Raz na przykład, dawano w teatrze komedię, wzbudzającą homeryczne wybuchy śmiechu w całym audytorium. Kamilla ukazała się w łożu w bogatym, ale surowym stroju,

w towarzystwie niemłodej kobiety w niebieskich okularach, której nikt nie znał, ale o której mówiono, że była jej matką. Niemłoda kobieta śmiała się wraz z innymi z dowcipnej i udatnej komedii, ale pani Grabina nie uśmiechnęła się ani razu, przeciwnie, im więcej wzrastała ogólna wesołość, tém więcej unosiły się jej energicznie zarysowane brwi, a południowym ogniem gorejące oczy nabierały nieledwie tragicznego charakteru. Kilku mężczyzn, patrzących na nią pilnie z parteru, spostrzegło tę szczególność, i szeptało między sobą: — „Dziwna kobieta”. — Ci sami mężczyźni, pociągnięci ku niej, może właśnie urokiem tej niepospolitości, przy końcu przedstawienia stanęli w kurytarzu naprzeciw drzwi jej łoża, aby widzieć ją przechodzącą i przesłać jej ukłon choć z daleka. Stojąc tak, usłyszeli, jak, idąc obok nich, niemłoda kobieta w niebieskich okularach, mówiła do córki:

— Zdaje się, że niezbyt bawiło cię dzisiejsze przedstawienie?

— Nie mam usposobienia do komedii, moja matko — odrzekła Kamilla.

Tym, którzy tę rozmowę słyszeli, rzecz zdała się wyjaśnioną; pani Grabina nie lubi komedii, więc nic dziwnego, że się nie śmiała z jej dowcipów; wszak są różne gusta; tém więcej zapragnęli ujrzeć ją na dramacie i zobaczyć, jaki też wpływ wywrze on na nią.

Stosownie do ich życzeń, przybył do M. znakomity tragic i afisze zapowiadały przedstawienie jednego z dramatycznych najnowszych arcydzieł. W niewielkim prowincjonalnym teatrze tłum był niezmierny; Kamilla ukazała się znowu w swój łoży, nie z matką już tym razem, ale z mężem. Uważano, że pan Graba wprowadził żonę z wielkiem uszanowaniem, sam podał jej krzesło i zdjął z niej okrycie, pomimo, że u drzwi stał uliberyowany lokaj. Kamilla przyjmowała te zabiegi ze zwykłym sobie spokojem postawy, ale nie spostrzeżono ani razu, aby spojrzała na męża; owszem, gdy naprzeciw niej usiadł, spuściła oczy na leżący przed nią afisz i już ich nie podniosła, aż do chwili, w której podjęto zasłonę. Kilku mężczyzn, zaciekawionych przez nią i pociągniętych ku niej, więcej zapewne wyobraźnią niż sercem, poświęciło na ten raz przyjemność widzenia gry aktorów, a całą uwagę zwróciło na grę jej twarzy i ruchów. Z razu nie odbiło się w niej nic nadzwyczajnego: w czasie pierwszego aktu, gdy wątek dramatu począł się dopiero rozwijać, Kamilla siedziała nieruchoma, spokojna, wpatrzona w scenę. Ale, gdy w drugim akcie dramat dochodził do całej potęgi, gdy na scenie rozpoczęły się jęki boleści, rzucania się rozpacz, groza morderstw, Kamilla bladła stopniowo, aż nagle usta jej zadrżały i głowę pochyliła bardzo nisko.

Graba zwrócił się szybko, szepnął coś do niej, a nie otrzymując odpowiedzi, skinął na lokaja, który

wnet wybiegł, z rozkazem zapewne przywołania powozu, a sam narzucił na żonę beduinę i podał jej ramię. Kamilla podniosła twarz strasznie bladą, z oczyma palającymi gorączkowym ogniem, chwiejąc się, powstała i wyszła z łoży takim krokiem, jak gdyby natychmiast miała upaść zemdlona.

Mężczyźni, którzy to widzieli, wzruszyli ramionami i rzekli między sobą: — „Z komedyi nie śmieje się, mdleje na dramacie; dziwna kobieta!” — a że wszyscy bywali u państwa Grabów, częścią więc przez ciekawość, częścią powodowani istotną sympatją dla Kamilli, poszli nazajutrz złożyć jej wizytę. Ale przyjął ich sam tylko gospodarz.

— Tak gorąco było wczoraj w teatrze — mówił — że żona moja blizką była omdlenia, a dziś czuje się cierpiącą i nie opuszcza swego pokoju.

Chociaż wymawiał to z zupełnym spokojem, goście dojrżeli w jego twarzy jakby ślady gwałtownego wzburzenia, a w ukłonie niezwykle roztargnienie. Zdawało się, że czuł ciągle wrzenie wewnętrzne; rozmawiając, myślał zupełnie o czém inném.

Jeżeli w teatralnej łoży postać Kamilli wydawała się tak tajemniczą i niepospolitą, to w salonach tajemniczość ta jej i niepospolitość wzrastała jeszcze.

Przyjmowała u siebie mnóstwo osób i z gośćmi prowadziła rozmowę z łatwością, ale była tak jednostajną zawsze i dla wszystkich, tak nie i nikt nie zdołał nigdy wywołać na twarz jej większej serdeczności,

lub choćby najmniejszego błysku jakiegokolwiek wzruszenia, iż widoczném było, że w towarzystwo, wśród którego zostawała, i w rozmowę z niém nie wkładała ani najmniejszej cząstki swojej duszy. Czy to w dzień, przyjmując ranne wizyty, czy wieczorami, gdy liczne zebrania tańczyły, lub grały w karty wkoło niéj, siedziała w budoarze swoim z rękoma złożonemi na sukni, a nieruchoma jéj kibić, ubrana najczęściej w suknię z czarnego aksamitu, dumnie rysowała się na ponsowém tle adamaszkowych poduszek kanapy. Jeśli wstawiała i przechodziła przez pokój, chód jéj był powolny, nigdy na niczyje spotkanie nie wybiegała żywo i uprzejmie, nigdy oczy jéj nie podniosły się na nikogo z tych, którzy wstawali, gdy przechodziła, ale były zawsze spuszczone, długimi rękami rzucając głębszy cień na twarz błądą, i już nieokreślonym jakimś cieniem zasnutą. Parę razy tylko goście znaleźli w jéj domu jéj matkę, i wtedy, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, ujrzeli ją więcej nieco ożywioną. Uśmiechała się czasem i żywszym krokiem przebiegała salony, ale czyniła to z widoczném wysileniem i, gdy matka jéj oddaliła się, popadała w tém większą i bardziej uderzającą martwość.

Niektórzy mawiali o niéj, że jest dumna, inni, że dziwna, inni jeszcze, że flegmatyczka; nikt nie mówił, że była smutną, bo na taką nie wyglądała; smutek bywa miększy i wyraźniejszy w objawach swoich, niż

było jéj zwykle usposobienie. Ale wśród mnóstwa jéj znajomych, znajdowali się jeszcze i tacy, którzy zaciekali się w niéj, jak w czémś niezwykle i tajemniczym, pragnęli podjąć choćby rozek téj posępnéj, a chłodnéj zasłony, pokrywającéj piękną i niezmiernie zajmującą kobietę. Ztąd stała się nadzwyczaj modną; mężczyźni mianowicie upędzali się za nią, i coraz więcej osób prezentowało się w jéj salonach. Nietylko mieszkańcy miasta, ale wszyscy, którzy z prowincyi na długo czy na krótko przybywali do M., starali się ją poznać i składali jéj wizyty; gwar wzmagał się koło niéj, a na tle jego tém wybitniej odbijała jéj cicha, głęboka, spokojna posępność. Každy, kto był u niéj gościem, odchodził zachwycony jej pięknoscia i niezwykle wdziękiem jéj rozmowy, a zaciekawiony całą cechą jéj osoby; każdy powracał wkrótce, zachwycał się jeszcze bardziej, ale nikt zachwycenia swego słowem żadném przed nią nie objawił, jak nigdy nikt na zebraniach nie zaprosił jéj do tańca. Nie jeden zbliżał się do niéj z zamiarem szepnięcia słodkiego słówka, albo zaproponowania walca lub mazurka; ale spojrzawszy na nią z blizka i zamieniwszy z nią słów kilkanaście, albo siadł obok niéj i rozmawiał zupełnie o czém inném, niż to, z czém siedł do niéj, albo odchodził i tańczył z kim innym. Wyglądała tak, że powiedzieć jéj komplement, albo zaprosić ją do tańca, znaczyło żartować z niéj i siebie wystawiać na śmieszność.

— Dlaczego nie spróbujesz nigdy tańczyć z moją żoną? — zapytał raz Graba Tozia na wieczorze tańczącym u jego matki.

— Nie śmiem — odpowiedział brat Ryty.

— Do diabła! — zawołał mąż Kamilli — alboż tak straszną ma minę? nie zaprzeczysz przecie temu, że jest piękną?

— Prześliczna! — odrzekł Tozio, ale ma coś w sobie, *que le diable m'emporte*, jeśli wiem co takiego, iż zdaje mi się, że gdybym ją prosił do tańca, miała-by prawo parsknąć mi w oczy śmiechem.

— Był-byś mądry, Toziu, gdybyś doprowadził panią Grabinę do uśmiechu, nietylko do śmiechu — rzekł, słyszący całą rozmowę, inny jakiś mężczyzna.

— A wiele tracicie na tém, panowie, że nie widzicie nigdy mojej żony wesołą, bo właśnie najpiękniejszą jest, gdy się śmieje — odrzekł z zupełną swobodą pan Graba, ale gdy się odwrócił, ściągnęły mu się brwi i oko mrugnęło nerwowo kilka razy.

Innego dnia, mąż Kamilli mówił do Ordynata Zrębskiego, który, stojąc w drzwiach salonu z *pince-nez* na nosie, wpatrywał się w siedzącą na kanapie Kamillę:

— No, gentlemanie, cóż tak w milczeniu przypatrujesz się mojej żonie, niby obrazowi świętej w wielkim ołtarzu? Wiem, że zakochanym jesteś po uszy w pani Kłońskię, nie będę więc zazdrosnym i pozwa-

lam ci usiąść przy mojej żonie i powiedzieć jej grzeczne słówko.

— *Ma foi* — odrzekł, wzruszając ramionami Ordynat — czy chcesz mnie wystrychnąć na dudka? Mówić komplementa twojej żonie! ależ to znaczy pokazać się zupełnym głupcem!

— No, spróbuj! — zawołał, śmiejąc się, Graba.

Ordynat milczał chwilę i popatrzył jeszcze chwilę na żonę towarzysza.

— Nie śmiem — rzekł w końcu i odszedł w inną stronę.

Ale, o ile Kamilla była dumną, spokojną i posępną, o tyle mąż jej wydawał się ruchliwym, uprzejmym i serdecznym dla wszystkich. Z wielką gorliwością starał się o stosunki i podtrzymywał je usilnie, mianowicie z bogatą młodzieżą; mówił poufale *ty*, gorąco ścisnął ich ręce, a niekiedy służył im nawet lekką pożyczką. Matkom, mającym dorosłych synów, pochlebiał i okazywał mnóstwo grzeczności; żonom młodych i bogatych mężów przysługiwał się bukietami, cukrami, które przegrywał im w zakłady, i powozami na przejażdżki. Niezmiernie gościnny, zapraszał do siebie, kogo tylko napotkał z wyższego towarzystwa; wiedział zawsze o wszystkich przybywających ze wsi, zapoznawał się wnet z nimi i prosił, aby dom jego za swój uważali. Był niewyczerpany w pomysłach do zabaw i rozrywek; organizował kluby męskie i urządzał kuligi, na których mężczyźni wy-

ciągali losy, kto ma wieść jaką damę. Trzymał doskonałego kucharza i codziennie każdy, kto chciał, mógł znaleźć u niego wykwinne śniadanie, doskonały obiad, lub wieczerzę.

Mianowicie mężczyzn, przybywających ze wsi, raz na zawsze zapraszał do siebie na obiady; jeśli przybywali z matkami lub żonami, zapraszał matki i żony; a siostry, jeśli były piękne i utalentowane, najusilniej.

Gdy mu już te przyrzekły swą bytność, szedł do znajomój sobie młodzieży i zapraszał ją także, mówiąc:

— Przychodźcie, będzie u mnie pani N. z pięknymi czarnymi oczyma, i panna X., cudownie grająca na fortepianie.

Zaproszeni przybywali, zjadano wykwinny obiad, potem grano, śpiewano, prowadzono konwersacyę, nakoniec damy rozjeżdżały się to do teatru, to gdzieś na wieczór, to do domów dla wypoczynku, a mężczyźni zasiadali do kart, grali w sztosę, pili szampana, przekąsowali strasburskim pasztetem i westfalską szynką, a dobrze po północy, albo o świcie, wychodzili z mieszkania Graby najczęściej z wypróżnionymi kieszeniami. A wszystko to czynił pan Graba z taką prostotą i dobroduszością, taki był łatwy do zaznajomienia się i spoufalenia, uprzejmy, serdeczny, uprzedzający, w pewnych nawet razach uczynny, że mnóstwo osób odchwalić go się nie mogło.

Pani szambelanowa, z którą zachwycająco umiał rozmawiać o zagranicy, i której mówił, że wygląda najwięcej na lat trzydzieści, wynosiła go pod niebiosa i taką dla niego miała słabość, że parę razy powitała go w roztargnieniu: — „*Bon jour, mignon!*” — Na wieczorach zapraszał ją do tańca, a gdy półgłosem wymawiała się swoim wiekiem i dorosłemi dziećmi, wykrzykiwał:

— Na honor! pani chyba żartujesz! Przysięgnę bym, że żadna z obecnych tu pań tak zręcznie i lekko nie tańczy, jak pani!

Pani szambelanowa, chcąc pokazać, że się nie myli, wspierała pulchną rękę na jego ramieniu, i puszczając się w wir polki lub innego tańca, a gdy, po zrobieniu kilku turów, padła na krzesło, ledwie mogąc oddychać, wachlowała się gwałtownie i mówiła do syna:

— *Vous avez un charmant ami, mon fils!*

Tozio uśmiechał się na to, a niekiedy i parsknął śmiechem, potem mówił coś półgłosem do Ryty, która obojętnie, niechętnie prawie, znajdowała się względem Graby i starannie unikała rozmawiania z nim, lub tańczenia.

— Nie pojmuję, Ryto — mówiła po cichu do córki pani szambelanowa na jednym z tańczących wieczorów — nie pojmuję, dlaczego jesteś tak *reserve* względem pana Graby. Nigdy z nim nie tańczysz i rozmawiasz, jak możesz, najmniej.

— Bo robi on na mnie wrażenie obrzydliwego węża — odpowiedziała Ryta.

— Nie powinnaś tak się wyrażać o mężu twojej przyjaciółki i przyjacielu twego brata. *Mais où est donc mon évantail?* — zawołała nagle — *Ryta, ma chère, czy nie wiesz, où est mon évantail?*

— *Vous l'avez certainement perdu, maman* — odparła Ryta ze zwykłym sobie spokojem, i zamyślnym wzrokiem powiodła po salonie, oczyma szukając brata.

Gdy postrzegła go, stojącego obok Graby i rozmawiającego z nim poufale, zsuwała brwi i odmawiała wszystkim, zapraszającym ją do tańca.

Większa część kobiet była takiego zdania o Grabie, co i szambelanowa. Ubył mu wprawdzie przez ożenienie się urok kandydata do małżeństwa, ale za to przybył powab gościnnego gospodarza domu, który mnóstwo przyjemnych chwil przysparzał towarzystwu, a przez ciągłe urządzenie rozmaitych zabaw i ściąganie do siebie młodzieży ze wsi, dostarczał okazji do zawierania maryażów. Litowały się też nad nim potrochu pocziwe dusze niewieście, bo to, co w Kamilli interesowało do najwyższego stopnia mężczyzn i znaczną ich część pociągało do niej tajemniczym, nieokreślonym urokiem, zrażało kobiety i nاپrowadzało je na mnóstwo niekorzystnych dla niej sądów i wniosków.

— Dumna, jak cesarzowa, a przecież niedawno była tylko guwernantką — mawiały jedne.

— Zimna i bez serca — powtarzały inne.

— Niepodobna zawiązać z nią przyjaźni, ani żadnego serdeczniejszego stosunku — orzekły trzecie.

— Widocznie nie ma serca — osądziły wszystkie i dodały: — Jeśli taka jest dla otaczających, taką samą musi być dla męża. Szkoda go! taki miły człowiek! Toż ożenił się z nią przez miłość, wziął ją bez posagu; pokażcie nam więc mężczyzn, którzy biorą za żony ubogie dziewczęta bez posagu! a ona odpłaca mu za to poświęcenie obojętnością! Szkoda go, doprawdy!

I im więcej litowały się w ten sposób czułe serca, tém miliej piękne oczy spoglądały na nieszczęsną ofiarę losu, na człowieka, obdarzonego do tego stopnia gorącym i zacnym sercem, że wziął żonę bez posagu, a skazanego na chłód domowego ogniska.

O sądy ludzkie !...

Pewnego razu, na jednym z tygodniowych wieczorków u państwa X., jedna z dam średniego wieku, mająca dorosłego syna i dwie dorosłe córki, a której Graba powtarzał często, że mogła-by ująć za siostrę swego syna, i że nigdy nic nie widział piękniejszego nad czepek ze strusiem i piórami, którym stroiła swą czterdziestoletnią głowę, siedząc obok Kamilli, usłyszała, a raczej podśluchiwała następującą między nią a jej mężem rozmowę.

— Kamillo — mówił Graba, siadając obok żony i niby zniżając głos, bo znajdującą się najbliżej dama, o strusich piórach, siedziała odwrócona i zdawała się bardzo uważnie przypatrywać przez lornetkę obrazowi, wiszącemu na ścianie — Kamillo, jesteś dziś nieznośnie posepna. Proszę cię, abyś była inną.

Kamilla z razu nic nie odpowiedziała.

— Kochana żono — rzekł ciszej już nieco Graba — przypominam ci naszą poślubną rozmowę i błagam, abyś rozchmurzyła czoło i porzuciła minę ofiary, na stos idącej.

Kamilla z wolna zwróciła twarz ku niemu i odpowiedziała :

— Nie mogę być inną.

Graba nachylił się i szepnął jęj coś do ucha, czego już żadną miarą dosłyszeć nie mogła dama o strusich piórach.

— Jeśli mnie będziesz zmuszał — odpowiedziała półgłosem Kamilla — zamknę się na cały miesiąc w swoim pokoju i będę ci tém psuła *interesa*.

Ostatni wyraz wymówiła ze szczególnym naciskiem.

W tój chwili jakaś młoda panna usiadła do fortepianu i pierwsze akordy walca zagłuszyły zgrzytnięcie zębami pana Graby. Gdyby je usłyszała dama o strusich piórach, była-by zapewne straciła część swęj sympatyi dla męża Kamilli, bo nie w świecie nie jest mniej estetyczném, jak zgrzytanie zębami. Lecz

nie usłyszała tego dama, mająca czepek, zdaniem pana Graby, najpiękniejszy w świecie, a zato, co usłyszała, powtórzyła wszystkim znajomym swoim, którzy się znajdowali na wieczorze u państwa X.

— Wyraźnie słyszałam — mówiła — jak, z całą miłością najtkliwszego małżonka, błagał ją, aby choć raz czulszém okiem spojrziała na niego, a ona mu na to opryskliwie odpowiedziała : że jeśli będzie po nię tego wymagał, zamknie się w swoim pokoju na cały miesiąc i będzie mu psuć interesa.

— Cóż-by to znaczyło : psuć interesa ? — zapytała jedna ze słuchaczek.

— A naturalnie, że będzie mu tyle tracić pieniędzy, aż go zrujnuje — wytłómaczyła dama o strusich piórach — czyż nie uważasz, jakie to utratne, jak się stroi, a niedawno było to tylko guwernantką na pensyi pani D.

— Więc nie tylko bez serca, ale jeszcze kapryśna i marnotrawna — zdecydowały słuchaczki damy o strusich piórach.

— Bez serca, kapryśna i marnotrawna ! miła mi żoneczka ! szkoda go ! — powtórzyły wszystkie słowami, lub w duchu.

Kiedy piękna, to jest niewieścia połowa towarzystwa, wydawała tak pełne sympatyi i współczucia sądy o panu Grabie, inaczej trochę było z brzydką, czyli mężką.

Młodzież trzymała się go jeszcze silnie, wysławia-

ła jego wesołość, uprzejmość, ochoczość do wszystkiego i nazywała go duszą zabaw. Niektórzy z młodych ludzi, do których należeli Kłoński i Tozio, nie wysławiali go wprawdzie, nie mówili o nim ani źle, ani dobrze, ale nie odstępowali go jednak, pociągani snadź doń magnetyczną siłą, jaką wywierać umiał, jaką posiadają pewne płazy potężnej organizacyi nad ptakami, na które czyhają. Między młodzieżą więc ciągle jeszcze rej wodził, z butelek szampana strzelając im na wivat ich przegranych pieniędzy. Ale między poważniejszymi mężczyznami, między dojrzałymi ojcami rodzin i doświadczonymi ludźmi, przybywającymi ze wsi do miasta za interesami, lub dla pocziwów rozrywki, papiery jego poczęły spadać ogromnie. Znajdowały się głosy, surowo naganające jego sposób życia, i byli nawet tacy, którzy wręcz odmawiali mu swoich wizyt i wywozili na wieś synów, postrzegłszy, że się z nim zaprzyjaźniają. Kilka zresztą dwuznacznych, wypadkowych słówek wpadło niespodzianie między towarzystwo, bawiące w M., i przyczyniło się do podania jego opinii w pewną wątpliwość.

Tak na przykład jakiś podżyły obywatel z gubernii W., rodzinnego miejsca pana Graby, przejeżdżał przez M., udając się za interesami w dalsze strony, i zatrzymał się w tém mieście dla odwiedzenia pewnego, z dawną sobie znanego, domu. W domu tym znalazł kilkanaście zebranych osób, rozmawiających o świetnym wieczorze, wydanym przed kilku dniami przez pań-

stwa Grabów, a raczej przez pana Grabę, bo domyślano się powszechnie, że żona jego zabaw nie lubi, i że są one wyłącznie jego samego dziełem.

— Więc Kalixt Graba mieszka w M.? — zapytał podżyły obywatel z dwuznacznym uśmiechem.

— Tak — odpowiedziano.

— A to winszuję, bardzo winszuję państwu takiego współmieszkańca — rzekł przybyły z wyrazem, który wszystkich zaciekał.

— Czy go pan znasz? — wtrącono.

Obywatel uczynił szczególniejszy giest ręką, który można było wziąć za giest wzgardy.

— Znam go aż nadto dobrze, na nieszczęście mojego biednego syna — odpowiedział.

Zaczęto się dopytywać, ale podróżny człowiek był milczący, jak kamień. Wyraźnie albo nie lubił obmawiać, albo wspomnienie o tym jakimś biednym synu, tak mu ciążyło na myśli, że i przez cały dalszy ciąg swój wizyty mało już mówił i smutnie jakoś był zamysłony.

Po jego odejściu, kobiety obecne jednogłośnie zdecydowały, że pan Graba musiał zabić, albo ciężko ranić w pojedynku, syna podżyłego obywatela z gubernii W., co przecież nie czyniło mu żadnej ujemy, bo pojedynek, to honorowa sprawa.

Ale mężczyźni inaczej widać myśleli, bo uśmiechnęli się przy wzmiance kobiet o pojedynku i z namyśłem kiwali głowami.

Jeden z nich ozwał się nawet :

— Oj, to jakiś ptaszek, ten Graba!

— Podejrzany — dodał inny.

Na to kobiety oburzyły się, młodzież parsknęła śmiechem; niemniej jednak słowa podżyłego obywatela zostały w M., jako śruba, wiercąca w opinii pana Graby.

Większe jeszcze wrażenie wywarła pewna pani, przybyła do M. dla oddania córki na pensyą, z tych samych okolic, w których mieszkała siostra i matka męża Kamilli. Rozpytywała się ona szczegółowo znajomych o nią i o niego, a potem rzekła, jakby do siebie:

— Biedna, biedna kobieta!

— Kto biedny? — zapytano.

— Żona tego Graby — odparła w roztargnieniu.

Wzięto ją więc na indagacyą, jak wprzód obywatela z gubernii W., ale przybyła pani odpowiedziała kobietom:

— Nie powiem wam nic więcej, moje drogie, bo żyję w przyjaźni z jego pocziwą siostrą i nie chcę, aby ona do mnie potem jakikolwiek żal miała.

A gdy oblegali ją mężczyźni pytaniami, żartowała:

— Czy nie wiecie, panowie, że ciekawość, to pierwszy stopień do piekła? Zarzucacie ją nam, kobietom, a sami jesteście w najwyższym stopniu ciekawi. Ostrzegam was, że prędko się postarzejecie.

Rozśmiano się z żartu dowcipnej pani; niemniej jednak po jej odejździe została druga śruba, wiercąca dziury w opinii pana Graby.

Do tych dwóch śrub przybyła jeszcze i trzecia, a niebezpieczniejsza od innych, w postaci pewnego dwudziestoletniego młodzieniaszka, przybyłego ze wsi do M., z poleceniem od sędziego ojca opłacenia raty bankowego długu, podatków, jakichś procentów, zaległych kredytorom, i t. p. Wysłany w tych celach, jednak bogatego papy, przybył do miasta M. z pugilarem, wypchanym suto — kilku tysiącami rubli podobno.

Pan Graba poznał się z nim w cukierni, zaproponował mu najprzód partyjkę bilardu, przypomniał sobie, że znał jego ojca, a ze stryjecznym bratem żył w bliskich stosunkach za granicą, następnie pochwycił młodzieniaszka w objęcia, nazwał go po imieniu Władkiem i zaprosił do siebie na obiad, i nie tylko na jeden obiad, ale na wszystkie obiady, które mu przyjdzie zjadać w M.

— Borel nieźle jeść daje — mówił — ale ja mam też wyśmienitego kucharza; bądź-że więc łaskaw jadać u mnie bez ceremonii; wszak ze stryjecznym bratem twoim żyliśmy w wielkiej przyjaźni. A może znajdujesz się w ambarasie pieniężnym — dodał z cicha — zwyczajnie, jak to bywa w mieście z przyjezdnymi? powiedz szczerze; kieszeń moja otwarta dla ciebie.

Władzio, który czuł jeszcze przy sercu wszystkie pieniądze, dane sobie przez papę na różne opłaty, musnął wąsik, który mu zaledwie dopiero rosnąć zaczynał, i odpowiedział, siłąc się na swobodę układu i wyrażen swego nowego znajomego:

— Dziękuję ci, *cher ami*, ale *miałem* w tym roku znakomity urodzaj w *moim* majątku, i właśnie przed kilku dniami rządca wręczył mi kilka tysięcy rubli, to jest część dochodu z *meego* majątku, z którymi właśnie tu przybyłem. Wyobraź sobie, że w tym roku kopa zboża wydawała po dwie beczki ziarna, a beczkę płacono po dwanaście rubli...

— Pst! Krezus z ciebie, Władziu! — przerwał Graba. — Na honor, jesteś świetną partją, a z tym pięknym wąsikiem i temi hiszpańskimi oczyma, jakie masz, zwrócisz głowę połowie panien tego świata!

Władzio musnął raz jeszcze rudawy wąsik, spojrział w zwierciadło na swe siwe i nieco zezowate oczy, i, gwiżdżąc arją z Wolnego Strzelca, którą siostra jego popisywała się zwykle przed sąsiadami, poszedł za swym nowym przyjacielem.

W tydzień potem, świetna partja, mająca głowę zwrócić połowie panien tego świata, wpadła do mieszkania swęj ciotki, przebywającęj w M., i zawołała żałośliwie:

— Ciociu kochana! w łeb sobie palnę!

— Jezus! Marya! — krzyknęła ciocia z przerażeniem, zeskakując z kanapy tak, że aż Filuś spadł

z kolan jęj na podłogę — cóż ci się stało, Władziu!

— Zgrałem się do szczętu! — zawołał Władziu-lek, rzucając się na kanapę z taką rozpaczą, że aż jęknął nieszczęsny sprzęt.

— Jakto? gdzie? u kogo? — pytała ciocia, zalamując ręce i patrząc na bratańca osłupiałym wzrokiem.

— Wszystko, wszystko przegrałem, co mi dał papa na różne opłaty! przegrałem temu Grabie i jego gościom, niech ich!.. Teraz zostaje mi tylko zastrzeżić się, nic więcęj, albo powiesić; bo jak ja do papy powrócę bez kwitów rządowych i bez kwitów od kredytorów? Bądź ciocia zdrowa... idę topić się!

I zmierzał ku drzwiom, zapominając o kapeluszu.

— Stój-no mi zaraz, błaznie! — krzyknęła ciotka, porywając go za poję od surduta. — Dam ja ci strzelać się, wieszać i topić! Przegrałeś, nic dobrego, pieniądze ojca, to go przeproś i basta, a na drugi raz niech ci to posłuży za naukę, abyś uciekał od zielonych stołów, jak od dyabelskich pazurów. Nieźle by było, aby za tę piérwszą chętkę ojczulek rozciągnął na kobiercu synalka i dał mu po staroświecku z pięćdziesiąt bacików dla pamięci; ale nie zrobi tego, bo to przecież jedynak najdroższy, gagatek, Władziu-lek! Siądź tedy na krześle i ani się ruszaj, nim konie pocztowe przyjdą i pojedziesz do domu. Sama cię wyprawię dzisiaj, abyś wypadkiem i tego tużurka

jeszcze nie przegrał, co go masz na sobie; ale na drugi raz, jeżeli tak zrobisz, ani mi się na oczy nie pokazuj; strzelaj się, top, czy wieszaj, jak zechcesz, bo wolę, żebyś umarł, niż został szulerem!

Tak łając i gderząc, rozplakała się pocziwa ciotka, chustką od nosa wypędziła Filusia, który jęj płażał się pod nogami, i napisała list do brata, aby tym razem przebaczył Władziowi, ale drugi raz nie wypuszczał go do miasta z tak znaczną sumą pieniędzy.

Zkonfundowany Władzio pojechał tego samego dnia do domu z dziesięciu rublami, które mu ciotka dała na drogę, ale po wyjeździe jego długo i głośno rozwodziła ona swoje żale przed znajomymi, że Graba ze swoją kompanią tak ograł jęj bratańca, iż ten aż w łeb sobie chciał pałać.

I była to trzecia śruba, wiercąca opinią pana Graby, a najstraszniejsza, bo sformowana z języka rozniewanej kobiety.

Takich śrub mniejszych i większych przybywało coraz więcej, i pod nogami niedawnego bohatera miasta M. grunt chwiać się począł. Niemniej jednak stał on jeszcze silnie, wsparty na swoich pięknych salonach, wykwintnych obiadach, świetnych wieczorach i na téj ukladnej, niepospolitej powierzchowności, z której umiał wyciągnąć niezliczone środki mamienia i pociągania ludzi.

Bądź co bądź, powszechnie zajmowano się panem Grabą i jego żoną, mówiono o nich źle i dobrze, ale wogóle stanowili oni oboje w M. to, co Francuzi zwą *la fable du jour*.

Drugim przedmiotem powszechnego zajęcia owęj zimy byli państwo Klońscy. Tworząc sprzeczność z ogólnym popędem do zabaw i z uprzednim hucznym sposobem swego życia, trzymali oni dom zamknięty, nie wydali ani jednego wieczoru, ani obiadu, a pani Celina nie pokazywała się nigdzie, prócz w kościele i na spacerach, odbywanych najczęściej w zamkniętym powozie. Nie należała ona do żadnych kuliaków, nie ukazała się ani raz w teatrze, na przedstawieniach znakomitego tragika, słowem; stała się prawie niewidzialną. Tém więcej interesowano się nią. Już to z początku zamknięcie się jęj w domu przypisywano wyjątkowemu stanowi jęj zdrowia; wiadomo bowiem było powszechnie, iż wkrótce miała zostać matką. Z drugiej jednak strony, w towarzystwie bawiącym się, znajdowało się kilka kobiet w tém samym, co i ona położeniu, a jednak nie uchylały się od wszelkich zebrań, i lubo nie tańczyły po większej części i odmawiały udziału w zbyt ruchliwych rozrywkach, toć jednak z przyjemnością przyjmowały liczne wizyty i uczestniczyły w ożywionych nader pogadankach o pogodzie, modach, zabawach, zawierających się maryażach, zrywających się stosunkach, wszystkich słowem drobnostkach, których pełne jest zawsze

każde prowincjonalne miasto, mianowicie tak ludne i ożywione, jak było M. w owój porze. Zresztą pan Jodek, który wszędzie wcisnąć się musiał bodaj przez dziurkę od klucza, jak dyabeł Twardowski, i bywał tam, gdzie najmniej nawet osób przyjmowano, opowiadał, że widuje dość często panią Klońską, i że zdrowa jest zupełnie, ładniejsza niż kiedy, tylko nieco zesmutniała. To zesmutnienie zauważyły zresztą i inne osoby w kościele, gdy Celina w czasie mszy klęczała u stóp wielkiego ołtarza, z twarzą osłonią białą koronką, pod którą jednak ciekawe oczy zajrzały i dojrzały parę spływających łez i, niezwykłą dawniej u młodéj i świeżéj kobiety, bladeść twarzy.

Pani Klońska więc, młodziutka, bogata, żona bardzo przystojnego i przyzwoitego męża, zesmutniała. Ztąd podziwienie ogólne. Już-to wogóle w prowincjonalnym mieście nie wolno młodéj kobiecie, pod karą zwrócenia wszystkich oczu na siebie, ani zesmutnić, ani stać się weselszą, ani poblednąć, ani nabrać rumieńca, ani spuszczać oczu, ani patrzeć śmiało w twarz ludziom.

Powinna być ona zawsze jednostajna, jak nakręcony zegarek, lub machina o całych kółkach i sprężynach. Zesmutniała? a więc w kimś zakochana. Poweselała? a więc robi się z niej trzpiotka i lekka kobieta. Pobladła? ma zmartwienia domowe. Nabrała rumieńców? znak widoczny próżniactwa i or-

dynaryjności. Spuszcza oczy? hipokrytka. Patrzy śmiało? kokietka. Rusza się żywo? brak dystynkcji. Chodzi powoli? brak ożywienia. Tak, tak, moja pani! żyjąc w prowincjonalnym mieście, a szczególnie zajmując w niem miejsce, jak to mówią, na świeczniku, trzeba bardzo uważnie pilnować oczu swoich, i ruchów, i cery, i wszystkiego, co składa całość osoby; bo inaczej, niech cię sam Bóg chyba i wszyscy Jego Święci i Błogosławieni strzegą od ludzkich języków.

Pani Celina Klońska zesmutniała. Stało się to faktem oczywistym, udowodnionym jéj zamknięciem się w domu i temi dwiema malutkimi, błyszczącemi leżkami, dojrzanemi przez kogoś tam pod koronkową woalką. Fakt ten związał się z dwoma innemi i utworzył z niemi szereg faktów, w logicznym porządku wiążących się z sobą. A najprzód, faktem łączącym się z zesmutnieniem pani Klońskiej, był widoczny i wyraźny fakt zesmutnienia, a raczej spośpennienia jéj męża.

Stanisław Kloński bywał wprawdzie w towarzystwach, męzkich szczególnie, ale zaszły w nim zmiany, uderzające oczy ludzkie. A najprzód, utracił całkiem prawie swą swobodę, kawalerską wesołość, rzadko przynajmniej ją odyskiwał i najczęściej milczał wśród najgwałtowniejszych rozmów. Niekiedy miał minę człowieka, myślącego wcale o czém inném, niż to, co go otaczało; chodził prędko po salonie,

w którym koledzy grali w karty, potem nagle przystępował do jednego z zielonych stolików i zaczynał grać tak wściekle, że zgrywał się do grosza. Niekiedy i wygrywał, ale rzadko, bo grał zapamiętale i bez wyrachowania, a gdy mu się wypadkiem kiedy i zdarzyła wygrana, rzucał ją na stół i oddawał lokajom, dostarczającym kart, a potem znowu chodził po salonie z rękoma w tył założonemi, jak człowiek, który nie dba o nic, co się wkoło niego dzieje.

Raz któryś z towarzyszy przeszkodził mu w tej przechadzce i, kładąc mu rękę na ramieniu, zapytał:

— Co ci jest, Stasiu?

Stanisław drgnął, jak człowiek, którego z głębokiego snu budzą, i odrzekł opryskliwie:

— Do licha! nie pytaj mnie o nic!

Począł natychmiast pochwycić za kapelusz i uciekł od wesołej kompanii. Śledzono, dokąd uciekł, i odkryto, że do swego własnego mieszkania. Oprócz tego zauważano już, iż w ogólności, częściej niż wprzód, przesiaduje w domu, co-by na pozór znaczyło, że nabiera zamyślenia do towarzystwa swojej żony. Ale Jodek wyprowadził z błędu wszystkich, którzy tak myśleli, bo zaręczył „słowem uczciwego człowieka”, że, ile razy był u państwa Klońskich, to jest, ile razy tam się wcisnął, nigdy nie znalazł małżeństwa siedzącego razem. Sama pani wychodziła zwykle na jego przyjęcie ze swojej sypialni, a pan ze swego ga-

binetu, przedzielonego od niej kilku salonami. Zdarzało się nawet, że pani wcale nie wychodziła; wtedy on, Jodek, szedł do gabinetu samego pana, jako dobry znajomy i towarzysz, i znajdował go najczęściej siedzącego z łokciami opartymi na stole, a głową na rękach, albo leżącego na sofie i tak zamyślnego, że po dobrej minucie zaledwie zdobywał się na powitanie gościa. Opowiadał też Jodek, że raz zapytał Stanisława, co-by mu było takiego i dlaczego siedzi ciągle w swoim gabinecie, oparty na stole, jak rabin nad biblią? Stanisław zaśmiał się na to takim śmiechem, że Jodek rozumiał, iż spazmów dostaje, i odpowiedział:

— Jodek, bądź łaskaw i zadzwoni na lokajów, niech podają śniadanie. Zamkniesz sobie przynajmniej usta szynką albo pasztetem i nie będziesz się wdawał w nierozsądne pytania.

Jodek nie dał sobie naturalnie mówić tego po dwa razy; spożył śniadanie, zapił ratafią i poszedł o swém wydarzeniu opowiadać całemu miastu. Mężczyźni dziwili się niepomału tej zmianie, zaszłej w usposobieniu hulaszczego niedawno towarzysza; jeden tylko Graba zdawał się jej nie dziwić, bo nigdy nie pytał o nic Stanisława, nie zaciekał się w badaniach nad jego dola i wcale nawet o nim nie mówił. Tylko niekiedy, patrząc na niego, mrugał nerwowo lewem okiem, co mu się najczęściej zdarzało, gdy był albo bardzo zły, albo namiętnie wzruszony, albo szczegó-

nie uradowany, i uśmiechał się tryumfująco. Brał go też czasem pod rękę i usiłował rozbawić cyniczném opowiadaniem różnych przygód swego i cudzego życia. Albo prowadził go do Borela na partyjkę bilardu, albo zakładał mu pod nosem banczek, wołając na niego: — „Poniteruj, Stachu!” — I udawało mu się często rozbawić towarzysza. Stanisław popychał kule na bilardzie, poniterował przy zielonym stole, śmiał się na całe gardło i łykał jeden po drugim kielichy szampana, za które mu Graba płacić kazał, jeśli byli u Borela; ale wnet potem, przegrawszy, co miał, a co wygrał rzuciwszy lokajom lub garsonom, ochrypłszy od śmiechu i wina, zapadał w swe mizantropijne usposobienie, obracał się plecami do kolegów, albo chwytął kapelusz i uciekał do domu, gdzie, jak słowem uczciwego człowieka ręczył Jodek, zasiadał w gabinecie swym nad stołem, oparty i zamyślony, jak rabin nad biblią.

Po tym fackie posmutnienia męża Celiny następował dziennym porządkiem wiążący się z nim fakt trzeci.

Trzecim tym faktem było eleganckie *tilbury* Ordynata Zrębskiego, zaprzężone ognistą *Sultanką* i zajeżdżające często przed bramę mieszkania państwa Kłońskich. Wprawdzie *tilbury* to najczęściej bardzo prędko odjeżdżało od bramy wraz ze swym właścicielem, snadź nieprzyjętym; ale niekiedy właściciel bywał przyjmowany, i stało ono po parę godzin na ulicy

przed bramą. Wtedy na *tilbury*, jak ptak zawieszony na gałęzi, siedział ustrojony groom, powstrzymując rwącą się do biegu *Sultankę* i pogwizdując furmańskie aryetki, a około *tilbury* przechodzili panowie, przejeżdżały panie, patrzyli na okna pierwszego piętra i szeptali ploteczki. Może też to zaciekawiające *tilbury* stało tak po parę godzin przed bramą państwa Kłońskich zaledwie dwa razy, może nawet raz na miesiąc, a daleko częściej odjeżdżało bardzo prędko ze swym nieprzyjętym właścicielem; niemniej jednak bywały wypadki, że stało ono tak wystawione na widok publiczny, a zatem było faktem, faktem oczywistym i wiele znaczącym, mianowicie w połączeniu z dwoma poprzedniami faktami i tym jeszcze drobnym fackikiem, że pan Graba, przechodząc raz ze swoją szkołą, to jest kilku młodymi ludźmi, około niego, spojrzął na okna pierwszego piętra i, świsnąwszy laseczką, rzekł od niechcienia:

— Ten biedny Ordynat stracił głowę dla pani Kłońskiej. Śliczna-bo też to na pozór kobieta, a przytém ma męża takiego pocziwca!

Fakt więc trzeci, jawiący się oczom ludzkim w postaci *tilbury* Ordynata, a tak znaczący odnośnie do tajemnic domowych państwa Kłońskich, był niezawodnym i oczywistym; rzecz szła tylko o to, co się też działo w salonach wtedy, gdy on stacyonował przed bramą? Tu okazała się znowu niezmierna użyteczność Jodka. Potrafił bowiem on opowiedzieć, że

był u państwa Klońskich parę razy w czasie bytności tam Ordynata i widział rzeczy w istocie szczególniejsze, ciekawe, wiele mówiące. A mianowicie: że w czasie tych wizyt Stanisław nie ukazywał się wcale, a jeśli wychodził, to podawał gościowi tylko końce palców i rzucał się w fotel. Poczém, albo nic nie mówił, albo ciągle sztydził z różnych rzeczy, albo jeszcze, o dziwo! chwalił tak panią Grabinę i tak unosił się nad nią, że jemu, Jodkowi, zdawało się, iż był chyba w niej rozkochanym. Ordynat zaś rzucał ciągle niezmiernie czule spojrzenia na panią Klońską, głądził wciąż faworyty i wyglądał, jak ptak, w klatkę złapany. A pani Celina najczęściej haftowała i nie patrzyła na niego. Mówiła także mało, i niekiedy tylko rumieniła się gwałtownie, ale Jodek nie był pewny, czy wtedy, gdy Ordynat na nią czule patrzył, czy wtedy, gdy mąż jęł panią Kamillę wychwalał. Słowem, panu Jodkowi wizyty te wydawały się tak nudne i jakąś ciężką atmosferą owiane, że sądził, iż się znajduje na pogrzebie, i uciekł-by przed wyjściem Ordynata, gdyby się nie spodziewał, że go zaproszą na obiad. Ale mylił się w swém wyrachowaniu, bo gdy Ordynat się oddalił, Stanisław wychodził téż z domu i ostatniego swego gościa z sobą zapraszał. Gdy zaś żona spytała bardzo nieśmiało: dokąd idzie, odpowiadał, że do państwa Grabów. Bóg jednak tylko wie, dlaczego jęł tak powiadał, bo szedł w isto-

cie do Borela, gdzie jadł obiad i grał w bilard do późnej nocy.

Te trzy kapitalne fakta połączone były, niby ogniwkami, różnemi drobnemi falcikami. Tak na przykład zauważono, że posmutnienie Stanisława datowało się od jego pamiętnego zajścia w cukierni z kapitanem, który wreszcie już nigdy u niego więcćj nie bywał, i z którym nawet nie witał się od owego dnia w towarzystwach, udając, że go nie widzi. Następnie, zdawało się pewném, że posmutnienie Celiny zaszło jednocześnie z poweseleniem Ordynata, a raczej znakomitém jego ożywieniem się. W istocie, wychowaniec Albionu daleko mniej poziewał od pewnego czasu, rzadziej uskarżał się na zimno i codzień prawie przejeżdżał się po mieście na *Lady Makbeth* po kilka razy, mijając mieszkanie państwa Klońskich i zawsze spoglądając melancholijnie na okna pierwszego piętra.

Z tego łańcucha faktów i falcików, logicznie po sobie następujących, utworzył się u publiczności w M. łańcuch również logicznie uporządkowanych wniosków, zmienionych wkrótce w niezbite pewniki i brzmiających jak następuje:

Pani Klońska posmutniała. Dlaczego posmutniała, choć na pozór niczego jęł nie braknie? Dlatego, dlaczego smutnieją zwykle młode, zameżne kobiety: zakochała się. Mąż jęł posmutniał. Dlaczego posmutniał, choć ma wszystko, co życie miłém czyni?

Dlatego, dlaczego smutniej wszyscy mężowie żon posmutniałych. Postrzegł niewierność Celiny, a więc zazdrość i obrażony honor go dręczy. Dlaczego *tilbury* Ordynata stoi niekiedy po parę godzin u bramy państwa Klońskich? Dlatego, że Ordynat zakochany jest w pani Klońskiej. W kim zakochała się pani Klońska? Naturalnie, że we właścicielu *tilbury*, które stoi niekiedy u bramy po parę godzin.

Tak mówiły wielkie fakta, a drobne fakciki dodawały, że Stanisław o niewierności żony dowiedział się po raz pierwszy od kapitana, i dlatego, od tej właśnie pory, zesmutniał; że Grabie, jako najściślej szemu swemu przyjacielowi, musiał wszystko powierzyć, i dlatego wydaje się on uwiadomionym o wszystkiem; że Celina posmutniała, bo widzi się związaną podwójnie: raz przysięgą, a drugi raz—niedalekiem macierzyństwem; że Ordynat poweselał i ożywił się, boć powszechnie wiadomo, że miłość jakakolwiek, szczęśliwa czy nieszczęśliwa, nowe życie wlewa w człowieka.

Jeden tylko szczegół w tém wszystkiem został nieodgadniony: czy Stanisław jest poprostu zazdrosny o swoją żonę, czy może także zakochał się na swoją rękę w pani Grabinie, bo, według wersyi Jodka, i to ostatnie wydawało się prawdopodobnem.

Bądź-jak-bądź, wszystko to było, było niezawodnie i tak właśnie było, jak wskazywały fakta i fa-

kciki, spostrzeżone, ugrupowane i w jeden porządkny ciąg ułożone przez niezbitą logikę publiczności.

Znajdowali się wprawdzie profani, niedowiarki, którzy na wzór św. Tomasza mówili: nie uwierzę, aż się dotknę. I byli jeszcze inni, między młodzieżą szczególnie, dowodzący, że Stanisław nie z zazdrości posmutniał, ale z desperacyi po fortunie, która bodaj prędko pęknie, tak ją na wszystkie strony rozrzuca. Ale to były wyjątki, a ogół wierzył w logikę faktów i fakcików. A z tej wiary głębszej wytworzyło się równie głębokie, niezmierne, wielkie dla Stanisława współzucie, współczucie, graniczące z litością nad młodym i tak przystojnym człowiekiem, którego żona nie kochała, którego żona smutniała, którego żona zdradzała!

Przyznać trzeba, że ten żal wielki, nadprzyrodzony, nad zdradzonym mężem, panował wyłącznie w sercach niewieścich, a najbardziej w sercach matek, które miały córki na wydaniu i pragnęły były mieć go za zięcia, zanim się był ożenił, i w sercach owych córek o zawiedzionych nadziejach, i w sercach kobiet, które zazdrościły Celinie albo jej wdzięków, albo jej strojów, albo jej pozycyi towarzyskiej; i w sercach w ogóle tych kobiet, które jej nie lubiły, ot tak, Bóg sam wie za co, chyba za to, że mimowoli czuły w czémkolwiek jej wyższość nad sobą. W żądnej piersi męskiej żal ten się nie obudził, oprócz kilku szlachetnych piersi ex-konkurentów Celiny,

starających się niegdyś o jej pozłacaną rączkę i odepchniętych przez nią. W tych rzeczywiście pierśsiach żal nad Stanisławem obudził się najgorętszy, bo trysnął z nich najgorętszą obmową Celiny, lubo bardzo cichą, bo odstraszaną ową odezwą jej męża o kuli, trafiającą w nietoperza i jaskółkę.

Zachodziło pytanie: czy należy litować się nad Stanisławem w razie, jeśli i on zakochany jest na swoją rękę? Odpowiedziano, że jeśli ten fakt i istnieje, nie zmienia on wcale położenia rzeczy, bo przecież Stanisław jest mężczyzną, więc wolno mu kochać się w kim chce i jak chce. A Celina—to kobieta; z jej strony więc miłość dla kogo innego, niż dla męża, któremu wierność zaprzysięgła, jest zbrodnią, zbrodnią nie do przebaczenia. Amen.

Stały więc wobec publiczności w M. dwie ofiary w postaci nieszczęśliwych mężów: Pan Graba, mąż żony zimnej, kapryśnej i marnotrawnej, i pan Kłowski, mąż żony płochęj i niewiernej. I klątwa rzuconą została na żony, a litość i sympatya dostała się mężom.

O, sądy ludzkie! jakże często przypominacie znakomite wyroki, wydawane w Osieku!

Tak więc zima schodziła w M. pięknemu towarzystwu wśród wieczorów, proszonych obiadów, klubów, kuligów, wizyt; miasto wrzało oddawna nieznanem ożywieniem. Borel robił świetne interesa, mieszkania eleganckie podróżowały, parę sklepów nowości otwo-

rzyło się, z księgarni całkiem prawie znikły dzieła poważnej treści, a namnożyło się w niej mnóstwo romansów i cudzoziemskich krotchwil, mających ogromny popyt; ulubiony kaznodzieja stracił część swojej popularności, bo gromił z ambony zbytki kobiet i hulaszczę życie mężczyzn: zbyt często powtarzał text Ewangelii o bogaczu i uchu igielnym.

Wśród całego tego gwaru i ruchu prześlizgała się jeszcze jedna, zwracająca na siebie część uwag powszechnych, postać kobieca, a wybitna na tle ogólnem, różniąca się od niego spokojem i zamyśleniem twarzy o regularnych rysach. Postacią tą była Ryta Słabecka. Zwracała ona część tylko uwagi powszechniej, bo nie była tak piękną i tajemniczą, jak pani Grabina, ani tak piękną i posmutniałą, jak pani Kłowska. Niemniej jednak taka, jaką była, zwracała oczy, raz, że była nowością, powtóre, że różniła się od innych kobiet. A była ona nowością dla miasta M., bo pierwszy raz ukazała się w niem, jako panna dorosła, po śmierci ojca bowiem cały rok nosiła żałobę i mieszkała na wsi, a następnie wyjechała z matką za granicę. Szeptano też o nią różnie; mężczyźni dzielili się w zdaniach: jedni nazywali ją brzydką i nadętą, inni powabną i myślącą,—drugich liczba była znacznie mniejsza. Kobiety ogólnie miały do niej niewiele sympatyi, bo się z niemi nie zaprzyjaźniała wcale i widocznem było, że nawet, o ile mogła, unikała uczestniczenia w zabawach, a w miłych pogadan-

kach niewieścich, to jest w plotkach, zachowywała się zupełnie biernie. Znajdował się w M. pewien człowiek, który gorąco ją admiirował; był nim księgarz miejscowy. Widywała się ona z nim często i za każdym razem otwierała przed nim swój pugilaresik.

— Sprowadziłem niedawno — mówił on raz do dwóch pań, które przyszły kupować u niego jakiś romans Dumasa — sprowadziłem niedawno wyszlą świeżo z pod prasy „Księgę przyrody”. Gdyby nie panna Słabecka, nie sprzedał-bym dotąd ani jednego egzemplarza tego pysznego dzieła.

— Co to jest „Księga przyrody”? — zapytała jedna z dam.

— To zbiór popularnych wykładów z botaniki, zoologii, chemii, fizyki i wszystkich słowem nauk przyrodniczych — odrzekł księgarz i, skory do przysługi, zdjął pośpiesznie z pulki dwa grube tomy i położył je przed paniami.

Jedna z nich, końcami palców, ubranych w rąkawiczkę koloru *Bismarck content*, otworzyła księgę i natrafiła na część o zoologii. Lekki okrzyk oburzenia wyrwał się z jęj piersi i rumieniec *zażenowania* pokrył wstydlive czoło. Zakryła nagle książkę, na której karcie przedstawił się jęj oku widok odrysowanych wnętrzości zwierzęcych, objaśniający przyrząd krążenia krwi.

— *Dieu*, jak można czytać podobnie nieprzyzwoite książki, i to kobiecie! pannie! — szepnęła do to-

warzyszki, zasłaniając rękawkiem zawstydzoną twarz przed zdziwionym księgarzem.

— Więc to książka nieprzyzwoita — zawołała towarzyszka — i panna Słabecka ją czyta? Ha, można było *à la rigueur* spodziewać się tego.

— Zobaczysz, że za mąż nie pójdzie — zdecydowała pani, wstydząc się widoku zoologicznych rysunków, i zwróciła się do księgarza.

— *Monsieur*, prosiłam o romans Dumasa, *Le roman d'une femme*, i o romans Gautier'a *Fanny*.

— A może pani wybierze jakąkolwiek z powieści krajowych? — zapytał księgarz, podając żądane książki.

Pani skrzywiła usteczka.

— Bardzo niewiele czytuję po polsku — odrzekła.

— A szkoda, bo są bardzo piękne rzeczy — nalegał księgarz.

— Piękne rzeczy w naszej literaturze! co pan mówisz! alboż u nas piszą co dobrego? — i od dawszy z wysoka uklon księgarzowi, wyszła z towarzyszka.

We drzwiach księgarni spotkała się z Rytą Słabecką i powitała ją serdecznym wykrzyknikiem:

— *Ah! chere M-elle Ryta, que j'ai plaisir*, że panią spotykam.

Ryta zimno podała jęj rękę i, uprzejmie powitawszy księgarza, rzekła:

— Przyszedł prosić pana o świeżo wyszlę w Niem-

czech lekcye Vogta o wychowaniu i pracy kobiet, i o parę powieści angielskich Dickensa. A także zbiorę teraz polską Illustracyą, którą musiałeś już pan otrzymać z poczty dla mnie.

— Nieznośna pedantka! — szepnęły do siebie dwie panie, wyszedłszy na ulicę.

O ile księgarz chwalił i lubił Rytę, o tyle modniarki i sklepowi w magazynach nowości ganili ją i nazywali skąpą. Nie wiadomo dlaczego tak było, bo panna Słabecka ubierała się zawsze bardzo ładnie i gustownie, z tą tylko od innych pań różnicą, że nie zawieszała na swój osobie mnóstwa paciorek, wstążeczek, aksamitek i błyskotek, w których wyglądały, jak noszone za procesyą ołtarzyki.

Nie lubił téż Ryty pan Graba i nazywał ją *bas bleu*, przemądrzałą i tym podobnie. Nazywał ją zaś tak po cichu i wtedy, gdy Tozio nie mógł go słyszeć, bo kiedy raz w obecności jego ośmielił się zażartować z Ryty, brat jój zarumienił się i rzekł stanowczo:

— *Mon cher*, jeśli choć trochę cenisz stosunek ze mną i nie chcesz go utopić „w zapomnienia fali”, racz nadal z należnym uszanowaniem odzywać się o mojej siostrze.

Uważano zresztą ogólnie, że Tozio okazywał szczególniejsze przywiązanie dla siostry, połączone z rodzajem szacunku. W obecności jój nigdy w karty nie grywał; za to gdy jój nie było, odpłacał to so-

bie podwójnie zawziętą grą. Zamieszkał w jednym domu z matką, i powiadano, że uczynił to na prośby Ryty; miał tam dwa osobne pokoje, w których przyjmował niekiedy kolegów, ale kawalerskie wieczorki dawał tylko wtedy, gdy siostry w domu nie było; a jeśli posłyszał turkot powozu w bramie i domyślał się, że to ona wracała, zamykał starannie drzwi i prosił towarzyszy, by zbytniego nie robili hałasu.

— Na honor! boi się siostry! — zawołał, widząc to raz, Graba.

— Nie boję się, ale wstydę się jój — odpowiedział Tozio, i przez resztę wieczora był roztargniony i kilka razy zapytywał lokaja, czy w pokoju Ryty nie słychać gwaru i brzęku kieliszków.

Spostrzegli niektórzy, że względem matki nie zachowywał on podobnych ostrożności, i uśmiechali się złośliwie, szepcąc jednak po cichu, iż dziwna to rzecz, że pani szambelanowa zdaje się wcale nie spostrzegać sposobu życia syna, który podkopuje i tak już podejrzaną wartość fortuny i rujnuje do reszty i tak już słabe swe zdrowie.

Nieoceniony Jodek, najczęstszy i najpoufalszy gość pani szambelanowej, dowodził, że z wielu oznak mniema, iż panna Ryta mocno boleje nad marnotrawstwem i chorobą brata. Raz nawet, o dziwo! znalazł Tozia siedzącego obok niej i czytającego jój głośno jakąś książkę. Niedługo to jednak trwało, bo Tozio miał minę niezmiernie znudzoną i pokaszliwał

częściej, niż zwykle, co widząc, Ryta, przerwała mu czytanie i zaczęła rozmawiać o czémś pobieżném.

Tozio, korzystając z téj przerwy we wspólném z siostrą zajęciu, wyszedł natychmiast z domu, a pan-na Słabecka przez cały wieczór po jego odejściu siedziała zamknięta w swoim pokoju.

Takie-to rzeczy i wiele im podobnych działy się w ciągu zimy w tych obszernych, pięknych mieszkaniach, na których okna, oświetlone wieczorem, a uroczospokojne z pozoru, z zazdrością i żalem spoglądali przechodzący obok nich ubodzy młodzi ludzie i ubogie panienki. Toczyły się tam zacięte walki czarnych duchów i dobrych aniołów, wrywając sobie wzajem dusze ludzkie; walki namiętności z poczuciem, cnoty z występkiem, prawdy z fałszem. Odgrywały się tam dramata, przysłonięte tajemnicą aksamitnych firanek i koronkowych zasłon, owiane atmosferą zabawy, wśród której płaśało nad głowami ludzkimi—nieszczęście.

A ci, którzy nie byli aktorami tych walk i dramatów, ale patrzyli na świetne draperye, zdobiące scenę i na błyszczące kostiumy aktorów, mawiali z zazdrością—szczęśliwi!

VI.

Połowa Marca mijała, na ulicach miasta topniał śnieg zimowy, zato w rynsztokach płynęły obficie mętne strumienie, a w środku ulic, między kamieniami nierównego bruku, stały gdzieniegdzie kałuże. Całe miasto przybrało brudny, posępny pozór.

Pewnego dnia o zapadającym zmroku, wśród gęstej mgły drobnego deszczu, szedł jedną z mniejszych ulic M. wysoki mężczyzna, otulony płaszczem, którego kołnierz całkiem twarz mu zakrywał, łącząc się prawie ze zgrabną futrzaną czapką. Szedł pośpiesznym krokiem, z głową spuszczoną, i snadź szło mu bardzo o to, aby nie spotkać się z nikim znajomym, bo skoro tylko postrzegł z dala idącego kogoś w porządném ubraniu, wyżej jeszcze podnosił kołnierz od płaszcza, przechodził na przeciwną stronę ulicy i żywiej, pośpieszniej prześlizgiwał się pod niskimi drewnianymi zabudowaniami wązkiej uliczki. Nagle zaturkotała obok niego karetą, podniósł głowę i spoj-

rzał. Kareta była niska i zgrabna i cała oszklona; stangret i lokaj mieli na sobie szafirową liberyą. Tuż za karetą z wielkim pędem nadleciało eleganckie *tilbury*, zaprzężone ognistą klaczą krwi tureckiej i powożone przez zielono ubranego grooma. Obok grooma siedział mężczyzna w sobolowej szubie, z szyją hermetycznie owiazaną szalem, z angielskim zarostem na twarzy i *pince-nez* na nosie. Kareta jechała z wolna, ale *tilbury* leciało bardzo prędko, a z pod kopyt tureckiej klaczy tryskały iskry. Mężczyzna, owinięty płaszczem, przystanął nagle i zdawał się patrzeć na mijające go powozy. *Tilbury* w mgnieniu oka doścignęło karety i tak ją z bliska minęło, że jeśli koła dwóch powozów nie zaczepiły o siebie, to tylko dzięki nadzwyczajnej zręczności powożącego grooma. W tej samej chwili mężczyzna z angielskim zarostem, pełnym pośpiechu i galanterii ruchem, zdjął z głowy sobolową czapkę i całą postacią przesłał ukłon komuś siedzącemu w karecie. Zmrok i zroszone szyby powozu nie dozwalały dojrzyć stojącemu na chodniku mężczyźnie, czy otrzymał on ukłon wzajemny, ale z piersi jego wydarło się westchnienie, podobne do jęku gniewu i bólesci. Stał nieruchomy, jak przykuty do miejsca, i ścigał oczyma oba powozy.

Tilbury poleciało jak wicher dalej i skrzyło na inną ulicę, a kareta, tocząc się z wolna, wjechała na obszerny dziedziniec domu, w którym zamieszkiwały panny Jedlińskie.

Przechodzień, otulony płaszczem, postął jeszcze chwilę na miejscu i, gdy umilkł już całkiem turkot obudwóch powozów, poszedł dalej.

Po chwili znalazł się na Nadrzecznój ulicy, smutniejszej jeszcze od innych, bo małe, jednopiętrowe domki wyglądały szaro i brudno od wilgoci, a огоłcone z liści drzewa ogródków uginały się z szumem pod świszczącym podmuchem wichru i płakały nad chodnikami rzesistą mgłą spadających z gałęzi kropel. Mężczyzna wszedł w bramę ogródka starego Wigdera.

Na progu domu, osłonięta od deszczu wystającym dachem, siedziała Chaita. Przed nią stał na ziemi garnek z rozżarzonemi węglami, nad którym rozgrzewała sobie ręce. Z garnka wydobywały się chwilaми płomyki, czerwono rozświecając rozpostarte nad niemi kościste palce żydówki, i jaskrawe światło rzucające na głowę jej, o żółtej i pomarszczonej twarzy, owiniętą grubym i wysokim izraelskim zawojem. Za nią było głębokie tło pogrążonej w zupełnej ciemności sieni, a przed nią sterczały gołe badyle ogrodowych krzewów i roślin, i woda ściekająca z dachu pluskała po kałuży, szeroko stojącej przed progiem.

Mężczyzna w płaszczu stanął przed żydówką.

— Czy Wigder w domu? — zapytał.

Chaita podniosła głowę z osłupiałemi oczyma i ozwała się przeciągle:

— He?

— Przekłeta idyotka! — szepnął do siebie przybysz i dodał głośno: — Pytam cię, czy Wigder jest w domu?

— Ny, on jest w domu; ale kto pan taki? — zapytała Chaita.

Mężczyzna postawił nogę na progu.

— Co tobie do mego nazwiska? — rzekł, i chciał wejść do sieni.

Ale żydówka podjęła z ziemi garnek z ogniem i stanęła we drzwiach, zasłaniając mu sobą wejście.

— Ny, niech pan zaczeka — rzekła — ja wprzódy zapytam Wigdera, czy on chce pana zobaczyć. Kto pan taki?

Mężczyzna zrobił giest niecierpliwy i zawołał:

— Do diabła! powiedz-że mu, że przyszedł do niego ten pan ze Złotéj ulicy, który z nim ma interes! a prędko! bo nie myślę długo stać pod progiem żydowskim!

Chaita zniknęła i bardzo prędko wróciła.

— I cóż? — zapytał mężczyzna.

— Wigder chce wiedzieć, jak się pan nazywa.

— Cóż to znowu? — zawołał — czy tu etykieta królewska panuje?

I znowu postawił nogę na progu, chcąc wejść.

Ale Chaita z garnkiem drogę mu zastąpiła.

— Ny, Wigder chce wiedzieć, jak się pan nazywa? — rzekła.

— Komedia prawdziwa! Idź-że i powiedz mu,

że jestem Kloński, ty kamerdynerze z Łyséj Góry! — zawołał ze złością.

Chaita zniknęła znowu i, po chwili wróciwszy, rzekła:

— Wigder prosi, żeby pan wszedł.

— Nareszcie! — mruknął Kloński i wszedł do sieni, a Chaita usiadła po dawnemu na progu i postawiła garnek przed sobą.

W bawialnej izbie starego Wigdera paliła się na stole łożówka w cynowym lichtarzu, oświetlając tylko małą część pokoju, a resztę zostawiając w zupełnym cieniu. Na stole stał wyszczerbiony talerz z resztką jakiegoś brudnego sosu, leżał widelec drewniany, wykrzywiony i wyszczerbiony nóż bez trzonka, a wkoło rozsypane były okruchy czarnego chleba. Pod samym światłem łożówki siedział na stolku Wigder, z okularami na nosie, w swym nieśmiertelnym starym chałacie i ze swą długą, siwą, porządnie uczesaną brodą. Siedział schylony nad stołem i pilnie zapełniał cyframi stronicę ogromnej, leżącej przed nim, księgi. Pisał zaś, poczynając od prawego brzegu papieru.

Na odgłos skrzypnięcia drzwiami podniósł głowę, zatopił pióro do połowy w ogromny, osmolony kałamarz i, zdejmując okulary, powstał z wolna i zwrócił się ku nadchodzącemu.

— Na honor! — zawołał Kloński, zrzucając zmoknięty płaszcz — musiałeś, kochany Wigderze, nie-

dawnemi czasy zostać hrabią, lub kawalerem pierwszorzędnego orderu, bo aby się dostać do ciebie, trzeba przebyć tyle ceremonii, jak wchodząc do mieszkania jakiego karmazyna starój daty!

To mówiąc, rzucił się na stołek i strzepywał z siebie krople deszczu, pozostałe na ubraniu.

Wigder uśmiechnął się i przesunął dłoń po brodzie.

— Mylisz się pan — odpowiedział z wolna, zwykłą sobie polszczyzną. — Nie zostałem hrabią, ani jestem karmazynem starój daty, bo w naszej społeczności mojąszowój niema karmazynów i nie-karmazynów; ale mam moje własne takie zaszczyty, dla których panowie chętnie stoicie u mojego progu, choćby najdłużej, byle tylko dostać się do mnie.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Kloński z przymusem — i jakież to są te zaszczyty?

— Pieniądze — odparł z wolna żyd i usiadł na krześle naprzeciw gościa swego, siedzącego na stołku.

Milczeli przez chwilę obadwa; czarne, przenikliwe oczy żyda wpiły się w zmęczoną twarz Klońskiego, ale nie zaczynał rozmowy.

— Cóż to robiłeś, gdy przyszedłem? — ozwał się pierwszy Stanisław, miększym znacznie głosem, niż wprzód.

— Liczyłem długie pańskie i pańskich towarzyszy — spokojnie odrzekł Wigder.

Twarz Klońskiego sponsowała.

— I ileż tam ich na moję część naliczyłeś, po-

czciwy Wigderze? — zapytał gość żartobliwym tonem, pod którym jednak słychać było drżenie głosu.

Żyd, milcząc, otworzył księgę i szukał w niej przez parę sekund, potem zbliżył łojówkę i wodził wzrokiem po zapisanej cyframi stronicy. Nagle spojrzął na pół-otwarte drzwi od sieni i, wskazując je gościowi, rzekł:

— Bądź pan łaskaw zamknąć drzwi, bo wiatr dmucha do pokoju.

Wszystkie nerwy drgnęły w twarzy Klońskiego, ale zdobył się na spokój i odpowiedział, nie ruszając się z miejsca:

— Przypominam ci, kochany Wigderze, iż jesteś we własnym domu, i niegrzecznie jest z twojej strony kazać gościowi drzwi zamykać.

— Chciałbyś mi pan także przypomnieć — rzekł żyd obojętnie — że jesteś szlachcicem i wielkim panem, a ja żydem, to wszystko prawda; ale ponieważ mnie staremu ciężko trochę wstawać, niechże więc te drzwi zostaną sobie otwarte.

I znowu, milcząc, zaczął wodzić wzrokiem po otwartą księdze.

— Pytałeś mnie pan przed chwilą — mówił, patrząc ciągle w książkę — ile mi jesteś winien; oto cały rachunek.

I wskazał Klońskiemu długi szereg cyfer, obok których systematycznie poustawiane były różne daty i podpisane komentarze, a wodząc palcem

po stronicy, mówił z wolna, nie patrząc na swego gościa:

— Przed dwoma laty, przed samém ożenieniem się, pożyczyłeś pan u mnie pięć tysięcy rubli srebrnych na kupno powozów, liberyi, mebli, wszystkiego słowem, bez czego nie mogłeś się ożenić z bogatą panną. Tych pięć tysięcy pożyczyłem panu na trzydzieści procent rocznie, robiąc tém panu wielką łaskę, bo nikt inny panu nie był-by pożyczył; a zatém, nie miał-byś żony, ani jej posagu.

— Czy nie można rachować bez żadnych niepotrzebnych uwag, kochany Wigderze? — przerwał Kloński.

— Hm, powtórzyłem tylko własne pańskie słowa, które mówiłeś, prosząc mnie wtedy o pożyczkę pieniędzy. Pamiętam, jak mówiłeś mi pan: — „Pożycz mi, Wigderze, zrobisz mi wielką łaskę, bo inaczej nie będę miał ani panny, którą kocham, ani jej posagu”. — Nie zaprzeczysz pan przecie temu, że tak mówiłeś. Ale wróćmy do rzeczy.

— To będzie najlepiej — wtrącił gość.

— Otóż od owych pieniędzy, pożyczonych na powozy, meble, przyrósł dwuletni procent. Trzydzieści od sta od pięciu tysięcy, czyni przez dwa lata trzy tysiące; procent dwuletni od niepłaconego także procentu i także trzydzieści procent, czyni dziewięćset rubli. Więc trzy tysiące dziewięćset procentu i pro-

centu od procentu, dołączone do pięciu tysięcy kapitału, tworzą pierwszą pozycyą: ośm tysięcy dziewięćset.

To mówiąc, wskazał palcem na stronicę wielkimi znakami nakreśloną cyfrę: 8,900.

— Zdaje mi się — rzekł Kloński — że owe dziewięćset procentu od procentu śmiało mógł-byś odrzucić.

— A na co je odrzucać? — odparł żyd z flegmą — taka przecież była między nami umowa. Panom wolno wszystko odrzucać od siebie, bo wyście panowie, ale my, żydzi, przeciwnie, ciągniemy wszystko do siebie, nie odrzucamy. Wracajmy więc do rachunku. Dziesiątego Lutego bieżącego roku skończył się rok, jak pożyczyłeś pan u mnie tysiąc pięćset rubli, na trzydzieści pięć procent od sta. Ponieważ dziś mamy już czternastego Marca, a pan nie opłaciłeś procentu, dołącza się więc pięćset dwadzieścia pięć do kapitału tysiąca pięciuset i tworzy się z tego druga pozycya, dwa tysiące dwadzieścia pięć. Obie zaś pozycye, pierwsza i druga, dołane z sobą, tworzą cyfrę dziesięć tysięcy dziewięćset dwadzieścia pięć.

I znowu wskazał palcem na stronicę księgi wielkimi znakami nakreśloną cyfrę, którą wymienił.

Stanisław był bardzo błądliwy i milczący patrzył na księgę.

Żyd mówił dalej:

— Zeszłej jesieni, to jest dwunastego Września

oddałeś mi pan w zastaw brylantową broszę swojej żony.

Na te słowa gość drgnął cały.

— Rozumiem, że wspomnienie to musi być panu nieprzyjemnem — ciągnął Wigder, rzuciwszy na niego przelotne wejrzenie — ale sam przecież pan tego chciałeś, bo na oblig nie mogłem już wówczas panu pożyczyć, jakbym i teraz nie mógł. Otóż wzięłeś pan ode mnie w zamian téj broszy rubli srebrem pięćset, z trzymiesięcznym terminem wykupu, i na niewielki procent, dziesięć procent miesięcznie, co przez trzy miesiące czyniło-by rubli srebrem sto pięćdziesiąt. Ponieważ pan nie mogłeś wykupić broszy po trzech miesiącach, przeciagnąłem mu termin jeszcze na trzy, z warunkiem tego samego procentu, a że one upłynęły już także, więc z procentem od procentu za pierwsze trzy miesiące, który wynosi rubli srebrem sześćdziesiąt siedm i pół, co gdy dołączymy do pięciuset kapitału, znajduje się trzecia pozycja, tworząca cyfrę ośmset sześćdziesiąt siedm i pół, którą znowu dodawszy do dwóch poprzednich, widzimy sumę jedenaście tysięcy siedmset dziewięćdziesiąt dwa.

I palec żyda przesunął się po stronicy księgi, na wymienioną a zakreśloną tam cyfrę.

— Ależ to okropnie! — zawołał Kłoński, bardzo blady i zrywając się z krzesła — jam nigdy nie rachował, jam nigdy nie przypuszczał, że tyle już jestem tobie winien!

Żyd nie zmienił postawy.

— Ha, widzisz pan — rzekł — Wigder był cierpliwy i delikatny, nie naprzykrzał się panu o oddanie, nie dokuczał, toś pan i niewiele myślał o tych pozycjach, które on w swojej księdze na pański rachunek stawiał, szczególnież mając sam tak świetną towarzyską pozycją.

— Słuchaj, Wigderze! — krzyknął Kłoński — nie szydź i nie probuj mojej cierpliwości!

Żyd spojrzał przez ramię na drzwi i przerwał spokojnie:

— Bądź-że pan łaskaw zamknąć te drzwi, bo któkolwiek z nas reumatyzmu dostanie.

Stanisław postąpił gwałtownie i z trzaskiem drzwi zamknął; twarz jego zmieniła się, z wielkiej bladeści przechodząc w szkarłat, i znowu nagle stała się bladą.

— Dziękuję — rzekł Wigder, patrząc znowu w księgę — ale siadaj pan, bośmy nie skończyli jeszcze rachunku. Przed dwoma miesiącami oddałeś mi pan w zastaw swój własny pierścionek i perły swojej żony. W zamian pierścionka wzięłeś pan rubli srebrem pięćset, ale w zamian pereł dwa tysiące, i nawet powiem, że ostatnie zastawiłeś w nizkiej cenie, bo są bardzo piękne, wielkie, uryańskie prawdziwe. My, żydzi, znamy się dobrze na perłach, a przytém jest ich sześć sznurów. Otóż wzięłeś pan za pierścionek i perły dwa tysiące pięćset rubli srebrem,

z terminem większym miesięcznym, który odnawiałeś już dwa razy, i który pozwolę panu jeszcze parę razy odnowić, a uczynię to tylko dla dobrych z panem stosunków. Wszakże zaległego już przez dwa uplynione miesiące procentu, po dwadzieścia pięć od sta miesięcznie, należy mi się tysiąc pięćset, co dołączysz do kapitału dwa tysiące pięćset, widzimy czwartą pozycją, tworzącą cyfrę cztery tysiące, którą połączysz z trzema poprzednimi, wypada ogólna suma długu: piętnaście tysięcy siedmset dziewięćdziesiąt dwa ruble srebrem.

To mówiąc, wstał, położył palec na największymi znakami nakreślonej cyfrze, piętnaście tysięcy siedmset dziewięćdziesiąt dwa, i dodał, powoli i wyraźnie wymawiając każdą zgłoskę:

— Winien więc mi pan jesteś wogóle piętnaście tysięcy siedmset dziewięćdziesiąt dwa ruble srebrem.

Stanisław stał z założonemi na piersiach rękoma i z pochyloną głową; na bladém czole jego rysowało się kilka głębokich zmarszczek.

Żyd, milcząc, patrzył na niego przenikliwie i gładził siwą brodę.

Nagle Kloński podniósł głowę, postąpił i gwałtownie pochwycił go za rękę.

— Słuchaj, Wigderze — rzekł stłumionym głosem — jesteś zapewne przekonany, że pieniądze twoje nie zginą, bo gdybyś inaczej myślał, i nie dawałbyś mi ich, i nie mówił-bys ze mną tak spokojnie.

A więc oddaj mi jeszcze perły i broszę mojej żony, a weź w zamian weksle na sumę, którą za nie wzięłem od ciebie, z doliczeniem jakich chcesz procentów. Wydam ci te wexle jutro, dziś jeszcze, jeśli można, a oddam pieniądze niezawodnie, tylko... teraz... wróć mi klejnoty mojej żony...

Mówiąc to drżącemi ustami i z błagalnym prawie wyrazem, patrzył na twarz żyda.

Wigder uśmiechnął się.

— Hm—rzekł z wolna— gdybym ja panu chciał i mógł dać pieniądze na wexle, nie na zastawy, to bym od razu tak był uczynił.

— Dlaczegoż nie chcesz? dlaczegoż nie możesz? — zapytał Stanisław gorączkowo.

— Bo pańska fortuna nie opłaci już mojego długu, a mając zastawy, mam pewność, że mi pan go oddasz z innych źródeł... z funduszu żony na przykład...

— Jakto! fortuna moja nie opłaci twojego długu?! — zawołał Kloński — ależ majątek mego ojca jest znaczny!

— Najprzód należy wziąć na uwagę, że to jest właśnie majątek pańskiego ojca, nie pański, więc kredytorowie mogą być zmuszeni czekać, nim on umrze, ale pomijam i to, bo przecież jest przysłowie u państwa: — „Czas płaci, czas traci”. — Ale hipoteka majątku ojca pańskiego jest tak słabą, że składać na niej nowe wexle niebezpieczném się stało.

— To nieprawda! — zawołał Stanisław,

— Rachujmy — odparł spokojnie żyd i, usiadłszy, wziął pióro, ćwiartkę papieru i począł mówić, kreśląc przytém stopniowo cyfry:

— Majątek pański oceniony być może na dziewięćdziesiąt tysięcy rubli srebrem, nie wyżej, nie prawdaż?

— Tak — rzekł Kłoński.

— Bankowego długu ciąży na nim trzydzieści tysięcy. Ojciec pański wydał wexle różnym osobom na piętnaście tysięcy, co stanowi już czterdzieści pięć tysięcy, a dodane do tamtego, czyni sześćdziesiąt trzy tysiące; mój dług, oprócz ostatnio wziętych pieniędzy za pierścioneł, broszę i perły, wynosi prawie jedenaście tysięcy ośmset; od mieszczanina Lisa pożyczyleś pan trzy tysiące; plenipotentowi swemu winieneś tysiąc dwieście; drobnych długów po sklepach zbierze się na parę tysięcy: co ogólnie będzie stanowiło ośmdziesiąt jeden tysięcy. Pięć tysięcy odtrącam od wartości majątku, dla zaniedbanego tam przez wiele lat gospodarstwa, cztery tysiące liczę drobnych długów ojca pańskiego, który je ma zapewne, bo każdy z panów mieć je musi; a wszystko razem podkreśliwszy i dodawszy, wyjdzie suma dziewięćdziesiąt tysięcy, to jest tyle, co majątek pański wart. A pieniądze, dane za pierścioneł, broszę i perły, zostają na ewikcyi pozostalego panu zera, które wszakże przestaje niém być, kiedy dopiszemy do niego cyfrę posagu żony pańskiej.

Ponieważ jednak ona może nie zechce mi ich zwrócić, rzecz jest naturalna, że przekładam to, co mam w ręku, niż wexel pana, oparty na zerze, i pereł pańskiej żony w żaden sposób oddać panu nie mogę.

Stanisław był śmiertelnie blady, usta mu drżały i nagle ognie przechodziły po czole.

— Zkąd ty to wiesz wszystko? — krzyknął — to nieprawda!

Żyd uśmiechnął się znowu.

— Myśl pan sobie, że to nieprawda — odrzekł — lepiej ci z tém będzie, bo później się zaczniesz martwić; ja jednak mówię panu, że żaden z was nie zna tak swojej własnej fortuny, jak ją zna żyd, pożyczający wam pieniądze.

— Ha, więc zrujnowany jestem, zrujnowany do szczeru i to z własnej winy! — zawołał i, znowu nagle pochwyciwszy rękę żyda, mówił gwałtownie:

— Ale nie o to mi idzie! Przewidywałem to od dawna, choć nie sądziłem, aby chwila była tak bliska; ale dziś, dziś potrzeba mi klejnotów mojej żony! rozumiesz, Wigderze? trzeba mi jej klejnotów. Ona nie wie o tém, żem je wyjął z jej biurka, bo całą zimę ich nie potrzebowała; ale lada dzień może spostrzedz brak ich, a teraz, o! teraz mniej, niż kiedy; chcę, aby ona to postrzegła; umarł-bym ze wstydu, gdyby mi *teraz* przyszło jej to powiedzieć!...

Wigder stał nieporuszony, uśmiechnięty i gładził brode.

— Najprzód — ozwał się po chwili — zmuszony jestem prosić pana, abyś mi tak mocno ręki nie ścisnął, bo mogę krzyknąć z bólu i przestraszę moję biedną Chaitę. Następnie, powtarzam panu raz jeszcze, że pereł żony pańskiej oddać mu w zamian za wexel na pieniądze nie mogę.

Stanisław, zamiast zwolnić rękę Wigdera, pochwycił drugą i, ścisnąjąc obie silnie, mówił prędko :

— Wigderze, proszę cię, błagam, oddaj mi te klejnoty!.. toć policzyłeś sobie niesłychane procenta, których-by ci żaden sąd nie przyznał... ja ci je oddam, bo dałem na to moje słowo... ale oddaj mi teraz w zamian za wexel pereł mojej żony!.. słuchaj... ty nie wiesz, co to jest nasza ambicya... nasza duma... powiem ci: nie jestem teraz z żoną moją w zupełnie dobrych stosunkach, i dlatego właśnie umarł-bym ze wstydu, gdyby się dowiedziała, żem naдуżył jęj własności...

— Jesteś pan w niedobrych stosunkach ze swoją żoną? — przerwał Wigder — tém większy dla mnie powód, abym zatrzymał pereł, bo możecie się rozstać, a wtedy pieniądze moje przepadły-by na wieki wieków.

— Oddam ci je, oddam! — powtarzał Stanisław — dostanę zkađkolwiek, sprzedam wszystko, co mam, powozy, konie, meble... tylko dziś... dziś albo jutro, koniecznie muszę mieć rzeczy, należące do mo-

jęj żony!.. oddaj mi je, Wigderze... proszę cię... błagam!..

Wigder zwolnił ręce swoje z dłoni Stanisława, złożył na piersi i, patrząc na niego z szyderskim uśmiechem, rzekł :

— I nie wstyd-że panu, szlachcicowi, właścicielowi dóbr, wywodzącemu rodowód swój od czasu króla Jagiełły, panu, którego dziad był kasztelanem, a matka z domu hrabianka, przed którym mnóstwo ludzi z uszanowaniem zdejmuje czapki, gdy przejeżdżasz, i który mnóstwo ludzi, idących ulicą, obryzgujesz codziennie błotem, przyskajacém z pod kół twego powozu, nie wstyd-że panu zniżać się aż do prośby przed żydem, łapserdakiem, lichwiarzem, którego ojciec zbierał gałgany na śmietnikach i zrobił fundusz, szynkując wódkę po karczmach, a który sam lada chwila może być za lichwiarstwo osadzony w ciupie, jak złooczyńca, i posłany do kopalni złota razem z rozbójnikami... Mówisz pan o dumie, o ambicyi, a gdzież one są w tej chwili, gdy żebrzesz u mnie, abym ci prawie darował pieniądze pożyczone?..

To mówiąc, zaśmiał się głośno z ostrém szyderstwem i niewypowiedzianym tryumfem.

Stanisław obie ręce podniósł do czoła, które pulsowało tak, iż krew zdawała się być blizką wytrysnięcia ze skroni, i jęknął głucho :

— Boże mój! tyle upokorzenia! tyle wstydu! o jakże nisko upadłem!..

W tej chwili otworzyły się drzwi, wsunęła się przez nie głowa Chaity i zagadała coś po żydowsku. Wigder zamyślił się trochę, pogładził brodę i odpowiedział jój parę słów tym samym językiem. Głowa Chaity zniknęła, ale w kilka minut zjawiała się znowu i zagadała. Wigder spojrzał na Klońskiego, który stał ciągle nieporuszony, z rękoma ściskającymi czoło, i rzekł:

— Zapewne pan zechce skryć się, bo muszę w tej chwili przyjąć u siebie pana Słabeckiego, który przyszedł mnie odwiedzić.

Stanisław podniósł głowę i szepnął do siebie:

— Tozio ma przyjść! nie chcę, aby mnie tu widział; mógł-by się wygadać przed innymi!

I głośno dodał, wskazując drzwi sypialni żyda.

— Pozwól-że mi wejść do tamtego pokoju.

Wigder uśmiechnął się i dziwnie odpowiedział:

— Przepraszam pana, ale tam nikt nigdy, prócz mnie, nie wchodzi. Idź pan jednak w ten oto ciemny zupełnie kąt koło pieca i usiądź tymczasem na stołku, a chyba kocie oczy zobaczą tam pana; pan Słabecki pewnie nie zobaczy, bo zbyt będzie zajęty, aby się rozglądał uważnie po mojej izbie.

Stanisław usiadł na wskazaném miejscu, gdzie ogarnął go cień zupełny, a Wigder otworzył szerzej drzwi od sieni i rzekł głośno:

— Panie Słabecki, możesz pan teraz wejść!

Błada, otoczona ryzemi włosami, twarz Tozia

i szczupła postać jego, otulona w wysoko zagiętym futrzanym paletocie, ukazała się w izbie przy słabém świetle łojówki.

— Kochany Wigderze — rzekł, wchodząc, przybываяcy — robisz się wielkim panem, jak uważam, długo każesz oczekiwać odwiedzającym cię na swoje audyencyą. Pięć minut i dwadzieścia trzy sekundy czekałem pod progiem twoim.

Żyd zaśmiał się głośno.

— Siadaj pan — odrzekł krótko, wskazując stołek, na którym przed chwilą siedział Kloński.

Tozio usiadł, zakaszłał i odezwał się:

— Dyabelna dziś pogoda!

— To prawda — odpowiedział Wigder — musisz pan mieć do mnie ważny interes, kiedyś przyszedł w tak dyabelną pogodę.

— Jedynie dla przyjemności oglądania ciebie, drogi Wigderze — żartobliwie zaśmiał się Tozio.

— To szkoda — odparł żyd — bo ja myślałem, że dla skończenia ze mną rachunków.

Tozio nie odpowiedział, bo nagle zerwał się z krzesła i z wyrazem zdziwienia zawołał:

— Ty tutaj, Stasiu!

— Jak widzisz — odrzekł stojący przed nim Stanisław — gawędziliśmy tu z Wigderkiem, gdy przyszedłeś, i pocziwiec ukrył mnie przed tobą w ciemny kąt, ale, na honor, zawstydziłem się mojej pozycyi, bo wydało mi się, że jestem szpiegiem, pod-

stępnie podsłuchującym twoje sprawy. Wylazłem więc z kąta i oto mnie widzisz!

— Co za honorowość! jaka szlachetność! znać zaraz, że dziad pański był kasztelanem! — zawołał żyd i głośno się zaśmiał.

— Więc nietylko u Borela i w szkole Graby kolegujemy z sobą, kochany Stasiu, ale i w tém piekielku miłego Wigdera — rzekł Tozio, potrząsając rękę towarzysza. — Mam jednak honor, dobre serce, i smutno mi, że cię tu widzę.

— A mnie jeszcze smutniej — odparł Stanisław — ale nie przeszkadzam ci, Toziu, i wychodzę.

— Proszę cię, nie rób tego! — zawołał Tozio — nie mam przed tobą sekretów, a weselęj nam będzie wracać razem w tę niegodziwą ciemność i pluchotę.

— Jeśli chcesz, zostanę — rzekł Stanisław, i usiadł.

Wigder patrzył na nich z uśmiechem i gładził brodę.

— Pojmuję — ozwał się po chwili — jak miło być musi dwom takim szlachetnie urodzonym i wysoko w świecie położonym panom spotkać się niespodzianie z sobą w ciemnej i brudnej chałupie żyda. Musicie panowie czuć się teraz więcéj, niż u siebie, a przynajmniej przychodzą wam na myśl wspomnienia wspólnych zabaw...

— Bez których nie bylibyśmy zmuszeni spotkać

się w chałupie żyda — przerwał Tozio — robisz się dowcipnym, stary Wigderze, i poweselałeś na starość; wołał-bym jednak, abyś swoje żarty schował do kieszeni chałata, i nie bryzgał nam niemi w oczy.

— Wolność Tomku w swoim domku — odpowiedział obojętnie żyd — jeśli moja rozmowa nie podobą się panom, możecie do mnie nie przychodzić, a nie będziecie mieli ani moich żartów, ani moich pieniędzy.

— Przystępujemy do interesu — rzekł niecierpliwie Słabecki.

— I owszem — odparł żyd.

— Przyszedłem tu dziś, aby z twoich kochanych łapek wydobyć broszkę i zegarek, które ci oddałem w zastaw przed niespełna rokiem.

— Broszkę i zegarek kuzynek pańskich, panien Jedlińskich?

— Zkąd wiesz, że klejnoty te należą do moich kuzynek.

— Są one zbyt piękne, abym nie wiedział od dawna, kto je posiadał.

— O, żydzie z samego piekła!

— Teraz pan mówisz, że jestem żydem z piekła, a kiedy brałeś ode mnie pieniądze, mówiłeś: — „Wigderze, jesteś prawdziwą moją opatrnością!” — Wszak mówiłeś pan tak, nieprawdaż?

— Z piekła czy z nieba, żydzie utrapiony i ukochany zarazem, oddaj mi broszkę i zegarek moich

kuzynek, ponieważ już wiesz o tém, że do nich to one należą.

— Bardzo chętnie, a przyniosłeś pan wszystkie wzięte na nie pieniądze, z procentami i procentami od procentów?

— Zwaryowałeś, Wigderze! a zkad-bym ci je wziął?

— Więc jakże pan chcesz, abym panu oddał broszkę i zegarek?

— Dam ci w zamian wexel, z doliczonemi z góry procentami.

Wigder zaśmiał się, rzucił spojrzenie na Kłońskiego, który trzymał oczy w ziemię utkwione i odpowiedział:

— Bardzo dziękuję, ale wexlów pańskich nie przyjmę.

— Dlaczego?

— Najprzód dlatego, że jesteś pan niepełnoletni, więc zobowiązania prawne ze strony pana nie mają wartości, chyba uczynione wspólnie z matką, jako pierwszą opiekunką małoletnich, i marszałkiem B., który jest wyznaczonym przez ojca pańskiego opiekunem pańskim...

— Więc wydam ci wexel, potwierdzony przez pana marszałka B.

— A czemuż i nie przez samą panią szambelanową także?...

Tozio przygryzł usta, zakaszłał i milczał długo.

— Bo, widzisz — ozwał się po chwili — gdybym powiedział mej matce, że wziąłem od kuzynek klejnoty i zastawiłem je, siostra moja dowiedziała-by się o tém także...

— A więc i cóż ztąd, jakby się siostra pańska o tém dowiedziała?

Tozio zarumienił się nagle, zawahał, a w końcu wyrzekł:

— Wstydzę się jój!

Stary żyd patrzył nań długo, potem podniósł wzrok na Kłońskiego.

— Cóż tak przypatrujesz się nam, jakbyś nas pierwszy raz widział? — zapytał Tozio.

— Patrzę — odparł żyd — że panowie jesteście do siebie podobni... tylko, że pan masz siostrę, której się wstydzisz, a pan Kłoński żonę. Doprawdy, to zabawne, ha, ha, ha!

Stanisław zrobił gwałtowne poruszenie, ale powściągnął się i siedział znów nieruchomie.

Milczeli wszyscy długo, żółte światło dopalające się łojówki nagłe błyski i cienie rzucało na twarze młodych ludzi, posępne i zarumienione upokorzeniem, i na siwobrodą, siwowłosą, pokrytą aksamitną jarmurką, głowę żyda, patrzącego przed siebie z tryumfującą obojętnością i nucącego sobie pod nosem:

— Bim bum, bim bum bum.

— Czy skończyłeś już swoją piosenkę? — ozwał się niecierpliwie Tozio.

— Nic nie szkodzi; ja mogę sobie śpiewać, a pan mów zawsze — odparł najspokojniej Wigder i kontynuował nucić pod nosem majofis.

— Za trzy miesiące skończę dwudziesty pierwszy rok, to jest zostanę pełnoletnim, i będę miał prawo rozporządzać moim majątkiem.

— Więc cóż ztąd? — zapytał żyd, przerywając sobie nucenie.

— Więc za trzy miesiące, zaraz nazajutrz po dojściu do pełnoletności, wydam ci wexel najprawniejszy; tymczasem dam ci kartę, podpisaną przez pana marszałka B., jako opiekuna i świadka, a ty mi oddaj broszkę i zegarek panien Jedlińskich.

Żyd pomyślał.

— Hm — rzekł — przez trzy miesiące wiele jeszcze wody upłynie, przez trzy miesiące matka pańska straci jeszcze wiele pieniędzy na bale i gałganki, a pan nie mniej ich przegrasz u Borela i u pana Graby, może się więc stać, że za trzy miesiące kartka pańska nie zmieści się już na pańskiej hipotece.

— To niepodobna! — zawołał Tozio.

— Zkąd pan wiesz, czy podobna, czy niepodobna, kiedyś nigdy nie obliczał swego funduszu; ja to wiem, bom go dobrze obliczył.

— Więc omyliłeś się w rachunku. Pomyśl; dam

ci kartkę na sumę dwa razy większą, niż ta, którą wzięłem.

— Lepszy wróbel w rękę, niż orzeł na lęku — odparł żyd, włożywszy ręce do kieszeni, i zanucił znów półgłosem:

— Bim bum, bim bum bum.

W tej chwili izba napełniła się swędem dopalającego się knota, pod stołem załopotwały szczury, a z-pieca z miauczeniem wylazł kot i pogonił za szczurami.

— Toziu — zawołał Stanisław, zrywając się — idźmy ztąd — duszno mi; skonam, jeśli natychmiast nie wyjdę!

— Idźmy — odparł, wstając, Tozio — nie bierz bo tak tego wszystkiego do serca, Stachu — dodał, kładąc rękę na ramieniu towarzysza ze szczerem współczuciem.

I oba zmierzali do drzwi.

— I cóż? nie pożegnacie się nawet, panowie, z pocziwym Wigderem? — spytał, powstając, żyd.

— Bogdajbyś nigdy z piekła nie wylazł! — zawołał, nie odwracając się, Kloński.

— Czy tak, jak pan nigdy z długów nie wyleziesz? — odpowiedział Wigder — dobre życzenia! bardzo dziękuję panu.

I powiedziawszy jeszcze za młodymi ludźmi szerskie:

— Do nóg upadam jaśnie wielmożnym panom! zamknął drzwi za odchodzącymi.

Kilka sekund jeszcze słyhać było kroki dwóch mężczyzn, stających po pluskającej pod ich nogami wodzie, i wszystko umilkło.

Wigder stał na środku swój izby i śmiał się cichym gardłowym śmiechem, potem wyciągnął rękę w kierunku drzwi i rzekł głośno:

— Dzieci słabe, ochrzczone wodą, ale nie ochrzczone rozumem! panowie, których przodkowie byli wielkimi ludźmi! grunt drży pod wami, przez was samych podkopany, jak niegdyś Jerozolima na odgłos trąby rozniewanego Boga! A my, gałganiarze, szynkarze, potomki palonych na stosach czarowników, my, których lokaje wasi czują się w prawie łokciami potrącać i jak proch za drzwi wyrzucać, my podnosimy się na ruinach waszych, spychamy was z łanów waszych pradziadów i plujem na was obelgą ust niechrzczonych! Ha, ha, ha, panowie! bawcie się tak dalej i coraz więcej, a dzieci gałganiarzy będą panami, a synowie panów gałganiarzami zostaną! ha, ha, ha!

Jakby odpowiadając na zjadliwy uśmiech żyda, wiatr świsnął przeraźliwie wkoło domu i załomotał okiennicami, w izbie łojówka zagasła całkiem i kot z łoskotem pogonił za szczurami pod stołem.

* * *

Kłoński i Tozio, wracając od Wigdera, szli ciemnymi ulicami w milczeniu, głowy ich musiały być tak pełne myśli, a piersi może wzburzonych uczuć, że słowa nie przychodziły im nawet na usta. Dopiero, gdy weszli na Złotą ulicę, Tozio odezwał się pierwszy:

— Dokąd pójdziemy?

— Idę do domu — odparł Kłoński.

— Pójdź lepiej do Borela; rozerwiesz się.

— Nie mogę, głowa mnie strasznie boli — porywczo odrzekł Stanisław.

W tej chwili znajdowali się pod światłem zapalanej latarni, stanęli i spojrzeli na siebie po raz pierwszy od wyjścia z mieszkania żyda.

— Strasznieś blady, Toziu, — rzekł z wolna Kłoński.

— A ty masz usta spalone i twarz taką, jakbyś był w gorączce.

— Czy twoje interesa źle idą?

— Bardzo niedobrze! a twoje?

— Najgorzej.

— Powiedz mi, Stachu, gdzie oba zajdziemy?

— Ja już u kresu zupełnej ruiny majątku,

— A ja blizki łona Abrahamowego.

Umilkli i poszli dalej.

— Jak myślisz? czyby nie lepiej było, abyśmy oba wyjechali na wieś? — zagadał Tozio po minucie milczenia.

— Ja nie będę miał wkrótce dokąd wyjechać, bo majątek za długi sprzedadzą.

— A wieś żony?

Stanisław wzdrygnął się.

— Czy przypuszczasz, że siadę u niej na fartuszu? — odparł.

Właśnie kończył te słowa, gdy szerokie okna cukierni Borela zlały na ich głowy strumienie gazowego światła.

— Dobranoc — rzekł Tozio, wyciągając rękę.

— Dobranoc — odrzekł Stanisław, podając mu swoje.

Nie odchodzili jednak i stali, patrząc na siebie.

— Nie powiesz o niczym nikomu? — zapytał Kłoński.

— Z pewnością, Stachu. Tyś w gruncie najpocziwszy z nas wszystkich.

— A ty najmłodszy — dodał miękkiem głosem Stanisław, ściskając mu silnie rękę.

— Stachu, uciekajmy z M.!

— Uciekaj! dla ciebie niewszystko jeszcze stracone.

— A ty?

Stanisław zaśmiał się dziwnie i szybko odszedł. Tozio z wolna wstępował na wschody Borela, nagle zwrócił się i poszedł także w kierunku swego mieszkania.

Na odgłos gwałtownie pociągniętego dzwonka, lo-

kaj państwa Kłońskich zerwał się na równe nogi z sofy, na której leżąc, palił cygaro, i szybko drzwi otworzył.

Na widok swego pana, wchodzącego w zmoczoném od deszczu ubraniu, cofnął się parę kroków ze zdziwienia.

Stanisław w istocie strasznie wyglądał. Usta miał spieczone, czoło pomarszczone i krwią nabiegłe, w oczach blask gorączkowy, a całe ciało jego wstrząsane było od chwili do chwili febrycznym dreszczem.

— Gdzie jest pani? — zapytał służącego.

— Wróciła przed chwilą od panien Jedlińskich, i zdaje mi się, że gra teraz w błękitnym salonie.

W istocie z oddalonego salonu dochodziły do przedpokoju słabe dźwięki fortepianu.

Stanisław szybko przeszedł salę jadalną, jeszcze jeden salon, pogrążony w ciemności, i zatrzymał się.

W niezbyt wielkim pokoju, którego ściany powleczone były błękitnem obiciem, siedziała przy fortepianie Celina.

Jedna tylko świeca, stojąca w głębi, słabo oświećlała postać jęj, w długiej ciemnej sukni, i złotowłosą pochyloną głowę. Siedziała naprzeciw drzwi, przed którymi stanął Stanisław, i ukazywała się jemu, jak blady obraz, objęty niby ramą, spuszczałą się z dwóch stron drzwi błękitną portyerą.

Cicho i z wolna grała jakąś smętną melodyą; tony, płynące z pod jęj palców, wyraźne były, dźwięczne,

jękliwe; z każdego z nich zdawała się płynąć skarga bezmierna smutnego serca, westchnienie piersi, zmęczonéj długą boleścią.

Stanisław stał nieruchomy, patrzył i słuchał; muzyka Celiny owiewała go drgającymi w powietrzu głosami żalów, westchnień i niby tłumionego płaczu.

Podniósł rękę do czoła i szepnął:

— Te tony swéj muzyki, te tony swego serca posyła ona zapewne ku niemu.

I ciche, bo stłumione, ale straszne westchnienie pierś mu rozdarło.

Celina uderzyła głosińej kilka akordów, które po chwili rozszalały pod jéj ręką śpieszną, gwałtowną, rozpaczliwą nutą.

— Jak ona cierpi! — znów rzekł do siebie Kloński — a to wszystko dla niego!

I palce jego rozpacznie zacisnęły się na piersi.

Celina grać przestała, opuściła ręce na kolana, głowę na piersi i przeciągle westchnęła.

Westchnieniu temu odpowiedział krótki, głuchy jęk w przyległym salonie i w drzwiach stanął Stanisław.

Celina powstała i postąpiła ku niemu, nie z tą dawną dziecinną żywością i swobodném szczebiotaniem, ale z wolną, jakby nieśmiało.

Pierwszy raz od kilku miesięcy, mąż jéj, wracając wieczorem z miasta, wchodził do jéj pokojów, zamiast zamknąć się, jak zwykle, w swoim gabinecie.

— Dobry wieczór, Stasiu — rzekła z cicha, podając mu rękę.

Stanisław dotknął jéj lekko, ale nie nie powiedział.

Młoda kobieta wpatrzyła się w niego smutno, uważnie.

— Może jesteś chory? — zapytała. — Tak dziwnie wyglądasz!

— Nie — odrzekł mąż i rzucił się na fotel.

Celina stała przed nim; jedną ręką opierając się o stół, patrzyła na niego i oddychała z ciężkością.

— Celino — ozwał się po chwili Stanisław — mam ci coś powiedzieć.

— Słucham cię, Stasiu.

— Słucham? tém lepiej, bo będę mówił wiele, o wiele mam do powiedzenia...

Mowa jego zaczęła być prędką i gorączkową, głos drżał; pociągnął drżącą ręką po czole i mówił znów:

— Widziałem, jak dziś Ordynat pędził za tobą swoim *tilbury*... gdyś jechała do kuchni... kłaniał ci się, a pięknie się kłania... nie prawdaż? zachwycający z niego młodzieniec... wychowany w Anglii... ha, ha, ha!...

— Stasiu — przerwała Celina — nie rozumiem...

— Nie przerywaj... nie o tém chciałem mówić, bo i cóż mnie może obchodzić Ordynat? nie prawdaż? Miałaś piękne bardzo perły... prawdziwe uryańskie...

żydzi znają się na perłach... Czy znajdujesz Ordynata bardzo przyjemnym człowiekiem? mojem zdaniem, ma oczy za blade, bez wyrazu... ha, ha, ha! malowana lalka!...

— Stasiu! tyś w gorączce! — jęknęła Celina z największym niepokojem.

W istocie mowa Klońskiego stawiała się coraz niezrozumialszą i oczy robiły się nieprzytomnymi.

— W gorączce? — krzyknął nagle, i zerwał się z krzesła — kto mówi o gorączce? niegodziwość, to co innego... ja jestem niegodziwy... starego mego ojca wypędzę z domu... twoje klejnoty... zobacz w biurku...

Umilkł i stał przez chwilę, chwiejąc się i błędnymi oczyma wpatrując się w przestrzeń, jakby tam kogoś widział.

— Stracić Celinę! — krzyknął nagle — malowana lalko! nie zabieraj mi jój, bo cię zastrzelę... Boże mój! głowa mi pęknie!

Schwycił się obu rękoma za głowę i bez przytomności upadł na dywan u stóp żony.

Celina krzyknęła strasznie, poskoczyła i kilka razy targnęła taśmę od dzwonka tak silnie, że bronzowa klamra oderwała się i została w konwulsyjnie zaciśniętej ręce.

Na tak gwałtowne dzwonienie, trzech lokajów i dwie panny służące ukazały się w różnych drzwiach salonu.

— Doktora! doktora! — wołała Celina głosem,

który chrypiał jój w gardle, i klęcząc nad mężem, odgarniała mu włosy z czoła, całowała jego sine i zamknięte oczy.

W pięć minut potem, z bramy domu z grzmiącym łoskotem wypadł kocz, porywany rączemi, a chłostanemi przez stangreta, końmi, i zmierzał ku mieszkaniu jednego z doktorów, tak szybko pędząc, że konie okrywały się pianą, a rzadcy przechodnie z przestraszeniem rzucali się na chodniki.

A w kwadrans niespełna, nad złożonym na łóżku Stanisławem stał doktor, jedną ręką trzymając puls jego, drugą zegarek, na który patrzył z uwagą.

Pokój chorego słabo był oświetlony lampką, pokrytą zieloną umbrą; za doktorem schyliła się nad łóżkiem Celina, blada śmiertelnie i cała drżąca, mimo ciepłego szalu, którym okrywała ją troskliwie Komorowska; przy drzwiach stał kamerdyner, pocziwym, smutnym wzrokiem patrząc na posępną grupę i oczekując rozkazów.

Doktor wypuścił z palców rękę chorego, schował zegarek i w głębokiém zamyśleniu przypatrywał się zmienionej twarzy Stanisława. Celina wpijała się w niego wzrokiem suchym, bez łez, ale takim rozpacznym, tak przerażonym, że go aż uczuł na sobie medyk.

— Uspokój się pani. Jest to wprawdzie silna gorączka nerwowa, do której organizm oddawna się snadź przysposabiał, ale zrobimy wszystko, co będzie

można, aby uratować męża pani, a zbyt ni niepokój mógł-by na panią samę bardzo zgubnie oddziaływać.

Mówiąc to, objął młodą kobietę pełnym współczucia wzrokiem. Nie należał on do pięknego i bawiącego się towarzystwa w M., bo był człowiekiem nauki i pracy, ale widywał niekiedy panią Klońską i do ucha jego doszły krążące o niej wieści. Widząc więc jej wielką miłość dla męża, która objawiała się w niemiej, wstrząsającą ją całą rozpacz, spojrział na nią z sympatją i miał taki wyraz twarzy, jakby myślał sobie: — „Oh sądy ludzkie!”

W pół godziny potem, Komorowska przeprowadzała go do przedpokoju.

— Widzę — rzekł do niej z cicha — że jesteś pani więcej przyjaciółką, niż służką pani Klońskiej. Otóż przygotuj ją z wolna i ostrożnie do wszelkiego, choćby najniezwyklejszego, wypadku. Choroba pana Klońskiego gwałtowna jest i niebezpieczna. Na jutro będę prosił o zrobienie konsylium, bo chcę naradzić się z kolegami.

Przez całą noc Celina siedziała przy łóżku męża, nie spuszczać wzroku z jego twarzy, chyba dla spojrzenia na zegarek i podania mu lekarstwa. Stanisław był zupełnie nieprzytomny. Bezładne, oderwane słowa wychodziły z ust jego, z piersi wyrwały się ciężkie westnienia i jęki. Błyszczące gorączką i obłąkane oczy trzymał utkwione w przestrzeń, albo zamykał je i przesuwiał drżącą ręką po

rozpaloném czole. Wyrazy: Ordynat, perły, ojciec, którego z domu jego wypędzą, Celina i inne jeszcze nazwiska i oderwane wykrzyki, plątały mu się na ustach, ale wsłuchująca się w nie Celina nie mogła żadnego pochwycić w nich wątku.

W całym domu nikt nie spał, niemniej jednak cisza panowała zupełna, panował też tam między wszystkimi domownikami przestrasz i żal. Nawet stróż, śpiący zwykle u bramy, wszedł na górę do przedpokoju i zasiadł z lokajami. Siedzieli wszyscy około zapalonych świecy i, cicho gwarząc, powtarzali między sobą:

— Szkoda pana!

W garderobie służebne kobiety rzewnymi łzami płakały.

Stanisław był kochany przez swych służących. Grzeczny i hojny, słynął między całą służebną klasą w M. jako dobry pan.

Godzinę czwartą wygłosił zegar wśród ponurego milczenia salonów. Drzwi od przedpokoju chorego uchyliły się cicho, i wsunęła się przez nie na palcach Komorowska. Ukłękła przed Celiną i, składając ręce, błagalnie mówiła:

— Pani moja najdroższa, dziecko moje, idź spocząć trochę! zachorujesz sama, a pamiętaj, że teraz nie tylko dla siebie, ale i dla męża żyć powinnaś!

Długo w ten sposób szeptała stara służka, łzy ciężkie jej po policzkach, a Celina, wpatrzona w męża,

wsluchana w jego bezładne gorączkowe mówienie, wcale nie zdawała się jęj słyszeć.

— Pani! Celinko! — powtarzała, obejmując ją Komorowska — wszak wkrótce będziesz matką! dla miłości twego dziecka uspokój się! idź spocząć!

Celina drgnęła na te słowa i podniosła rękę do czoła, jakby sobie coś przypomniała. Powstała z wolna, długi pocałunek złożyła na gorącym czole Stanisława i szepnąwszy:

— Zostań tu, Komorosiu — odeszła.

Do bogato i gustownie urządzonej jęj sypialni świt wdzierał się już przez ciężkie zielone u okien firanki.

Obszerne rzeźbione łóżko, zasłane batystową bielizną, głębokie fotele, utrechtским obite aksamitem, kobierce o żywych barwach i złożone ramy obrazów, wiszących po ścianach, wydobywały się napół z cieniów, owiane posępną ciszą ustępującej nocy.

Celina, jak cień, powolna i cicha, weszła do swęj sypialni, ale nie zmierzyła ku żadnemu z wygodnych sprzętów, które zdawały się zapraszać do spoczynku zmęczoną i chwiejącą się kobietę.

Upadła ona na kolana przed świętym ułoża swego obrazem, i załamując ręce, z łkaniem zawołała:

— Boże wszechmogący! za *jego* życie weź życie moje i mojego dziecka!

Widmo nieszczęścia, które gospodarowało w jęj bogatém mieszkaniu i dotąd chwytalo ją to za gardło, to za serce, pochwytiło ją już całą w kościaste ramiona i dusiło swém twardém, nieubłaganém objęciem.

VII.

W przedobiednięj porze, pani Kamilla Grabina, przyjąwszy kilka wizyt kobiecych i kilkanaście męskich, siedziała sama jedna w bawialnym salonie, gdy zjawił się przed nią pan Ignacy Jodek, który miał zwyczaj wchodzić niekiedy do znajomych sobie domów bez anonsowania się, mianowicie jeśli przychodził w godzinach obiadowych, śniadaniowych i t. p.

Młoda kobieta powitała go grzecznym, ale zimnym ukłonem, jak to zresztą miała zwyczaj czynić względem wszystkich; nikogo nigdy nie witała inaczej.

— Czy wiesz pani o wielkiej nowinie? — zapytał gość, siadając.

— O jakiej-że?

— Ten poczciwy Staś Kloński śmiertelnie zachorował.

— Doprawdy? to szkoda!

— Ogromnie! mianowicie wiedząc przyczynę jego choroby!

Kamilla milczała.

Gość, widząc, że nie obudził ciekawości, sam zaczął mówić dalej:

— Wyobraź sobie pani, powiadają, że pan Kloński pochwycił wczoraj żonę na tajemném *rendez-vous* z Ordynatem, czém się tak zmartwił, że natychmiast dostał nerwowęj gorączki...

— To być nie może! — przerwała Kamilla.

— Dlaczego być nie może? — oburzył się Jodek.

— Nie znam wcale pani Klońskiej, kilka razy tylko widziałam ją w kościele, ale znajduję, że nie wygląda na płochą kobietę...

— Ho, ho, ho! co to wszystko znaczy, pani dobrodziejko! — zawołał gość i zadeklamował: — „Serce nie sługa, nie zna co to pany!”

— Zkąd-że w panu ta pewność?

— Sam na własne oczy widziałem, jak pani Klońska jechała wczoraj karetą, a za nią pędził Ordynat w *tillbury*.

— Mogło to być wypadkiem.

— Ale gdzie tam wypadkiem! Pani Klońska wyglądała ciągle przez szyby karety i patrzyła, czy za nią jedzie Ordynat, a gdy go już zobaczyła, uśmiechnęła się i dała mu jakiś tajemniczy znak ręką. Biedny Stasisko musiał gdzieś być na ulicy i widzieć to, poczem pewnie śledził ich i znalazł na kompromitującej schadzce.

— I pan to wszystko sam widziałeś?

— Daję na to słowo uczciwego człowieka, że widziałem na własne oczy, i więcej jeszcze widziałem: oto, że Staś chodził wczoraj na Nadrzeczną ulicę. A pocóż-by tam chodził, jeśli nie dla śledzenia tych państwa, którzy właśnie jechali w kierunku Nadrzecznęj ulicy?

Kamilla wzruszyła ramionami i umilkła.

Jodek począł prawie o różnych innych nowinkach miejskich, od czasu do czasu spoglądając na zegar, czy nie nadchodzi godzina siódma, to jest zwykła pora obiadowania państwa Grabów. Kamilla słuchała go z założonemi na sukni rękoma, jak zwykle spokojna, patrząc gdzieś w przestrzeń, zda się oderwana od wszystkiego, co się wkoło niéj działo.

— Będziemy mieli nową rodzinę zamieszkującą w M. — paplała papuga w ludzkiej postaci. — Przyjechała przed trzema dniami marszałkowa X. z dwoma synami i ma mieszkać tu aż do lata, to jest trzy, a może i cztery miesiące. Jest to bogata wdowa; ma tu różne sprawy majątkowe, procesa i t. p., a może téż chce trochę świata pokazać synalkom. Jeden z nich ma lat ośmnaście, śliczny brunecik; drugi kończy dwudziesty rok, wysoki blondyn. Młodszy ma imię Edzio, Edmundek, starszy Oleś. Zabawna to familia, słowo uczciwego człowieka! Synowie już pod wąsem, a trzymają się fartuszka mamy, jak dzieciaki; nie stąpią bez niéj ani kroku. Mąż pani zapoznał się z nimi, nie wiem już jakim wypadkiem,

i był u nich właśnie wtedy, gdy i ja byłem. Słyszałem, jak zapraszał ich do siebie, a oni odpowiedzieli, spuszczając oczy, niby panienki: — „Jak mama będzie u pana, to i my będziemy.” — Nie prawdaż, pani, że to śmieszne, a przytém i dziwne, bo majątkowo te chłopcy bynajmniej od matki nie zależą: posiadają znaczny fundusz po ojcu.

Kamilla z wolna zwróciła wzrok na opowiadającego i rzekła:

— Więc mąż mój był już u panów X.?

— Był, pani.

— I zaprosił ich do siebie?

— O, i nadzwyczaj uprzejmie! tak, jak on umie; a bezkomplementu, nikt nie ma tak ujmującej, zachwycającej grzeczności, jak pan Graba.

Pytania Kamilli były na pozór obojętne, jednak w oczach jéj zagorzał przy nich pośpyny blask.

Nadszedł Kalixt Graba.

— Oho! — zawołał, wchodząc — pan Jodek sam na sam z moją żoną? Proszę! Obawiam się, abym nie dostał gorączki nerwowej z zazdrości, jak ten biedak Kloński!

Jodek rozśmiał się na całe gardło z konceptu.

Kamilla została nieruchoma i milcząca, jak wprzódy.

Graba począł rozmawiać z Jodkiem i żartować; wydawał się w doskonałym humorze.

Tymczasem zegar wskazywał siódmą godzinę.

— Obiadujesz z nami, Jodek? — zapytał gospodarz domu.

— Jeśli zaprosisz — odrzekł gość, którego twarz rozpromieniała.

Graba zadzwonił.

— Trzy nakrycia! — rzekł do wchodzącego lokaja. Niebawem zasiedli wszyscy do stołu.

Dwaj mężczyźni żywą wiedli rozmowę.

Kamilla milczała, jak zwykle w towarzystwie męża.

— Przedstaw sobie, Kamillo — ozwał się Graba, polykając łyżkę zupy i niosąc w dwóch palcach do ust pasztecik — co też za dziwne i sprzeczne rzeczy opowiadają o chorobie Klońskiego i jój powodach.

— Cóż takiego? — obojętnie zapytała Kamilla.

— Jedni mówią — kończył Graba, po ukąszeniu pasztecika — że zachorował przez zazdrość i obrażony honor, zdybawszy żonę na tajemnej schadzce z Ordynatem, a inni, że znajduje się blizkim śmierci z miłości dla ciebie, moja najdroższa żono!

Kamilla zbladła.

— To potwarz! — zawołała.

— O, nie alteruj się tylko, kochana żono! — odparł Graba — niema przecież w tej pogłosce nic tak złego! wolno przecież kochać się każdemu, w kim chce; a był wypadek, że kominiarz zakochał się w królowej angielskiej.

To rzekłszy, otarł usta serwetą i skinął na lokaja, aby mu podał półmisek z pasztecikami.

— Nie chciała-bym, aby pani Klońska dowiedziała się o tej niedorzecznej i bezzasadnej pogłosce — rzekła Kamilla.

— Już o niej wie, niestety! — odparł Graba. — Zakomunikowała ją dziś z rana pani Celinie jedna z najlepszych jój przyjaciółek, a doktor R., który leczy Stanisława, mówił panu D., swemu najlepszemu przyjacielowi, z wielkiem naturalnie spółczuciem i uwielbieniem, że pani Klońska pytała go, czy chory nie doświadczy zbawiennego wstrząśnienia, jeśli ujrzy bardzo drogą osobę. Doktor powiedział, jako praktykowane jest w medycynie przywozić do łóża chorych bardzo drogie osoby, aby przez to wywrzść na ich organizm wpływ zbawienny. Co usłyszawszy, pani Celina długo milczała, i nakoniec zapytała doktora, czy zna ciebie, kochana żono? Z tego wszystkiego doktor wniósł, że ty jesteś ową drogą sercu Stanisława osobą, o której myślała pani Klońska. Pan D., któremu medyk wszystko opowiedział, nie słynie z małomowności, i ogłosił rzecz całą przez Kuryera Codziennego, bo wygadał się przed Jodkiem.

Jodek zdetonował się niesłychanie; spojrzął z obawą na Kamillę i wyjąkał:

— O niczem nie wiem, słowo uczciwego człowieka; piérwszy raz słyszę tę całą historiją!

Ale Kamilla nie zwracała na niego uwagi. Twarz

jój straciła na chwilę zwykłą swą nieruchomość; pannaował na nią żal i oburzenie.

— I ty pozwalasz na to, Kalixcie — rzekła — aby rozsiewano plotki, mogące zatruć resztę spokoju i tak nieszczęśliwej kobiety, i posługiwano się do tego moim imieniem?!

— Ha, ha, ha, ha! — zaśmiał się Graba — dziwnie exaltowana jesteś, moja żono, co ci już nieraz nadaremnie powtarzam. Bądź pewna, że plotki te nie czynią wcale pani Klońskiej tak nieszczęśliwą, jak sobie wyobrażasz. Zakochana jest ona w Ordynacie, i niewiele pewno dba o miłość swego męża, którego można zwać Stanislas le Débonnaire.

Kamilla nie odpowiedziała i wróciła do zwykłej sobie nieruchomości; tylko kiedy-niekiedy po czole jej przesunęła się fala krwi, pokrywając je rumieńcem.

Znać było, że wrzała wewnątrz, a tylko mocą woli i postanowienia zachowywała raz na zawsze zimną, aż do martwoty, powierzchowność.

Obiad się skończył, towarzystwo przeszło do salonu. Przy czarnej kawie, Jodek pokazywał gospodarstwu domu, w którym obiadował, *sztukę*, zasadzając się na tém, że stawił krzesło jedną tylko nogą, oparte o posadzkę, a z trzema innymi w powietrzu, i utrzymywał je tak w równowadze przez całe trzy minuty. Przyczém, wyłamywał pociesznie swoje krępa figurę i wyrabiał twarzą wielce komiczne miny. Graba śmiał się ze sztuki i sztukmistrza.

Kamilla patrzyła na wszystko i ani się uśmiechnęła, ani też dała poznać czémkolwiek, czy to ją bawi, lub nudzi.

Po kawie i sztuce Graba spojrzął na zegar.

— Czy wiesz, kochany Ignacy — rzekł do gościa — że nigdzie tak wybornej herbaty nie piją, jak u państwa D.; podają nawet do niej różne zakąski.

— To prawda — zawołał Jodek z pełnym admiracyi twierdzeniem.

— Państwo D. mają zwyczaj pić herbatę o godzinie ósmej — ciągnął gospodarz domu — a teraz jest już trzy kwadranse na ósmą.

— To prawda — odparł Jodek, nie ruszając się jednak z miejsca.

Parę minut mówili o czém inném.

— Wiesz co, Jodek — ozwał się nakoniec Graba — zrobił-byś mi wielką przyjemność, gdybyś już na teraz opuścił nasze towarzystwo i poszedł na doskonałą herbatę państwa D., bo mam do pomówienia z moją żoną w cztery oczy o rzeczach domowych, a o dziewiętej muszę wyjść z domu.

— A, to nie przeszkadza, nie przeszkadza — rzekł Jodek, i z pośpiechem pochwywszy czapkę pożegnawszy się, opuścił salon.

Pozostałe małżeństwo siedziało czas jakiś w milczeniu. Graba siedział naprzeciw żony w fotelu, palił cygaro i trzymał wzrok swój przywiązany do jej

twarży. Kamilla miała oczy spuszczone, ale przykro snadź odczuwała uporczywe i przenikająco utkwione w nią spojrzenie męża, bo mieniła się chwilami i ręce jej, złożone na sukni, drgały niekiedy. Nagle, jakby nie mogąc dłużej znieść tego położenia, w jakim została, podniosła głowę i rzekła:

— Czego chcesz ode mnie, Kalixcie?

— Miłości twojej, najdroższa żono! — patetycznie zawołał Graba, wyciągając ku niej ręce.

Kamilla zadrżała.

— Kalixcie — ozwała się cicho — dlaczego profanujesz ten święty wyraz?

Graba rozśmiał się przeciągle, ale przy tym śmiechu twarz jego drgała nerwowo.

— Dlaczego ty sama nie znasz go? — zawołał. — Kobieto z kamienia czy z marmuru, piękna jak posąg i zimna jak posąg! nie ożyją-ż w tobie te uczucia, których pełne są twoje czarne oczy, a których piersi twoja nigdy nie doświadcza?

— Dzięki tobie, nie ożyją nigdy — odrzekła z wolna Kamilla.

Kalixt zerwał się z fotelu i stanął przed żoną.

— Kamillo! — rzekł porywczo stłumionym głosem — ja chcę, aby uczucia twoje ożyły dla mnie, dla mnie jednego, rozumiesz?... Nigdy żadna kobieta takiego, jak ty, wpływu nie wywierała na mnie... Oczy twoje mnie palą... ta kibić twoja, w którą wkładasz, nie wiem już jakie, uroki dumnej wyniosłości,

pociąga mnie ku tobie rozpaloną nicią magnesu... Kiedy posagowo martwa i blade tą swoją gorącą bladeścią, przez którą ognie zdają się tryskać, przechodzisz z wolna obok mnie wśród ludzi zebranych... czuję na twarzy mojej powiew twój sukni, jak Włoch technienie lecącego od zwrotnika *scirocco*... ręce mi drżą... karty wypadają z palców i pragnę porwać cię w objęcia i pocałunkami okryć... A ty co mi dajesz za tę namiętność, którą ciebie otaczam? Czy kiedykolwiek oddałaś mi uścisk za uścisk? czy z marmuru utoczone czoło twoje zarumieniło się kiedy pod memi ustami? Nie, nie! Ty, jak lód, bywasz w ramionach moich rzeczą, nie istotą czującą... bledniesz ze wstępu, zamiast rumienić się miłością... usuwasz się ode mnie, ilekroć możesz, aby nawet suknia twoja mnie nie dotknęła... Cha, cha, cha! pomyśl, wszak mi zaprzysięgłaś miłość... toż jesteś pobożna, a łamiesz przysięgę... ale ja chcę, abyś mi jej dotrzymała; czy słyszysz?

Przestał mówić i stał przed nią, a twarz jego drgała szyderstwem i namiętnością na przemian. W początku mowy jego Kamilla bardzo zbladła, ale prędko wróciła do swego zwyczajnego martwego spokoju. Gdy umilkł, ozwała się powoli, podnosząc na niego chłodny, przeszywający wzrok:

— Patos miłym i zajmującym bywa w teatrze, ale w pogadance małżeńskiej jest śmiesznym i przeszkadza dokładnemu porozumieniu się.

— Kamillo! — krzyknął Graba i bliżej jeszcze przystąpił — ty naigrawasz się ze mnie!...

— Powtarzam tylko własne twoje słowa, które powiedziałeś do mnie w owęj, tak pełnej miłości twój dla mnie, naszej rozmowie poślubnej — spokojnie powiedziała kobieta.

— Tak, do obojętności przybywa ci od pewnego czasu szyderstwo; zkad ty go nabrałaś, ty, coś była niedawno naiwną dziewczicą?

— Tobie je zawdzięczam — odparła Kamilla.

— Ha! pojętna jesteś bardzo! Ale szydź, szydź sobie co najwięcej; to cię jeszcze piękniejszą czyni, lecz kochaj mnie; a jeśli kochać nie możesz... udawaj... zmuszaj siebie... niech życie twoje będzie sztucznym w tobie, ale niech ono będzie... niechaj choć raz ożywie cię, jak niegdyś Pigmalion swoją Galatęę, z greckiego zrobioną marmuru! I cóż ty, Galateo moja, czy wysłuchasz kiedykolwiek błagań, które do ciebie zanosí twój Pigmalion? Cha, cha, cha!

Twarz Graby okropną była pod wpływem szczególnego połączenia namiętności z szyderstwem. Kamilla spokojnie wzięła album ze stołu i, przerzucając jego kartki, rzekła:

— Przestań mówić w ten sposób, Kalixcie, bo stajesz mi się jeszcze wstrętniejszym.

— Kobieto! — krzyknął Graba — nie igraj ze mną! bo...

Pochwycił jęć rękę i ścisnął tak silnie, że palce

jęć kwią nabiegły. Ból fizyczny ściągnął lekko brwi Kamilli; nie starała się jednak wydobyć swęć rękę z żelaznego ujęćia męza, a patrząc na niego z ciągłym spokojem, spytała:

— Bo co?

— Spuść te zuchwałe twoje oczy, któremi tak wyzywająco na mnie patrzysz, bo skruszę ci palce! — wołał Graba przez zaciśnięte zęby.

Kamilla nie spuściła wzroku, uśmiechnęła się i odrzekła:

— Skruszyłeś mi już serce, a cóż wobec tego znaczy ręka?

Pokonany przenikającym jęć wejrzeniem i lodowém spojrzeniem, Graba wypuścił jęć rękę i upadł na fotel. Twarz jego wrząca była nerwowemi drganiem, ręce zaciskały się gwałtownie około poręczy fotelu. Kamilla przeglądała album.

Milczenie trwało kilka minut, przerywane tylko ciężkim oddechem Graby i szelestem kartek, które przerzucała jego żona.

— Czy nasyciłaś się już widokiem okolic Nadreńskich? — zapytał spokojniej już Graba, gdy Kamilla zamknęła album i kładła je na stole.

— Zawsze z przyjemnością je oglądam — odrzekła — i przyznaję ci dobry gust w ich wyborze.

— Dziękuję; dobrze jest wszakże, iż na ten raz odwróciłaś już od nich swoją uwagę, bo muszę z tobą pomówić.

— Zdaje mi się, żeśmy już dosyć mówili z sobą — obojętnie odparła Kamilla, z uwagą nakładając sznurówkę na lampę zasłonę.

— O, ja-bym z tobą rozmawiać pragnął „do końca świata i po końcu świata”, jak mówi poeta, ale nie o to idzie. Przed chwilą mówiliśmy o rzeczach, dotyczących się dziedziny sentymentów, w których się nie schodzimy; teraz mamy wejść na twardy grunt interesów, na którym zejść się *musimy*. Czy pozwalasz mi mówić, kochana żono?

— Jak chcesz — odparła Kamilla spokojnie, składając ręce na sukni.

— Zaczynam więc, a nie będę zbyt rozwlekły. Oto do M. przyjechała przedwczoraj pani marszałkowa z dwoma synami. Jest to matrona wielkiej powagi, wielkiego znaczenia, wielkiego majątku, jedném słowem wielka pani, która pierwsza nie złoży ci wizyty. Otóż chcę, abyś jutro była u niej.

— Czy dlatego, aby tym sposobem sprowadzić do twego domu ję synów, którzy bez niej bywać u ciebie nie chcą? — spytała Kamilla.

— Posiadasz szczególny dar przenikliwości, kochana żono. W istocie odgadłaś myśl moją. Bo też, wystaw sobie, młokosy te są tak śmieszne, że z największą trudnością decydują się zrobić krok jeden bez matki. Skromne to, jak panienki, mimo tego, w oczach młodszego szczególnie, bruneta, grają pewne ogniki... Słowem, chcę koniecznie, aby u mnie

bywali; a ponieważ *il n'y a que le premier pas qui coûte*, gdy będą raz z matką, przyjdą potem i sami.

— Czy dlatego chcesz przyciągnąć do siebie tych ludzi, aby ich ograć? — spytała Kamilla, nie spuszczaając z twarzy męża oczu, pełnych obojętnej wzgardy.

— Stajesz się jasnovidzącą — zawołał z nerwowym śmiechem Graba. — Nie przypuszczałem, abyś już tak głęboko zajrzała we mnie i w moje życie.

— Dzięki tobie, nauczyłam się zaglądać w serce i życie ludzkie — odparła Kamilla.

— Jest to jeszcze jeden więcej dług wdzięczności, który zaciągnęłaś względem mnie. Cóż, o której godzinie będziesz u pani X.?

— Nie będę tam wcale — rzekła stanowczo Kamilla.

— Dlaczego? — spytał Graba drżącym już trochę głosem.

— Bo nie chcę być w rękach twoich narzędziem czyjś zguby.

— Żle się wyrażasz, kochana żono; narzędzie, to coś podrzędnego tylko, a ty jesteś moją pomocnicą, moją współdziałaczką. Czy sądzisz, że mało ludzi sprowadziłaś tu do mnie swoją tajemniczą, interesującą powierzchownością? że mało mężów, synów, braci, zaprzyjaźniło się ze mną, dzięki znajomości, jaką zabrałaś z ich matkami, żonami, siostrami? Wszak pełno jest ludzi koło nas na obiadach i wieczorach, a co tydzień prawie, czasem nawet częściej, przegry-

wają się między ścianami naszego mieszkania znaczne sumy pieniędzy. Wprawdzie, wiele z tego zawdzięczam samemu sobie, mojej znajomości świata i serc ludzkich; ale połowa przynajmniej w tém zasługi jest twojej, kochana żono. Możesz więc śmiało być jeszcze i u pani marszałkowej, oddasz mi przez to wielką przysługę, bo przyznam ci się, że jestem nieco w kłopotach pieniężnych. Nadzwyczajnym wypadkiem, bo ogólnie szczęście mi służy w kartach téj zimy, przegrałem parę tysięcy rubli onegdaj, i robią one znaczną lukę w moim bilansie.

— Więc chcesz ją zapełnić pieniędzmi, wyjętymi z kieszeni panów X.?

— Właśnie, kochana żono. Prawdziwie, oddziwić się nie mogę twojej przenikliwości; masz umysł niepospolity...

— Oddziwić się nie możesz zapewne temu, że tak dokładnie wiem, kim jesteś i jakie są wielkie cele twego życia, choć mi o tém nigdy nie mówiłeś. Ale bo widzisz, serca złamane, jak moje, które boją się patrzeć we własną przepaść, aby nie stracić przytomności i nie rzucić się na bruk z okna pierwszego piętra, tém pilniej patrzą w serca innych, a szczególniej w serca czarne, jak twoje, bo ciemność pociąga do siebie... i nocne ptaki widzą jasno w ciemności.

— Kochana żono! patos miłém i zajmującym jest w teatrze, ale śród pogadanki małżeńskiej śmieszném jest i przeszkadza dokładnemu porozumieniu

się. Powtórzyłem tu tylko słowa, które sama niedawno mi przypomniałaś, i wracam do interesu. O którejże godzinie będziesz jutro u pani X. ? bo jednocześnie chcę się tam znaleźć z tobą. Wobec takich poważnych matron, jak matka młodzieńców, których ręczę, że gorąco poznać pragniesz, ścisła zgoda małżeńska sprawia najlepszy efekt.

Kamilla milczała.

— Piękna Kamillo — ozwał się po chwili Graba — czekam na twą odpowiedź.

— Już ją dałam — odrzekła — nie będę wcale u pani X.

— Doprawdy? ośmielę się jednak, kochana żono, zaprzeczyć ci i dowieść, że tam będziesz.

— Nie zmusisz mnie przecież do tego przemocą — obojętnie odrzekła Kamilla.

— O, jakże nawet możesz przypuszczać podobne rzeczy! — zawołał Graba. — Jestem zbyt dobrze urodzony i wychowany, abym się miał dopuszczać jakiegokolwiek względem ciebie grubiaństwa! Zresztą... ja ciebie tak kocham! Ale nie myśląc nawet o gwałtownych środkach, mam sposób zobowiązania cię, abyś zrobiła wszystko, co zechcę.

— Jakież jest ten sposób?

— Przypomnę ci... przypomnę ci, moja droga, imię, nad wszystko tobie miłe.

— Jakież to imię? — zapytała Kamilla, blednąc.

— Twojej matki.

Kamilla strasznie zbladła, spuściła głowę i milczała.

Graba patrzył na nią z uśmiechem tryumfu.

— Jeżeli nie będziesz jutro u pani X., pojutrze zakomunikuję przez pewne osoby matce twojej o tém, że mam farbowane włosy i fabrykowaną cerę, że nabrałaś do mnie od drugiego dnia po ślubie nieprzewycięzonego wstępu, że przechodzą niekiedy całe tygodnie, w ciągu których, dziesięciu słów nie mówimy do siebie: słowem, doniosę jój o wszystkich szczegółach naszego wielce miłego dla mnie pożycia, które jednak nie wiem, czy takiem jest dla ciebie.

— Ty tego nie zrobisz! — zawołała Kamilla, cała drżąc.

— Dlaczego, kochana żono?

— Bo wiesz, że przez to zabił-bys moje matkę!

— Ach! dotykasz najsłabszej struny mego serca... struny miłości bliźniego! — westchnął Graba. — Ale cóż robić? człowiek daje sobie radę na świecie, jak może, i skoro zmuszasz mnie do tego swoim uporem...

Kamilla powstała dumna, wyprostowana, spokojna. Zmierzyła męża chłodnym, wzgardliwym wzrokiem i rzekła:

— Idź i powiedz wszystko mojej matce; będzie ona zapewne wołała nieszczęście moje, niż poniżenie!...

Graba rozśmiał się głośno.

— Żono kochana! — zawołał — zapominasz, jak widzę, o apoplektycznym ataku, który przy wzruszeniu powtórzyć się może!

Kamilla jęknęła głucho, głowa jój pochyliła się na piersi, jak kielich podciętego kwiatu, i na twarzy odmalowała się straszna walka. Stała tak kilka minut, w czasie których tętna pulsowały gwałtownie w jój skroniach, a oddech jój był tak ciężki, że zdawał się pierś rozrywać.

— A cóż, kochana żono — przerwał milczenie Graba — czy pojedziesz do pani X.?

Kamilla podniosła głowę; walka skończyła się, w oczach jój było silne postanowienie.

— Nie pojedę — rzekła z mocą, zakładając ręce na piersi.

Graba zgrzytnął zębami i zerwał się z siedzenia.

— Pamiętaj, że będziesz tego gorzko żałować! — zawołał, i zmierzał ku drzwiom.

Ale Kamilla poskoczyła nagle i zastąpiła mu drogę.

— Słuchaj — rzekła tłumionym i przerywanym od wewnętrznego drżenia głosem — jeśli moja matka dowie się o czémkolwiek, całe miasto dowie się o wszystkiem... Wtedy pojedę nie tylko do pani X., ale wszędzie, wszędzie, i do tych, których znam, i do tych, których nie znam... I wszystko powiem, kto jesteś, i będę wołać, aby się strzegli ciebie, jako gądziny, wysysającej krew ludzką, i wystawię cię pod

pregierz wzgardy publicznej. Znasz mnie... że mam siłę woli i postanowienia... co postanowię, tego dopełnię...

Głos uwiązł jęj w gardle, nie mogła mówić dalej.

Graba cofnął się o parę kroków ze zdumienia i patrzył na nią nieledwie z przerażeniem.

Kamilla odetchnęła głęboko parę razy i zawołała znowu:

— I ty, ty śmiesz mi mówić, że mnie kochasz, śmiesz domagać się u mnie pocałunków i uniesień miłości! ty, któryś mi zepsuł nie tylko życie, ale i duszę, odebrał wszelką nadzieję szczęścia na ziemi, zagroził mi utratą najdroższej mojej matki! ty, który wlałeś w moje pierś wieczną gorycz zwątpienia o wszystkiem na świecie, i owiałeś moje życie teźniem występków, o jakich i wyobrażenia nie miało młode serce moje! ty powiadasz, że mnie kochasz! Czém-że jest ta miłość twoja?... jedną zbrodnią więcej, jedną zmysłową namiętnością więcej, jednym więcej morderstwem moralnem twojem... O, nienawidzę cię, nienawidzę całą nienawiścią, do jakiej zdolna jest pierś oszukanej, złamanej i zdeptanej kobiety!

Graba słuchał jęj osłupiały; twarz jego wykrzywiła się strasznie nerwowem drżeniem. Gdy ostatnie wyrazy z rozdzierającym, rozpacznyim krzykiem wypadały z ust Kamilli, wyciągnął rękę i odepchnął ją od siebie tak gwałtownie, że zachwiała się i z jękiem

upadła na krzesło. Potem wyszedł, z trzaskiem drzwi za sobą zamykając.

Kamilla wpół leżała na fotelu, niezemdlona, nie płacząca, z szeroko otwartemi suchemi oczyma, a całe ciało jęj podnosiło się kurczowem drganiem. Tak zostawała przez całą godzinę, aż z wolna, stopniowo zaczęła się uspakajać. Twarz jęj nabierała zwykłego kolorytu, kibić się prostowała i powieki zamykały się na zmęczonych oczach.

W przedpokoju rozległ się dzwonek; na odgłos ten Kamilla otworzyła oczy, wyprostowała się, poprawiała rozrzucone włosy i pomięte fałdy sukni i, otworzywszy przed sobą książkę, leżącą na sofie, usiadła tak spokojna, dumna i zima, jaką okazywała się zawsze.

— Pani D. z siostrą — rzekł lokaj, ukazując się w progu.

— Proś — odrzekła Kamilla, i ze zwykłą sobie obojętną grzecznością postąpiła na środek salonu dla spotkania dwóch przybywających dam.

— Zawsze piękna, zachwycająco ubrana, jak królowa, przechadzająca się po swém ślicznem mieszkaniu! — zawołała pani D., ściskając z czułościową serdecznością obie ręce Kamilli.

— Zawsze jednostajna — sucho odrzekła gospodyni domu, giestem wskazując gościom kanapę.

Pani D. była to ta sama pani, która tak mocno

zawstydzila się w księgarni rysunku zoologicznego, a kupiła sobie *Fanny* i *Silvie* Gautier'a (*)

— Jestem przygnębiona przykrém wrażeniem — mówiła, siadając na kanapie. — Połowa Złotój ulicy zasłana jest słomą, aby turkot powozów nie dochodził do tego biednego pana Klońskiego, a właśnie przejeżdżałyśmy tamtędy. Biedny człowiek! taki przystojny, z takim dobrym układem, a taki nieszczęśliwy. Przedstaw pani sobie, że zachorował z powodu swojej żony, téj płochéj kokietki, widząc jéj rozkochanie się w Ordynacie...

— Niech pani temu nie wierzy — przerwała siostra pani D., trzydziestoletnia panna z ogromnym czubem, utworzonym z włosów, i z żyłkami pomalowanymi na twarzy błękitnym ołówkiem — moja siostra myli się. Pan Kloński wcale nie z zazdrości zachorował...

— Ależ, moja Karuniu — przerwała wzajemnie pani D. — powiadam ci...

— A ja ci powiadam, Ludwiko, że jest inaczej. Wprawdzie choroba jego wyniknęła z powodów sercowych, ale wcale nie z takich, o jakich mówisz...

Przy tych słowach, ukośne spojrzenie rzuciła na Kamillę.

— *Et figurez vous, chère madame Camille* — zwró-

(*) Najnieobyczajniejsze powieści, jakie wówczas, gdy to autorka pisała, exystowały w literaturze francuzkiej.

ciła się do niej pani D. — że moja siostra wierzy w pogłoskę, jako-by pan Kloński był tak szalenie zakochany w kimś bardzo pięknym i powabnym, że z téj miłości właśnie zachorował?

— Najzupełniej w to wierzę — odpowiedziała panna Karolina.

— Czy pani Klońska uwiadomiona jest o téj pogłosce? — z pewnym pośpiechem zapytała Kamilla.

— O, tak! — zawołała pani D. — Ta pocziwa pani R. dziś już przed południem włożyła swój czeppek ze strusiem piórami i pobiegła opowiedzieć o tém, co mówią, pani Klońskiej, rozumié się, że nie o zazdrości i Ordynacie, *vous comprenez*; było-by zbyt drażliwém, ale o tém, że jéj mąż zachorował z miłości dla innéj kobiety. Potém zaraz wpadła do nas, jak bomba, w swoją krynolinie, mającej pół wiorsty kwadratowej obrebu, i zdała nam całą relacyą z widzenia się swego z panią Klońską.

— I cóż opowiadała? — z niezwykłym zajęciem zapytała Kamilla.

— Opowiadała, że znalazła Celinę zmizerowaną ogromnie, co przypisuje ona wyłącznie jéj stanowi, a ja wyrzutom sumienia. Po wszystkich powitaniach i kondolencyach, kiedy pani R. powiedziała jéj już to, z czém do niej przybyła, Celina zarumieniła się tak, jakby krew miała jéj natychmiast trysnąć z twa-

rzy i odpowiedziała bardzo zimno, że wcale nie wierzy w to, aby mąż jej kochał kogo innego; ale pani R. zauważyła, że wcale jest inaczej, że przeciwnie, wierzy w to zupełnie. Oprócz tego, dowiedziała się pani R. od kogoś, że pani Celina sama od dawna to już spostrzegła.

— Biedna kobieta! — rzekła z cicha Kamilla.

Dwie siostry zamieniły między sobą złośliwe spojrzenie.

— I nie ciekawa jesteś, *ma belle madame Camille*, kto jest ta piękna pani, dla której o miłość posądzają biednego Stanisława?

— Jak nie wierzę w tę nierozsądną plotkę, tak też i nie ciekawą jestem znać jej szczegółów — odrzekła Kamilla, podnosząc dumnie głowę i zimnem spojrzeniem mierząc dwie kobiety. — Czyście panie czytały tę najnowszą powieść Z.....cza? — zapytała po chwili, wskazując otwartą książkę.

— Bardzo niewiele czytujemy po polsku; nie teraz u nas dobrego nie piszą — odrzekła niechętnie pani D.

— Skończyliśmy właśnie dzisiaj czytanie powieści Pawła Févala *Les belles des nuits* (*) — dodała jej siostra.

(*) Skandaliczna powieść. Fajerwerk cuchnących ogników sztucznych.

Podano herbatę i nadszedł jeszcze ktoś z mężczyzn, a przez cały ciąg wieczora nie było już wzmianki o panu Klońskim, ani o przyczynie jego choroby.

* * *

Nazajutrz kamerdyner państwa Klońskich, na odgłos dzwonka, otworzył drzwi przedpokoju i ujrzał przed sobą, owiniętą aksamitną szubką, panią Kamillę Grabinę. Poznał ją, lubo nie bywała u jego państwa; skłonił się z uszanowaniem i czekał rozkazu.

— Chcę widzieć się z panią Klońską — rzekła Kamilla.

— Niepodobna, pani — odparł sługa.

— Dlaczego?

— Bo jaśnie pani Klońska bardzo jest chora.

Nogi zadrżały pod Kamillą; oparła się o drzwi.

W tej chwili wyrzała do przedpokoju Komorowska, mizerna, splakana, z rozczochranemi włosami. Ujrawszy Kamillę, stała przez chwilę zdumiona, ale podbiegła ku drzwiom i żywo zapytała tonem silnej niechęci, zaledwie miarkowanej grzecznością:

— Czego pani dobrodziejka potrzebuje?

— Chciałam widzieć się z panią Klonską — powtórzyła Kamilla.

Stara sługa rzuciła na nią wzrok pełen gniewu i niechęci.

— Moja biedna pani — odrzekła głosem drżą-

cym od łez — znajduje się teraz między życiem a śmiercią, i panią mniej może widzieć, niż kogo innego.

Kamilla odwróciła się z wolna i zstępowała ze schodów chwiejając się krokiem.

W parę godzin później pan Graba wszedł do buduaru swojej żony.

Kamilla nie przyjmowała dnia tego nikogo; siedziała sama jedna.

— Uważam, kochana żono — rzekł jój mąż — że wzięłaś na seryo pogłoskę o miłości Klońskiego ku tobie i chciałaś go dziś widokiem swoim uleczyć. Mówił mi Jodek, że widział cię wchodzącą do ich mieszkania.

— Chciałam widzieć się z panią Klońską i wywieść nieszczęśliwą kobietę z błędu, który jój sprawiać musi wiele cierpienia. Chciałam powiedzieć jój, że wszystko, co mówią o mnie i o jój mężu, jest niegodziwą plotką i potwarzą, do której utworzenia posłużono się moim imieniem.

— A! skrupuły! — rzekł Graba.

— I litość — dodała Kamilla — litość nad biedną kobietą, przeciw której tyś osnuł najczarniejszą intrygę. Bo wszystkie wieści, krążące o niej, twojem są dziełem; ty jój odebrałaś dobrą sławę i wiarę w człowieka, którego kocha, ty starałaś się odwrócić od niej serce jój męża.

— Wiész więc o tém wszystkiém, kochana żono — rzekł Graba, zapalając cygaro. — Doprawdy, coraz bardziej naprowadzasz mnie na myśl, że, w skutek bezmiernój exaltacji, dochodzisz niekiedy do jaśnowidzenia.

— O, jasno, jasno widzę w twój ciemnej duszy — z wolna odpowiedziała Kamilla.

— Bo, widzisz, moja droga — mówił Graba, jakby nie słyszał słów żony — niecierpiałem tój złotowłosej gąski. Nie moja wina; zaczęła mnie sama. Gdy pierwszy raz ją widział, wypowiedziała mi wojnę, mówiąc, że postara się pozbyć kota, który chce odrapać jój Lola, robiąc przez to aluzję do mnie i do męża swego. Otóż dokazałem tego, że nie pozbyła się mnie... ale swojej spokojności i szczęścia. Ha, ha, ha!...

Kamilla patrzyła na męża uporczywym, przenikającym wzrokiem.

— Powiedz mi — ozwała się po chwili — z jakiego piekła bierzesz narzędzia do tój walki ze wszystkiém, co dobre i niewinne na świecie?

— O, nie tak daleko sięgam, kochana żono — odparł Graba z zupełnym spokojem. — Piekła nie lubię, bo brak tam podobno komfortu, i nie zstępuję tam po natchnienie ani pomoc. Pierwsze posiadam we własnej genialnej głowie, drugie dają mi ludzie, głupi ludzie. Już to wyznam ci, że gdyby głupców na świecie nie było, rola moja była-by trudniejszą,

Naprzykład w sprawie pani Klońskiej, posłużyli mi za narzędzie dwaj tylko głupcy: Ordynat i Jodek. Pierwszemu szepnąłem do ucha, że białolica Celina śmiertelnie jest w nim zakochana, a przed drugim powiedziałem to samo głośno. Ordynat począł zaraz z całej siły kompromitować młodą kobietę, aż w końcu naprawdę się nią zajął, a Jodek rozpapał po mieście i to, co było, i to, czego nie było. Ja stałem ciągle za kulisami, i niekiedy tylko, jak reżyser teatru, wysłuchiwałem aktorów za sceną, albo szeptałem im, jak mają rolę odgrywać. Z tego wszystkiego osiągnąłem tryumf, a przeciwniczka upadła, i w opinii publicznej, i w życiu domowym... Oto i wszystko.

— Przyznaj też — rzekła Kamilla — że w niewiści twój dla pani Klońskiej i w kopaniu pod jej stopami przepaści, miałeś i to na względzie, że ona, jako młoda i pełna wdzięków kobieta, mogła wpływem swoim odciągnąć od ciebie swego bogatego męża?

— Zgadłaś, kochana żono.

Milczeli oboje, długo patrząc wzajem na siebie.

— O czém-że myślisz, najdroższa, patrząc tak na mnie? — zapytał Graba.

— Myślę, że jesteś mordercą w postaci salonego człowieka — odpowiedziała Kamilla zupełnie spokojnie i z chłodną wzdardą, z jaką patrzyła wciąż na niego.

Graba zaśmiał się głośno.

— Tyle miłych rzeczy zwykłaś mi mówić, moja piękna, nieoceniona Kamillo — rzekł ze swobodą — że nie wiem już doprawdy, jak ci mam za to wszystko podziękować. Oto chyba zapytam, kiedy pojedziesz do pani X.?

— Nigdy — odpowiedziała Kamilla, nie zmieniając postawy ani głosu.

— Doprawdy? to twoje ostatnie postanowienie?

— Ostatnie.

— Więc chcesz mnie zmusić, abym dotrzymał obietnicy względem twojej matki?

— Jeśli ją spełnisz, ja także dotrzymam mojej.

— Co? ogadasz mnie przed ludźmi? nie uwierzą ci!

— Uwierzą. Opinia twoja już się chwieje. We mnie wszyscy spostrzegają jakąś tajemniczość. Cień głęboki, którym napełniłeś całą moją istotę, przenika przeze mnie na zewnątrz, a ludzie nie rozumieją go i pytają z ciekawością: — „Co on znaczy?” — Otóż ja wykryję jego źródło, i pamiętaj... stracisz kredyt... Przestaną cię zwać bogatym człowiekiem, a nazwą...

— Nie kończ! — zawołał gwałtownie Graba — i ściany umieją słyszeć niekiedy!

To mówiąc, z zaciśniętymi pięściami i zmarszczonym czołem opuścił pokój.

Kamilla została sama, nieruchoma; wzrok jój, podniesiony w górę, zdawał się szukać nieba, które ją opuściło. Na jój czoło posępnym blaskiem spływał posępny cień firanek, tak, jak owego poślubnego poranku...

VIII.

Przed domem państwa Kłońskich długo słoma przykrywała bruk ulicy, aby nie dopuszczać do wnętrza pokoiów turkotu powozów. Okna pierwszego piętra, przysłonięte barwnymi firankami, uśmiechały się, jak wprzód, ku przechodniom ciszą i spokojem, ale nikt już z zazdrością nie spoglądał na nie, bo wiadzano, lub domysłano się ogólnie, że w pięknym mieszkaniu, oświetlonym przez nie, zapanowały choroby, boleści, rozpacz. Widmo nieszczęścia gospodarowało w niem po wszystkich kątach, rozsiadało się na aksamitnych fotelach, pląsało po kobiercach i ślizkich posadzkach, samo jedno wśród tchnących głębokiem osmuceniem salonów.

Nazajutrz po nagłym zasłabnięciu męża i w parę godzin po rozmowie z damą o strusich piórach, Celina uczuła pierwsze bóle macierzyństwa, które przyszyły zbyt wcześnie. Dwie doby śmierć trzymała ją w swych objęciach, co chwila z jękiem rozpaczy py-

tała o stan męża, a dziecię zatrzymało się w jej łonie, jak gdyby nie chciało wyjść na świat sierotą, bez ojca.

Nareszcie, wśród niewypowiedzianych męczarni fizycznych i moralnych matki, ozwał się słabiuchny płacz dzieciny; Celina uśmiechnęła się, złożyła ręce do modlitwy i zapadła w długie zemdlenie.

Gdy nareszcie otworzyła oczy, głuchym, ledwie dosłyszczanym głosem wymówiła:

— Stanisław?

Lekarze i słudzy upewnili ją, że mężowi jej nie grozi już żadne niebezpieczeństwo.

Wtedy prosiła o podanie sobie dziecięcia i w słabych ramionach utuliła syna.

Tego samego dnia, dwaj lekarze, zstępując ze wschodów mieszkania państwa Kłońskich, zamienili z sobą następujące słowa:

— Cóż sądzisz, szanowny kolego, o stanie naszego pacyenta? — pytał młodszy.

— Prawdopodobnie umrze—odpowiedział starszy.

— A pacjentka?

— Ma do przebycia wielce niebezpieczną gorączkę.

W istocie, cierpienia fizyczne Celiny dopiero się były zaczęły, i dwa tygodnie jeszcze walczyła ze śmiercią.

Przez cały ten czas skrywano przed nią starannie stan męża, słaby tylko odbłysek nadziei zostawiający

niekiedy lecącym go lekarzom, ale, silnie kochające i przenikliwe, serce kobiety zaglądało w myśli tych, którzy kłamali przed nią i rozpaczą paraliżowało udzielany jej ratunek lekarski.

Stanisław nie mógł wiedzieć o tém, co się działo z żoną, bo nie odzyskiwał wcale przytomności i tylko, w uniesieniach gorączki, powtarzał co chwila imię Celiny to z boleścią, to z pieszczotą, to łącząc je z imieniem Ordynata. Prawił też ciągle o starym żydzie, o strasznych upokorzeniach i nieszczęśliwym ojcu, któremu dach z nad głowy odbiorą.

Otaczający nie mogli pochwycić żadnego wątku w tych jego słowach i wykrzyknikach, i z politowaniem kiwali głowami.

Od pierwszego dnia choroby Celiny, lokaj Ordynata zjawiał się trzy razy dziennie w jej przedpokoju, zapytując w imieniu swego pana o stan jej zdrowia. To jego peryodyczne, a tak częste wchodzenie w bramę państwa Kłońskich, stało się dla mieszkańców M. jednym więcej fakiikiem, przyczepionym do faktu *tilbury*, które przez całą zimę było przedmiotem uwag publiczności. Widziano też parę razy samego Ordynata, jak przejeżdżał na *Lady Makbeth* ulice miasta, i na twarzy jego zauważano, zamiast zwykłej dawniej apatyi, wyraz niepokoju i głębokiego niezadowolenia. Jodek zaręczał słowem uczciwego człowieka, że znał raz Ordynata płaczącego nad numerem „*Timesa*”, z chusteczką przy oczach; na to opowiadanie

mężczyźni uśmiechali się, ale kobiety się rozczuły, tém bardziej potępiając płochą Celinę, która aż dwóch ludzi doprowadziła do rozpacz.

Wszakże, według tej okropnej prawdy, że wszystko na świecie koniec swój mieć musi, mieszkańcy M. ujrzeni pewnego dnia, że zdjęto słomę, przez tak długi czas pokrywającą bruk Złotej ulicy. Więc jedna z dwóch rzeczy stać się musiała: albo państwo Klońscy pomarli, albo przychodzą do zdrowia.

Nie umarli zapewne — bo śmierć ludzi, zajmujących takie towarzyskie stanowisko, jak oni, rozległaby się wnet na całe miasto, mnóstwem kościelnych dzwonów i śpiewów, a ludzkich pożałowań, westchnień, lamentów, szczerych lub nieszczerych, lecz zawsze głośnych.

Zatém — pierwsi przechodnie, stąpający na Złotej ulicy po gołym bruku, zamiast po rozesłanej słomie, spojrzeli na okna pierwszego piętra i rzekli: — „Przychodzą do zdrowia!” — Wielu dodało: — „Dzięki Bogu!” — Państwo Klońscy byli młodzi, piękni, bogaci, a młodość, piękność i bogactwo wzbudzają zawsze sympatyę.

Silny, młody organizm Stanisława, pierwszy zwyciężył chorobę, omylając tém, ku wielkiemu ich zdziwieniu, złowróbne przepowiednie doktorów. Odzyskał przytomność i stopniowo wracały mu siły.

Kiedy pierwszy raz pozwolono mu żonę zobaczyć, Celina leżała jeszcze. Wszedł do-jej sypialni, zatrzy-

mał się u drzwi i, z ręką przyciśniętą do piersi, jakby dla stłumienia gwałtownych uderzeń serca, patrzył w głąb pokoju, gdzie w cieniu zielonej firanki, w aureoli złocistych włosów, leżała na haftowanych poduszkach blada twarz Celiny.

— Stasiu! — doszedł do jego ucha słaby, słodki głos, w którym łączyły się wszystkie radości i wszystkie cierpienia serca.

Stanisław nie poruszył się jeszcze z miejsca; najsprzeczniejsze uczucia walczyły na jego twarzy. Między nim a tą kobietą, która go tak słodko wołała, stało jakieś widmo i odpychało go od niej.

— Stasiu! pójdz zobacz naszego syna! — ozwał się znowu po długim milczeniu głos kobiety, a dziwna głębia boleści była w tym wykrzyku młodej matki, która, tracąc nadzieję, że ukochany przez nią człowiek zbliży się do niej, ukazywała mu dziecię, zdając się mówić: — „Przez miłość dla niego, pójdz ku mnie!”

Stanisław postąpił z wolna i stanął między łóżkiem żony a kolebką dziecka. Wziął rękę Celiny i wpatrzył się w nią przeciągle.

Krzyżujące się światło dwóch przysłoniętych okien oświetlało obie ich twarze, milczące, zmęczone, piękne przebytym chrztem cierpienia.

W tej chwili w kolebce cicho i jęklwie ozwała się dziecina.

Na odgłos ten, Stanisław upadł na kolana przed

łożkiem żony, objął ją i gorące czoło przycisnął do jej piersi. Celina otoczyła jego szyję drżącym ramieniem i, pochyliwszy nad nim głowę, zarzuciła mu twarz miękkimi włosami. Nic nie mówili do siebie, i w pokoju słychać tylko było głęboki i przyspieszony oddech dwóch piersi.

Trwało tak kilka minut, gdy nagle, w przyległym pokoju, którego drzwi były otwarte, dał się słyszeć głos kamerdynera, mówiącego do panny służącej:

— Pan Ordynat Zrębski przysłał lokaja swego z zapytaniem, o zdrowie jaśnie pani. Co mam odpowiedzieć?

Słowa te przerwały głęboką ciszę sypialni i wyraźne doszły do ucha Stanisława.

Mąż Celiny zadrzał, uwolnił się z jej objęcia i powstał nagle. Błądą twarz jego oblał rumieniec, oczy błysnęły znowu gorączką, popatrzył jeszcze chwilę na żonę, schylił się nad kolebką dziecka i szybko wyszedł.

Wieczorem dnia tego wszyscy domowi z przerwaniem mówili między sobą, że pan ich znowu gorzej się czuje, a wezwany lekarz wychodził z zamyśloną twarzą i z cicha rzekł do pytającej go z niepokojem służby:

— Obawiam się recydywy.

Nie nastąpiła ona jednak, i po dwóch tygodniach Stanisław już mógł wyjechać na miasto.

Celina już także zdrowa prawie, z zalecenia do-

ktorów, długo jeszcze nie miała opuszczać swojej sypialni.

Małżeństwo widywało się codziennie, ale zawsze bardzo krótko, Stanisław przychodził do pokoju żony, witał ją kilku potocznymi słowami i uściśnieniem ręki, i resztę czasu spędzał, przypatrując się dziecieniu i rozpytując o nie Komorowskiej, obecnej najczęściej tym odwiedzinom męża u żony. Niekiedy stał u okna z rękoma skrzyżowanymi na piersi i patrzył na ulicę, ale znać było po utkwionych w jeden punkt jego oczach i zmarszczoném czole, że nie myślał wcale o tém, co się działo na bruku miejskim.

Stojąc tak, zobaczył parę razy Ordynata, jadącego ulicą na *Lady Makbeth*, i melancholijnie spoglądającego ku oknom pierwszego piętra; wtedy gwałtownie odstępował od okna i wychodził z pokoju, nie podawszy ręki żonie, jak to zwykle czynił przy pożegnaniu.

Celina była bardzo smutna, godzinami całemi tuliła dziecię do piersi, śpiewając nad nié ciche, żałosne piosenki, a wieczorem, odprawivszy Komorowską, klęczała długo nad kolebką, z twarzą ukrytą w dłoniach, i wstawiała z oczyma podniesionymi na święty obraz, wymawiając z cicha:

— Boże! powróć mi jego serce!

Pewnego wieczora, Celina siedziała w głębokim fotelu, blada, zmęczona fizycznie i moralnie, z czo-

łem wspartém na ręku. Obok niéj stała wierna Komorowska.

— Więc powiadasz — mówiła bardzo powoli i cicho Celina — że *ona* tu była w czasie choroby Stasia?

— Tak pani — odpowiedziała stara sługa.

— A zatem snadź i *ona* go kocha! — ciszej jeszcze szepnęła młoda kobieta.

— Ale przecież pani Grabina pytała wtedy o panią — rzekła pośpiesznie Komorowska, dosłyszawszy ostatnich słów swojej pani.

— O tak! — zawołał Celina — bo i jakże inaczej uczynić miała? Chciała zobaczyć mnie, aby dokładniej rozpytać się o niego. I jakież niepokój musiał nią wstrząsać, jeśli odważyła się przestąpić próg mego mieszkania, jeśli czuła w sobie dość śmiałości, aby chcieć mówić o nim *ze mną*!..

I rumieniec dumy, rumieniec upokorzonej godności małżonki i czystej kobiety, oblał twarz Celiny.

— Niech-że pani tego tak do serca nie bierze — perswadowała Komorowska, zabierając się już do ucierania nosa z łoskotem, bo oczy jéj łez były pełne — może to są tylko przywidzenia... pozory...

— Przywidzenia? pozory? — z goryczą odpowiedziała Celina — o, nie, moja dobra Komorosiu! To serce moje, zmęczone cierpieniem tylu długich miesięcy, czuje zbyt dotkliwie, że między *nim* a *mną* coś stało, że jest jakaś moc niewidzialna, która go od-

pycha ode mnie. A cóż-by to mogło być, jeśli nie miłość jego dla innej kobiety? Ja przecież postępowaniem mojem nie zraniłam go, kochałam go zawsze, jak i kocham nad wszystko w świecie, byłam uległą dlań i łagodną, bo inną względem niego być nie mogłam. Więc czegoż on dla mnie taki obojętny? Czemuz, jeśli niekiedy weźmie mnie po dawnemu w objęcia i spojrzy serdecznie, to wnet cofa się, chmurzy czoło i w oczach jego błyska taka boleść, pomieszana z gniewem, że aż drzę cała? Ach, wtedy między nim a *mną* staje *ona*!...

Milczała przez chwilę, oddychając ciężko, i znowu zaczęła mówić:

— I małoż oznak, małoż dowodów mam na to, że on *ja* kocha. Pamiętam, gdy pierwszy raz — bardzo prędko po jéj ślubie — poznał on *ja* i zaczął o *niéj* mówić, poczułam na sercu, jakby dotknięcie gorącego żelaza, bo nigdy wprzód o nikim tak nie mówił, a do mnie, od tego właśnie wieczora, zaczął przemawiać z tym chłodem szyderskim, jakiego wprzód nigdy w nim nie spostrzegłam. A przez całą zimę jakież było postępowanie jego? Codziennie prawie bywał u Grabów, szął jego do kart i różnych męskich zabaw, zaczął się wzmagać, jakby pod wpływem jakiejś boleści; zdawało się, że pragnie zagłuszyć siebie, że pragnie o czémś zapomnieć. Gdy wracał do domu, zamykał się w swoich pokojach, a jeśli kiedy widywałam się, byliśmy względem siebie niby obcy

sobie ludzie. Mówił do mnie tylko z koniecznej potrzeby; jeśli uściśnął mnie kiedy, to zawsze z tą jakąś stłumioną boleścią, którą ja widziałam, ach, i odczuwałam nożami, krającemi pierś moję! A też tak nagle i gwałtowna choroba jego, o której doktor mówił, iż była spowodowana długiemi wewnętrznymi wzburzeniami, jakimś pasowaniem się i walką uczuć! A toż zjawienie się *jéj* w naszym mieszkaniu nazajutrz po zaslągnięciu jego! Po co przychodziła tu *ona*, kiedy u mnie nie bywała nigdy, kiedy zaledwie kilka razy widziała mnie w kościele, lub na ulicy? O! tak, serce jego stracone dla mnie, ale nie na zawsze, nie na zawsze... bo walczyć będę o niego do ostatka, dopóki sił starczy! Wszak to mój mąż przed Bogiem i ludźmi, wszak to ojciec mojego dziecka!...

Ostatnie wyrazy wymówiła z załamaniem i wyciągniętymi przed sobą rękoma; błękitne i łagodne zwykle *jéj* oczy, były suche i energią zaświeciły.

— Pani moja! — ozwała się po chwili Komorońska, wsparta o poręcz fotelu Celiny, z ustami prawie przyłożonemi do *jéj* ucha — pani moja najdroższa! jam wychowała cię na własnych moich rękach, jam cię uczyła wymawiać pierwsze wyrazy, jam patrzyła, jak wzrastałaś śliczna, hoża, swobodna, niby ptaszek, zaledwie poczynający wylatywać z gniazdeczka. Matka twoja była moją dobrodziejką, przytuliła mnie do siebie, gdym została sierotą, i w domu waszym spędziłam najpiękniejsze lata moje, więcéj przyjaciół-

ka niż sługa, otoczona wygodą i względami. To téż ciebie, pani moja, kocham, jak własne dziecko! nigdy nie słyszałam z ust twoich słowa przykrego, owszem, zaufaniem twojem, obejściem się łagodnem, podniosłaś mnie do siebie i w serce prostéj kobiety wlałaś uczucie rzadkie może w klasie, z której wyszłam. Kiedy patrzę, że cierpisz, serce moje kraje się i nie nawidzę wszystkich, co ci źle czynią. Może więc to przywiązanie moje do ciebie unosi mnie za daleko, ale posłuchaj mnie, pani, i gniewaj się na starą sługę twojéj matki, jeśli ci da radę, która się tobie nie podobą. Młoda pani jesteś, masz zaledwie lat dziewiętnaście, piękna, dobra, bogata, po cóż masz sobie życie zatruwać ciągłym walczeniem, żalem, uganianiem się za sercem człowieka, który cię niewart, który cię opuszcza? Czyż mało małżeństw widzimy, które się rozstają i każde z dwojga na osobnej drodze szuka sobie lepszéj doli? Uczyn to samo, odjedź z dzieckiem do ojca, a mąż twój, albo opamięta się i stanie się innym, albo weźmiecie rozwód i znajdziesz sobie innego człowieka, który cię lepiéj ocenić potrafi.

Celina długo milczała, potem cicho i z wolna mówić zaczęła:

— Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Stanisława w moim pięknym Wieńczynie, wydało mi się, że drzewa stały się zieleniejszemi niż zwykle, ptaki weseléj śpiewały i różyczki, co kwitły pod mojem oknem, uśmiechały się do mnie, szepcząc listkami o szczęściu. Jego

oczy sprowadziły na twarz moje pierwsze rumieńce wzruszenia; gdy dotknęłam jego ręki pierwszy raz, serce moje zadrżało rozkoszą. Kiedy na balu powiedział mi, że mnie kocha, zaćmiło mi się w oczach, ludzie i światła zniknęły dla mnie, muzyka umilkła, wydało mi się, że anioł stróż mój wziął mnie w objęcia i że wstępuję do raju. Przysięgę ślubną nie moje usta wymawiały tylko, ale i serce, o! z samą głębi serca mówiłam Bogu i jemu, że ślubuję mu miłość do zgonu. Potem, rok cały byłam zupełnie szczęśliwa, szczęściem dziecka, które nie wie, że na świecie bywają wielkie cierpienia. Aż przyszły na mnie cierpienia te, przyszły przez niego i od niego, ukazały mi życie w innej postaci, starły ze mnie lekki puszek dzieciństwa, uczyniły mnie z dziecka — kobietą. Więc jemu winna jestem pierwsze szczęście i pierwsze cierpienia życia, i za szczęście i za cierpienia kocham go. A teraz, gdy on ma serce pełne bólu, który ukrywać musi, gdy unoszą go fale złych namiętności, gdy coraz bardziej grozi mu majątkowa ruina, jabym go miała opuszczać? O, nie! może właśnie Bóg postawił mnie przy nim dlatego, abym mu była ucieczką i pomocą w ostatniej niedoli, abym podała mu rękę wtedy, gdy wszystko go opuści, abym wytrwała i cierpliwą miłością oczyściła serce jego z mętów, techniętych w nie przez złych ludzi i uniesienia młodzieńcze, i uczyniła je znowu takim dobrą, szlachetnym, pocziwem, jakim ono było z natury. Nie, Komo-

rosiu, ja go nie opuszczę dopóty, dopóki on mnie sam nie odepchnie, a nawet jeśli i on to zrobi, uklękę jeszcze przed nim, pokażę mu dziecię nasze i powiem: — Przypomnij sobie chwilę naszego wielkiego szczęścia i wróć do mnie! — Był kiedyś pewien wielki w dziejach człowiek, który, w rozpacznej chwili, rzucając się w fale wzburzonej rzeki, zawołał: — „Bóg mi powierzył honor narodu mojego, Bogu go oddam!” — Ja, biedna, słaba kobieta, której całą zadaniem życia jest kochać, powtórzę także: — „Bóg mi powierzył duszę człowieka, Bogu tylko ją oddam!...

Umilkła, schyliła głowę, a po ustach jej krążył uśmiech taki, z jakim malują aniołów, patrzących z wysokości niebieskich na nędzę i grzechy tego świata.

W godzinę później, Komorowska klęczała w swoim pokoju, modląc się gorąco za szczęście swojej ukochanej pani, a Celina z ciężkością powstawała z fotelu i mówiła do siebie:

— Tak, Bóg mnie natchnął; wiem, co zrobię: pójdę do niej i zakolątam do jej kobiecego serca!...

* * *

Nazajutrz w południe na wschody państwa Grabów wstępowała bardzo powoli i z trudnością blada, o drobnych kształtach, kobieta. Przyszła tam snadź pieszo, bo żaden powóz nie stał przed bramą domu i sama jedna, bo nikt nie szedł za nią. Co k il

kroków przystawała, opierała się o poręcz wschodów i oddychała z ciężkością. Za nią, z szelestem jedwabiu, sunęła się długa, czarna suknia, a przezroczysta koronka, spływając z kapelusza, przysłaniała twarz jej i złociste włosy.

Stała przed drzwiami mieszkania, podniosła rękę do dzwonka, ale nie dzwoniła; spuściła głowę, potarła dłonią czoło i, nagle zwróciwszy się, poczęła na powrót zstępować ze schodów, prędko, jak gdyby uciekała. Ale zaledwie uszła tak kilka kroków, zatrzymała się znowu, spojrzała na drzwi, które opuściła przed chwilą, i zamyśliła się.

— Straszno mi! — szepnęła drżącymi ustami.

I oparta plecami o twardą poręcz, stała z opuszczonemi na suknię rękoma.

Nakoniec z wolna podniosła głowę, założyła ręce i rzekła:

— Boże! dodaj mi siły!

W parę sekund stanęła znowu przed drzwiami i z całej siły pociągnęła za taśmę dzwonka. Za ścianą dzwonek zajęczał donośnie, i w tej samej chwili fala krwi uderzyła do twarzy kobiety, zalewając ją żywym szkarłatem.

Drzwi otworzyły się i na progu ukazał się w czarnym fraku kamerdyner.

— Czy pani Grabina jest w domu? — zapytała go bardzo cichym głosem przybywająca kobieta, nie podnosząc z twarzy koronki.

— Tak, pani — odparł sługa.

— Może przyjmuje gości?

— Nie, pani; jest sama jedna.

— Czy mogę się widzieć z panią Grabiną?

— Kogo mam zaanonsować?

— Jestem Celina Kłońska.

Na to nazwisko, służący szerzej przed nią drzwi otworzył i, skłoniwszy się z uszanowaniem, śpiesznie odszedł w głąb mieszkania.

Po chwili wrócił i rzekł z nowym ukłonem:

— Jaśnie pani prosi.

Potém uprzedził panią Kłońską i na oścież otworzył przed nią drzwi pierwszego salonu.

Celina przebyła z wolna pierwszy salon, w którym zwierciadła kilka razy odbiły w sobie jej postać, i na progu drugiego zatrzymała się. Zatrzymała się, bo o kilka kroków przed nią stała Kamilla, z dumną swoją i wyniosłą postacią i z głębokim cieniem na śniadym czole, utworzonym przez grubą dyadę z czarnych warkoczy.

Dwie kobiety zbliżyły się do siebie powoli, milcząc, aż spotkały się oko w oko i spojrzały sobie w twarz wzajemnie.

Z wolna i spokojnie Kamilla wyciągnęła rękę do przybywającej, ale Celina, zamiast podać jej swoją, szybkim ruchem poniosła ją do serca i rzekła drżącym głosem:

— Pani! ja litowałam się nad tobą, kiedyś szłaś do ołtarza, a ty nade mną nie masz litości...

Zarazem odrzuciła z twarzy koronkową zasłonę i ukazała policzki, powleczone bladością niezmierną i łzę, która migotała w błękitnych, zapadłych nieco oczach.

Twarz Kamilli była zimna i spokojna, jak zwykle, tylko przy słowach Celiny pojawił się na ustach gorzki uśmiech. Wzięła obie ręce drżące kobiety i, prowadząc ją do kanapy, rzekła łagodnie:

— Usiądź pani, bo drżysz cała. Wnet będę gotowa do mówienia z panią.

Zadzwoniła i rzekła do służącego, który się we drzwiach ukazał:

— Nie przyjmuję nikogo.

A gdy służący odszedł, usiadła naprzeciw Celiny i wpatrzyła się w nią długim, badawczym wzrokiem. Im dłużej patrzyła, tym więcej ustępował z jej twarzy zwykły surowy wyraz, a natomiast występowały żal i współczucie.

— Biedne dziecię! — z cicha rzekła po chwili.

Celina podniosła głowę.

— Nie przyszłam tu dlatego, abyś pani miała litość swą okazywać mi w słowach — rzekła — ale dlatego, aby wezwać szlachetnych uczuć twego serca na pomoc moim usiłowaniom. Człowiek, w którym złożyłam wszystkie moje nadzieje, który jest ojcem mego dziecka, którego miłość moja tylko może ura-

tować od niechybnej zguby moralnej i materyalnej, człowiek ten, mąż mój... kocha panią.

Kamilla znowu uśmiechnęła się gorzkim uśmiechem.

— To nieprawda! — rzekła z mocą.

Celina spojrzała na nią badawczo i ze zdziwieniem.

— Miałabym się omylić? — rzekła. — Miałabym natrafić w pani na jedną z tych obłudnych, pełzających istot, które kochają się w miłościach, okrytych cieniem kłamstwa i wstydu? Ja nie przyszłam czynić pani wymówek, nie stanęłam przed panią jako rozjątrzona i w obrazie swój pełna nienawiści małżonka, ale jako szlachetna kobieta, która odzywa się do szlachetności drugiej kobiety. Pani odbierasz mi serce człowieka, który wprzód bardzo mnie kochał!...

— To nieprawda! — z większą jeszcze siłą powtórzyła Kamilla. — Pani jesteś w błędzie, stałaś się ofiarą niegodziwej intrygi i bezmyślnych plotek, któremi opłatan cię, jak pajęczyną!

Tym razem Celina gorzko się uśmiechnęła, w łagodnych jej oczach zamigotało coś naksztaltu wzgardy.

— Ha, więc ta pełna dumy postawa i choć zimna, ale szlachetna twarz twoja, pani, omyliła mnie... — rzekła. — Myślałam, że jesteś jedną z istot prawych, które szczerością odpowiadają za szczerość, i kłamstwa nienawidzą więcej, niż największej bole-

sci. I dlatego, że tak myślałam, przyszedłam tu... przyszedłam tu, aby ci powiedzieć, że miłością, którą wzbudzasz w moim mężu, zabijasz nie tylko mnie, ale i jego, bo na niebezpiecznej stoi on drodze, a sprowadzić go z niej mogła-bym tylko ja jedna, wpływem słodyczy i miłości, ciepłem rodzinnego życia, ożywionego teraz istotą, której jest ojcem. Chciałam ci powiedzieć, że miłość ta dla ciebie wtrąca go coraz głębiej w przepaść szaleń i marnotrawstwa, pociągając coraz silniej do tego domu, gdzie znajduje człowieka, który go zwodnie kusić umie. I dopóki on owładnięty jest tą miłością, ja jestem ubezwładniona, nic nie mogę, bo unika mnie, bo, zamiast widzieć we mnie szczęście swoje, widzi jedną z zapor, dzielących go z tém, co kocha. Chciałam ci, pani, powiedzieć, że możesz położyć koniec temu wszystkiemu, zrażając go obojętnością swoją i oddalając od swego domu, i że powinnaś to uczynić, przez szlachetność, przez litość nad nim samym. I jeszcze, jeszcze chciałam ci powiedzieć, że gdybyś była wolną... i gdybym ja nie miała téj biednej dzieciny, w nieszczęściu urodzonej, nie zawahała-bym się poświęcić siebie dla jego szczęścia. Tak, ustąpiła-bym z pomiędzy was, i pierwsza powiedziała-bym z głębi skrwawionego serca: — „Bądźcie szczęśliwi!” — ale odbierać ojca dziecącemu... to okropnie, pani, nie prawdaż? A dwa rozwody, dwa rozwody, to zupełnie niepodobne,

to było-by nawet śmieszne, boleśnie śmieszne, nie prawdaż?...

I kończąc te słowa, zaśmiała się rzeczywiście bolesnym śmiechem, który łączył się z tłumionemi całą siłą łkaniami.

Kamilla słuchała jej nieporuszona, tylko w oczach jej, zamiast uprzedniego politowania, malowała się boleść.

— Kiedy mówiłam, że jesteś pani biednym dzieckiem, nie myliłam się — ozwała się po chwili. — Jak dziecie, nie znasz pani ludzi, ani umiesz rozpoznać się we własnym życiu. W istocie, grozi pani wielkie niebezpieczeństwo; jesteś otoczona ciemną intrygą, ale, jak człowiek z zawiązanemi oczyma, czuje gorąco płomieni, nie widząc, w której one płoną stronie, tak ty czujesz boleść, co ci serce kęsa, a nie widzisz, z kąd ci ona przychodzi.

— Więc wytłómacz mi pani to, czego, wedle ciebie, nie rozumiem; daj mi jakikolwiek dowód tego, że jestem w błędzie! — zawołała Celina. — To prawda, że jestem niedoświadczoną młodą kobietą, ale niemniej jednak czuję moje nieszczęście, i zdawało mi się, że odgadłam jego źródło. Dlaczegoż utraciłam przywiązanie mojego męża i wszelki wpływ nad nim? dlaczego on panią uwielbia gorącemi słowami? dlaczego nakoniec przychodziłaś pani sama, gdy był chory, lubo, wedle praw światowych, nie powinnaś była tego czynić, bo mnie nie znałaś?

— A pani dzisiejsze odwiedziny u mnie, czyliś ściśle zgadzają się z prawami światowej etykiety? nie-mniej jednak mają one cel szlachetny — odparła Kamilla z godnością. — A gdy pani pożyjesz dłużej i nie tylko w swoje serce, ale i we wnętrza innych ludzi pilnie zaglądać będziesz, nauczysz się tej prawdy, że pozory nie zawsze to znaczą, co zdają się okazywać, i że niemożna ważyć wartości wszystkich postępów ludzkich na szali salonowych formułek. Byłam w domu pani w czasie choroby twego męża, bo dowiedziałam się o kłamliwej pogłosce, która cię tu sprowadziła, przeczuwałam, ile cierpieć musisz, i chciałam ci powiedzieć: — „Nie wierz pozorom i ludzkim gadaninom!”

Kamilla mówiła to z taką wyniosłą godnością, tyle prawdy było w twarzy jej i głosie, że Celina patrzyła na nią zdumiona i mileżała.

— Teraz, jeśli pani chcesz, abym ci wyświeciła ciemne punkta twojej exystencji — mówiła dalej Kamilla — mogę to uczynić, jako patrząca od dawna na powolne układanie dramatu, który wstrząsnął życiem was obojga. Ktoś złośliwy bardzo i nienawidzący pani, szepnął Ordynatowi Zrębskiemu, że go pani kochasz; próżny i wiecznie beczynny młodzieniec uwierzył temu z łatwością i począł wzajemnie kołatać do twojego serca. Robił to w taki sposób, że publiczność cała i mąż pani łatwo to spostrzedz mogli; ty jedna, w naiwną, dziecięcą twą niewinno-

ści, nie wiedziałaś o tém. Mąż twój, prowadzący życie bezcelowe i beczynne, oddany zabawom, których próżność i grzeszność rozumiał, bo ma dobre z natury instynkta, od dawna czuć musiał, że względem pojęcia o dobrem i względem siebie nie był takim, jakim być był powinien. Ztąd z łatwością wkorzeniło się w niego to przekonanie, że mu odebrałaś swoje serce; młodość twoja, osamotnienie, w którym cię zostawiał, kompromitujące cię nakoniec postępowanie Ordynata, usprawiedliwiło i do najwyższego stopnia umożliwiło to jego mniemanie. Jeśli ci nie powiedział, to dlatego, że jest dumny i dobrze to wróży na przyszłość, bo człowiek słaby dręczył-by cię za to, a zły kompromitował-by cię wobec ludzi. On przed ludźmi zamknął się nieprzystępnie i wszystkim milczenie przed sobą nakazał, a ciebie, pani, unikał, aby cię nie zranić, jeśli podejrzenia jego były niesłuszne, aby cię na zawsze nie stracić, jeśli-by przyszło między wami do stanowczej rozmowy. Oto masz klucz, który ci odmyka tajemnicę jego postępowania, oto jest właśnie to, co stało między wami. Mąż pani cierpiał strasznie, masz pani dowód w tém, że o mało nie umarł z boleści, a to znowu cierpienie jego jest dowodem, że kocha cię bardzo. Zamiast rozpaczać, ciesz się więc pani, bo nie straciłaś jeszcze losu na loteryi życia; możesz posiąść na nowo i daleko większy, niż wprzód, wpływ nad swoim mężem, boś więcej dojrzała, i możesz obudzić w jego piersi wybor-

ne materyały, które w nich włożyła natura, a które, przytłumione grzesznym szaleństwem młodości, skonały-by bez ciebie. Powiedziałam wszystko, co wiem, a wiem zupełną i całą prawdę... może pani nie wierzysz mi jeszcze?...

Celina słuchała z razu z podziwieniem, graniczącym z osłupieniem, nakoniec z najwyższą na twarzy radością. Kiedy Kamilla przestała mówić, wyciągnęła do niej rękę i rzekła ledwie dosłyszczanym głosem:

— Wierzę, dziękuję i przepraszam.

Potém przesunęła rękę po czole i szepnęła:

— Boże mój! teraz dopiero odkrywa się przede mną wszystko; przychodzą na myśl fakta, rzeczy niewytłómaczone dla mnie dotąd. Tak, pamiętam, że najchmurniejszy, najobojetniejszy bywał on zawsze wtedy, gdy zobaczył mnie z Ordynatem... te słowa jego, beładnie wymawiane w gorączce... tak, pamiętam, że w owęj strasznej chwili, kiedy bezprzytomny padał u nóg moich, wołał do kogoś: — Nie odbieraj mi Celiny, bo cię zastrzelę! — Jam tego wszystkiego nie postrzegła... jam nigdy nie przypuszczała, aby on mógł zwątpić o mojej miłości i aby znowu ktoś inny mógł odważyć się po moją miłość sięgać... i dlatego postępowanie Ordynata wydało mi się całkiem naturalne, tém bardziej, że nie zwracałam na niego uwagi... ale teraz widzę... widzę wszystko... O, pani! tyś mi życie wróciła!...

Mówiąc ostatnie słowa, z całém uniesieniem swęj wylanęj kochającęj natury, rzuciła się na szyję Kamilli i, okrywając twarz jęj pocałunkami, szeptała:

— Przebac! przebac mi!

Ale Kamilla nie objęła międko tulącęj się do jęj piersi kobiety, nie oddała uścisku za uścisk. Przeciwnie, twarz jęj bardziej jeszcze zimną się stała: gorzki uśmiech okrażył usta. Spokojnym, powolnym ruchem uwolniła się z objęcia Celiny i, lekko odsuwając ją od siebie, odrzekła zimno:

— Nie masz mi pani za co dziękować; zrobiłam to, co zrobić byłam powinna, a gdybyś pani nie była tak długo chorą, uczyniła-bym to daleko pierwěj.

Celina była tak pogrążona w swojej radości, że nie zauważyła chłodu, z jakim Kamilla przyjęła jęj dziecięcy uścisk. Pochwyciła znowu obie jęj ręce i mówiła z pośpiechem:

— O ile piękna, o tyle jesteś pani dobra i szlachetna; dopełnij-że jeszcze jednego dobrego czynu, pomóż mi w dziele wyratowania człowieka, którego kocham...

— W jaki sposób mam to uczynić? — zapytała Kamilla, uwalniając ręce swoje z objęcia Celiny i usuwając się nieco od nięj.

— Strzeż go od swego męża! — szepnęła żona Stanisława.

Kamilla zaśmiała się przykro, prawie głośno:

— O, tego uczynić nie mogę! — odrzekła z chłodem.

— Dlaczego? dlaczego? — pytała z niepokojem Celina.

— Bo nie posiadam *żadnego* wpływu nad panem Grabą — wymówiła Kamilla, usuwając się jeszcze bardziej od Celiny, jakby się bała nowej jej pieeszczoty.

— Przebacz pani, jeśli ci przykrość wyrządziła — mówiła Celina ze łzami w oczach — ale ja boję się twego męża, *przeczuwam*, że on ma wpływ na losy nasze!... i myślałam... myślałam, że będziesz mogła...

— Od pana Graby niech sam Bóg strzeże was obojga — wymówiła Kamilla, nieledwie uroczyście. — Ode mnie zaś przyjm pani jedną radę. Chcesz pani posiadać wpływ nieograniczony nad swoim mężem, a przez to przykuć go do siebie i do domu i oderwać go od życia zadomowego, w którym trwoni majątek i dobre materyały swój natury; a jakież pani znasz środki do osiągnięcia tego wpływu? Miłość i dobroć?... to za mało. Kobieta, która chce skutecznie spełnić wielkie dzieło zbawienia duszy człowieka, powinna być nie tylko dobrą i kochającą, ale jeszcze i rozsądną. Jaki ma być ten rozum jej? czy umiejętność przyzwoitego znalezienia się w salonach i poprowadzenia dowcipnej konwersacji? czy kilka zapamiętanych wielkich frazesów i kilkanaście cytacji

książkowych? czy sztuka ubierania się do twarzy?... nie. Rozum, potrzebny kobiecie takiej, powinien składać się z mocy panowania nad sobą samą i z wielkiej miłości czegoś bardzo pięknego, bardzo dobrego, co mogła-by tchnąć w pierś człowieka, którego odkupienia podjęła się, w zamian miłości dla rzeczy próżnych i szkodliwych, co nim ośwładnęła. Gdy mąż pani wracał z długogodzinnych zabaw, witałaś go bez wymówek zapewne, ale ze łzami i smutkiem. Czy nie pociągną do pani młodego człowieka, którego pierś wre pragnieniem wszystkiego, co najweselsze i najrozkoszniejsze na ziemi; owszem, odstraszą go one, odepchną od ciebie; kochając cię nawet, będzie cię unikał, wstydząc się łoż twoich, a zatem nie chcąc widzieć ich i, przez to samo, ciebie. Zapytasz mnie pani: — Jak można nie płakać, kiedy serce boli? — odpowiem ci: — Trzeba panować nad sobą. Choć-by największy ból ścisnął twoje serce, uśmiechaj się, aby go nie odręczać; przeciwnie, ponieważ pragnie wesela, niech je znajduje przy tobie; ponieważ goni za rozkoszą, ofiaruj mu najwyższą i najgorętszą, jaką dać w twojej jest mocy. Będziesz cierpiała bardzo, ale znajdziesz wielką nagrodę, jeśli mąż twój godzinę dłużej, niż zwykle, przy tobie przepędzi. I w tym leży pierwsza część rozumu, potrzebnego kobiecie, która chce zakłąć przy sobie mężczyznę, porwany namiętnościami gdzieindziej. Druga jest jeszcze ważniejszą. Gdy przypatruję się pustemu,

zajętemu blahemi, występniemi zabawami życiu młodych ludzi i zastanawiam się nad niemi, przychodzę do tego przekonania, że główny powód, który ich w życie to wtrąca, jest pustka, jaką mają w myśli i sercu, jest to, że lekkie i powierzchowne wychowanie nie wlało w nich żadnego głębokiego zamiłowania w czémś wielkiem i pięknem, w co-by żywotne swoje siły wkładali. Niech którykolwiek z nich umi-łuje ideę jaką, naukę, życie rodzinne, pracę na jakimkolwiek polu, a zbawiony będzie. Oprócz codziennego pokarmu, człowiek każdy czémś żyć musi: potrzebne mu są wrażenia i nieustanne zajęcia; co rano myśli on koniecznie o tém, co cały dzień robić będzie. Jeśli wrażenia te nie przy płyną mu z pocziwych źródeł, pić je będzie z mętnych i zatrutych, bo taką już jest natura ludzka. A im więcej żywotnych sił ma pierś człowieka, tém większe grozi mu niebezpieczeństwo. Kobieta więc, która zbawić go przyrzekła Bogu i sobie, powinna być dość rozumna, aby mogła wlać w jego myśli i serce święte jakieś i wielkie zamiłowanie, które-by mu dostatecznego na życie dostarczało pokarmu i od mętnych go źródeł wrażeń odwiodło. Niech obok miłości, słodyczy i wesela postawi ona koło siebie myśl, niech ubiera się w takie kształty, aby nie odstraszyć oka mężczyzny, przyzwyczajonego do płochych widoków, nie wywołać mu z ust poziewania i nudy, ale przeciwnie, rozszerzyć mu pierś westchnieniem ku temu, co dobre

i piękne. Pani szczególnie jesteś w położeniu, które dostarczy ci mnóstwa materyałów. Jesteście bogaci, macie wioskę rodzinną i macie dziecię. Technij w pierś męża miłość, a będzie zbawiony. Używaj do tego wszelkich środków, jakie ci dały los i natura. Powiadają, że grasz pięknie, że nieledwie jesteś artystką. Dotąd używałaś swego talentu za środek popisu lub rozrywkę w chwilach znudzenia, teraz weź go za dzielnego sprzymierzeńca w wielkiem dziele swoim. Niech mąż twój choć raz z rozkoszą wsłucha się w grę twoję i za pośrednictwem dłoni twych przeniknie tajemnice sztuki; od téj chwili odsłoni się przed nim piękno, a kto widzi piękno, zapragnie wkrótce prawdy i dobra. Wtedy, natchniona miłością, wskaż mu łany rodzinnej ziemi, które czekają czynnej i pracowitej ręki, aby wydawać skarby, mające przyłożyć się do ogólnego dobrobytu społeczności... wtedy pokaż mu syna i powiedz: — Z dziecięcia tego możesz uczynić człowieka! — Nikt nie oprze się żądzy zostania stwórcy, skoro raz jeden błysnie mu myśl, że nim zostać może. Z twardej ziemi wydostać część szczęścia dla mnóstwa ludzi, a z niemowlęcia uczynić dzielnego człowieka, kto wie? bohaterą może, toż to być stwórcy! Uczyn tak pani, aby mąż twój zapragnął nim być, a życie jego zapełni się wrażeniami, pracą, nadzieją i rozkoszami, i nie będzie potrzebował szukać ich przy zielonym stole i na dnie kielicha... Oto wszystko, co miałam

powiedzieć; uwagi moje są wypływem spostrzeżeń, do których czynienia mam wiele sposobności; postąp wedle nich, jeśli uznajesz ich słusność; jeśli nie, kieruj się własnem natchnieniem. Ja spełniam tylko, com była powinna; radę, jaką uznaję za najlepszą, dałam kobiecie, która, nie z mojej wprawdzie winy, ale zawsze przeze mnie cierpiała.

Celina słuchała mowy Kamilli z wyteżoną uwagą; na twarzy jej błyszczała namiętność, zapach i uniesienie.

— Nowe światy odkrywają się przede mną! — zawołała po długiej chwili milczenia. — Tak, widzę teraz, że nie pojmowałam całej wagi i trudności mego zadania... w istocie, czém-że starałam się zatrzymać przy sobie człowieka, którego kocham? pieszczotą, dziecinnem szczebiotaniem albo łzami. Teraz widzę, widzę, czego potrzeba, i co mu dać powinnam, aby został takim, jakim wedle natury swój być może. O, pani! dzięki ci po sto razy!

— O! nie dziękuj mi pani — bardzo zimno odrzekła Kamilla — nie masz dla mnie żadnych powodów wdzięczności.

— Pani — z pewną nieśmiałością zaczęła mówić Celina — przebac, jeśli zadam zbyt śmiałe pytanie: Powiedz mi, ty taka piękna i rozumna, czy sama tak-że pracujesz nad odratowaniem i oczyszczeniem duszy twojego męża?

Kamilla dziwnie się uśmiechnęła.

— Nie porównywaj mnie pani z sobą — odrzekła. — Natury nasze tak są różne, jak barwa naszych włosów. Pani czoło otoczone jest złotymi promieniami, na moje spada cień czarnych warkoczy. Pani natura jest cała z promieni, moja z cieniów.

— Ale pani jesteś aniołem! — z zapalem zawołała Celina.

— Strąconym w ciemności! — bardzo cichym szeptem dodała Kamilla.

— Jestem cała w podziw — mówiła Celina, wpatrując się w twarz jej — pani wyglądasz tak, jakbyś zaledwie o parę lat była starszą ode mnie, a postawa twoja i słowa są niby istoty, która już przeżyła długie życie.

Kamilla spuściła głowę.

— Zdaje mi się — odrzekła cicho — że od czasu, jak byłam młodą, upłynęło sto lat.

Na te słowa Celina zadrżała cała, po chwili powstała i, podając obie ręce gospodyni domu, rzekła z gorącą serdecznością:

— Przyszłam do pani zboląla, zrozpaczona, złamana obawami, które mnie targaly... a odchodzę z największą pociechą i nadzieją w sercu, z całym światem nowych pojęć i myśli. Za to wszystko, coś mi dobrego sprawiła, przyjm pani ofiarę przyjaźni.

— Przyjaźń między nami? — z wolna odpowiedziała Kamilla — nie zdała-by się ona żadnej z nas, ani mnie, ani pani. Nie zawieram z nikim przyjaźni

i nie mogę pani przyrzekać tego, czego-bym dać nie była zdolną.

Jakto? więc pani nie chcesz mojej znajomości nawet?

— Przeciwnie; możemy być ze sobą znajome, to jest, że pani będziesz bywała u mnie, a ja u pani, i będziemy się spotykały częściej, niż dotąd. Wszakże to będzie tylko zmianą formy, a w treści zostaniemy zawsze względem siebie tak, jak dziś jesteśmy, obce mi sobie zupełnie.

— Pani mnie nie lubisz! — zawołała z żalem Celina.

— Niéma na świecie rzeczy ani osoby, którą-bym lubiła, lub nie lubiła — odpowiedziała Kamilla.

I, odsuwając się z wolna od pocałunku, który na jej ustach chciała złożyć Celina, lekko dotknęła się jej ręki i chłodnym ukłonem pożegnała młodą kobietę.

Gdy drzwi zamknęły się za odchodzącą, stanęła na środku salonu i, niosąc obie ręce do czoła, zawołała pośpiesznie:

— Szczęśliwa! szczęśliwa! ona ma w sercu miłość, a ja—nienawiść!...

IX.

Pani G. niezupełnie wierzyła w szczęście swojej córki, lubo nigdy na twarzy jej nie dojrzała najmniejszego cienia boleści, ani w postępowaniu zięcia nie dostrzegła czegoś, coby usprawiedliwić mogło obawy, jakie powzięła od chwili otrzymania fatalnego listu jego matki.

W sercu jej, niezwykczony żadném rozumowaniem, zagnieździł się niepokój o jedyne i najwyższe dobro jej na ziemi, o ukochane, łzami i miłością wypastowane dziecko. To też spojrzeniem, macierzyńską przenikliwością zbrojnym, wpatrywała się w twarz Kamilli i, pomimo spokojne, uśmiechnione nawet w jej obecności oblicze córki, podejrzliwie wdzierając się w głąb jej piersi, przeczuwając w niej coś, czego dokładnie pojąć, określić nie umiała. Tylko po bólu, ściskającym serce, tylko po złowrogich szeptach nieokreślonego dobrze niepokoju, czuła biedna matka, że to coś, zatajone w spokojnie na pozór oddychają-

cém łonie Kamilli, było cierpieniem, gorzej niż cierpieniem, bo jakąś zmorą ciężką, posępną, ukrywającą się nawet przed okiem matki, nawet łzą niepokropioną żadną, żadnej niewzywającą pociechy z nikąd.

Nieraz pytanie trwożne, serdeczne, cisnęło się na jej usta, i zawsze na drżących zamierało wargach, niewypowiedziane. A nuż przecucia ją myliły? a nuż nierozważném pytaniem obudzi obawy w spokojném może i zadowolóném sercu córki i sama zmąci jej szczęście? Z twarzy córki przenosiła wzrok swój na zięcia, i całą potęgą myśli pragnęła wdrząć się w tajnie wewnętrzne człowieka, któremu z taką ufnością bez granic powierzyła swe dziecię. Ale Kalixt w obecności jej był zawsze tym samym grzecznym, układnym, miłym gentlemanem, jakim się okazywał przed ślubem z Kamillą; nic w postępowaniu jego nie raziło, nic nie ściągało nań jakiegobądź słusznego zarzutu. Widywała go zresztą pani G. bardzo rzadko. Osłabiona przebytą chorobą, przyzwyczajona zresztą długimi latami ubóstwa do ciszy i samotności, z trudnością wychylała się ze swego ustronnego zakątka na ulicy Nadrzecznój i zaledwie raz, lub dwa razy na miesiąc, odwiedzała dom córki, przyjmując ją za to u siebie codziennie prawie.

Kamilla nigdy też nie nalegała na matkę o częstsze u niej goszczenie, zdawała się jakby pragnąć, aby pani G., jak można najrzadziej opuszczała swoje mieszkanie, i z pokrytą różnemi pozorami starannością,

uchylała ją, o ile tylko zdołała, od wszelkiego zetknięcia się ze znajomymi swego męża. Kalixt odwiedzał niekiedy matkę swjej żony, a w odwiedzinach tych był zawsze jednostajnie uprzejmym i ożywionym; jeśli, przychodząc do swego mieszkania, znajdował tam panią G., skłonił się przed nią z uszanowaniem, dziękował, że ich odwiedzić raczyła, a z żoną witał się tak serdecznie i swobodnie, jakby w ich pożyciu najmniejszej nigdy chmurki nie było.

Pewnego dnia, pani G., nie zapowiedziawszy córce swego przybycia, jak to zwykle czyniła, przyszła do nich piechotą i, nie oznajmiając się, z cicha weszła do jej budoaru.

Kamilla siedziała na kozetce nad otwartą na stole książką, ale nie czytała. Obie jej dłonie silnie były przyciśnięte do czoła, a oczy trzymała utkwione w jeden punkt z takim suchym, ostrym, nieledwie tragicznym wyrazem, że, spojrzawszy na nią, pani G. zadrżała i musiała oprzeć się o sprzęt najbliższy. Na odgłos szelestu jej sukni. Kamilla podniosła głowę, a ujrzawszy matkę, krzyknęła lekko, przeciągnęła ręce po twarzy i z uśmiechem radości rzuciła się w jej objęcia.

W uśmiechu tym jednak zauważyła pani G. coś niezwykajnego, przykrego. Zdawało się, jakby śmiech ten był gamą jęków, gwałtownie napisanych na wesołą nutę. Nic jednak nie rzekła z razu, tylko, zamieniwszy z córką kilka potocznych wyrazów, sia-

dła obok niej, i pociągając ją ku sobie, zapytała cicho, na ucho prawie:

— Kamilko, o czém myślałaś, gdyś przyszła?

Purpurowy rumieniec oblał twarz Kamilli, ale zniknął niezmiernie szybko.

— Ach, moja mateczko — odrzekła z zupełną swobodą — wstyd mi jest nawet przyznać się przed tobą, nad czém się tak głęboko i smutnie zamyślałam!

— Cóż-by to być mogło? — pytała matka, przenikliwie patrząc na nią.

— Wystaw sobie, mateczko, że, czytając przed chwilą o tém nielitościwym zamordowaniu księcia Gwizyusza, o mało się nie rozpłakałam; ale żałując moich pięknych oczu, powstrzymałam się, zaczęłam tylko medytować nad okrucieństwem ludzkim.

To mówiąc, zaśmiała się i ukazała leżącą na stole książkę, opisującą w istocie jakiś krwawy i morderczy epizod z dziejów francuzkich.

— Zbyt poddajesz się wrażliwości, moja droga — rzekła pani G., niedowierzająco jeszcze patrząc na córkę — nie sądziłam, abyś tak żywo przejmować się mogła rzeczami, które działy się tak daleko od nas i tak dawno.

— O! widzisz, moja matko, już to taka moja natura! Możesz sobie wyobrazić, co-by się działo ze mną, gdybym sama doświadczała jakich wstrząśnień w życiu, jeśli tak głęboko odczuwam nieszczęścia te-

go biedaka Gwizyusza, który nawet, Bogiem a prawdą, niezbyt był godny politowania takiej dostojnej, jak ja, osoby.

Zaśmiała się znowu głośno i, tuląc się do matki, dodała:

— Na szczęście, na szczęście, z łaski mojej najdroższej mateczki, która uczyniła mnie taką, jaką jestem, i przez to zgotowała mi przyszłość szczęśliwą, siedzę sobie spokojnie w mojem gniazdeczku i życie mi idzie, jak z płatka.

Poskoczyła żywo, zadzwoniła, kazała podać śniadanie i wesoło gawędziła z matką, znosząc do niej i pokazując różne ładne fatałaszkę, albumy, stroje, książki, dzienniki.

Na twarz pani G. wrócił spokój, a gdy niebawem nadszedł pan Graba, w towarzystwie dwóch jakichś młodych ludzi, bardzo przyzwoitych i przyjemnych, gdy czule powitał żonę i jej matkę, a potem, ze swobodą i właściwym sobie dowcipem, zaczął opowiadać o różnych bieżących sprawach, rozweseliła się starszka, z przyjemnością jadła obiad w wesołym gronie, a po obiedzie odjechała do domu piękną kareta córki, z lekkim sercem, pocieszając się myślą:—

— Matka jego musi być jakąś dziwaczką, lub złą matką; a zresztą, jeśli i był złym kiedy, zapewne się poprawił, i miłość do Kamilli, życie z nią wspólne, do reszty podniesie go i udoskonali.

— Któż-by zresztą mógł być złym, lub złe zach-

wać nałogi, żyjąc z takim aniołem piękności i dobroci, jak moja Kamilla? — myślała jeszcze staruszka, kładąc się do snu, i ostatnie jej westchnienie do Boga przed zamknięciem oczu było westchnieniem dziękczynnym.

Po takich jednak chwilowych uspokojeniach, wracając w pierś macierzyńską niepokoję, tém dokuczliwsze, iż, nieoparte na żadnym widomym fakcie, nieokreślone, w ciemnościach szukały swego źródła.

— A może źródło niepokojów tych leży całkiem tylko w przerażonej fatalnym owym listem wyobraźni? może w rzeczywistości nie istniało takiego, coby matkę niepokoić powinno o los dziecka? — myślała niekiedy pani G. i, kładąc rękę na piersi, pytała sumienia swego, przeszłości swój, Boga: — co uczyniła tak złego na ziemi, aby grzechy jej nieszczęściem spaść miały na głowę niewinną córki?

Przeszłość jej czystą była, jak rosy kropla; kochała wiele, więcej cierpiała jeszcze, i z hardém czołem, z dyamentowém sumieniem, znosiła długo ciężką dolę. Wtedy, gdy głos niewyraźny, tłumiony siłą woli, która nie chciała go do wnętrza piersi przypuścić, odzywał się niekiedy wyrzutem:

— Zgrzeszyłaś dumą! pragnęłaś dla córki wielkości, nie tylko tej prawdziwej, świętej wielkości, która... a kobietę męzki rozum w złączeniu z do... niewieścią, ale tej błyskotliwej, złotej, koronkowej, aksamitnej, jaką dają pieniądze, i tytuły! Dla-

czego, gdy wśród ludzi myśl twa szukała małżonka, córce twój przeznaczonego, oko twe nie zatrzymało się ani razu na młodzieńcu o świeżem i silném sercu, za całe bogactwo mającym wytrwałą a umiejętną pracę i wiarę w świętość zadania swego na ziemi? Dlaczego marzyłaś zawsze o córce twój, podniesionej na ów złocisty tron bogactwa i znaczenia, u którego stóp kłonią się wprawdzie ludzie, jako fala, lecz którego szczyt zbyt często strojny jest koroną z cierni? Dlaczego lekkomyślnie rzuciłaś córkę w objęcia człowieka, o którego istocie wewnętrznej nie miałaś czasu, ani sposobności, dostatecznie przekonać się? Czy bogactwo i znaczenie jego nie pokazywało przed tobą wielu braków i wątpliwości, które-byś niezawodnie dojrzała, gdyby cię był tym zwodnym blaskiem nie oślnął?... A teraz, gdy dopięłaś celu swego, gdy córka twa, okryta szatą z aksamitu, przechadza się po błyszczących salonach i rozkazuje tłumowi sług, czy wiesz, co się dzieje w jej piersi i co się dzieje w niej będzie? Może w tej chwili, gdy tak rozmyślasz nad jej dolą, ona z goryczą wyrzutu myśli o tobie, a dumna jej staje przed Bogiem, mówiąc: — Panie! azali mnie karać będziesz za grzech mojej matki?

Tak mówił głos wewnętrzny matki Kamilli, a nieszczęśliwej kobiecie zdawało się, jakoby już stawała przed Sędzią Najwyższym i zdawała mu... z doli, jaką dziecięciu swemu przygotowała.

— Panie! — wołała, drżącemi rękoma twarz za-

krywając — jam chciała córkę moję od nędzy ochronić i niedostatku ciężkiego; chciałam, aby wszystkie dary, które tak obficie znalazłaś na nią, zaświećniały na ziemi w oprawie złota i na szczycie widocznego ludzioru stanowiska! Chciałam, aby jęj rozum zadziwiał, dobroć pociągala, zachwycała piękność, aby ojciec jęj, z niebios patrząc na nią, cieszył się, iż dzieciciu jęgo wróconém zostało to miejsce, o którém dla niego marzył! Był-że to grzech, ta moja miłość bez granic, która pragnęła dla jędynego dziecka wszystkiego, co najpiękniejsze na świecie! Był-że to grzech, ta radość moja, gdy m ujrzala, że córki mojęj nie dotknie już nigdy hydra biedy i nędzy?

A głos wewnętrzny, straszny, groźny, jak wyrzut sumienia, odpowiedział:

— Pycha! pycha! pycha! Matko! pychą zgrzeszyłaś!...

— Więc niechaj grzech mój na moję spada głowę! — z jękiem zawołała, padając na klęcznik przed krucyfiks. — O Miłosierny! potęp mnie na wieki, lecz uratuj dziecic moję!...

Chrystus zdawał się na nią patrzeć z litością, ale ona znieść jęgo wzroku nie mogła, i czołem uderzyła o ziemię. Wtedy wydawało się jęj, jakoby z góry i z pod ziemi, przed nią, za nią, wokoło rozlegały się szepty straszne, to groźne, to litośne, to piorunujące, to żałośliwe, a wszystkie powtarzały jęde wyrazy:

— Matko! matko! cóżes uczyniła z twoją córką?

Pomarszczone czoło jęj tarzało się w pyłe, a siwe włosy roztargane okręcały bólem i przestraczem ściśnięte gardło.

Kilka razy służąca, Kazia, znalazła panią swą leżącą w omdleniu przed krucyfiks, ale za każdym razem miała sobie zlecone najzupełniejsze przed panią Grabiną milczenie.

Nic niema wstrętniejszego w naturze ludzkiej, nie na nią zgubniej nie oddziaływa, jak ciemności. Wśród nich wszystko rośnie przed oczyma człowieka w olbrzymie rozmiary; drobniauchna iskierka wydaje się płomieniem, lekki szelest hałasem. Człowiek wołałby widzić najstraszniejsze rzeczy, byleby widzić je oczyma ciała, wyraźnie, a nie domyslać się ich i odgadywać wyobraźnią, tą królową i twórcielką mar ciemności: duchowe straszniejsze są stokroć od fizycznych cieniów.

Widzisz przed sobą nieszczęście straszne, ale wyraźne i nieuniknione, a więc spotkać je możesz hardém czołem i mężném sercem, cierpiąc, ale milcząc, a może i walcząc; ale inaczej jest, gdy nieszczęścia tego nie widzisz, lecz tylko czujesz je w powietrzu, wkoło siebie, zaczajone, chwytające cię za gardło, a nie znasz jęgo kształtu, nie wiesz, z której strony nadchodzi, ani jaką broń masz przeciwko niemu pochwycić, jak ktoś, co czuje gorejący w pobliżu płomień, a nie wie, kędy go ma ominąć; wijesz się w obawie

i ciągłych paroxyzmach walki życia ze śmiercią, i żadna chwila nie jest ci bezpieczną, i wołasz w przerażeniu: — Niech umrę, ale niech wiem, że mam umrzeć!...

W takim stanie ciemności duchowych, stokroć gorszych od jawnego nieszczęścia, była matka Kamilli, przezuwając i domyślając się cierpień córki, nie dowierzając własnym przeczuciom, badając, a nie mogąc nic odkryć, i z przerażeniem czekając chwili, w której z piersi jój najdroższego dziecięcia wydrze się jęk nad śmierć dla niój straszniejszy:

— Matko! jam nieszczęśliwa!...

Matek, które-by dobrowolnie wtrącały dzieci swoje w przepaść zguby, niema na świecie, a jeżeli znajdują się takie, są to potwory, nie istoty ludzkie, o których wspominać nie warto. Ale, jak każde uczucie, tak i macierzyńska miłość różne ma stopnie i odcienie. Niejedna zapewne znalazła-by się matka, która-by w położeniu pani G. westchnęła pobożnie i rzekła do córki: — „Chciałam uczynić jak najlepij, a jeśli zbłądziłam, stało się! masz dziś własny rozum i doświadczenie, radź więc sobie, jak możesz!” — Poczém ze spokojnem sumieniem wiodła-by żywot swój do końca, ograniczając się odmawianiem od czasu do czasu godziniek do Przemienienia Pańskiego, na intencją dziecka swego ze złamaném życiem. Ale pani G. nie do rzędu takich matek należała. Dla niój miłość macierzyńska była najgorętszym uczuciem serca

i najjaśniejszą ideą myśli. Miłość ta była dla niój gwiazdą, oświecającą lata niedoli, zamieniającą ubogi zakąt w miejsce pełne uciech rajszych, zapewniającą jój życie całe troską, nadzieją, radością i trwogą. Kamilla przypominała jój człowieka ukochanego nad życie, w pięknych młodości latach, przywoziła jój na myśl nieskończenie dobrego, który, odbierając jój małżonka, zostawił na pociechę i zapełnienie żywota, jedyne, a piękne ciałem i duszą dziecko.

Pani G. oprócz miłości dla męża, z którym żyła zaledwie lat kilka, nie znała nigdy innego przywiązania. To téż wszystkie żywotne siły jój serca przelały się w miłość dla córki; kochała ona Kamillę namiętnie, bez granic, z ubóztwieniem; przywiązanie to wypełniało jój dni do lat późnych, stało się jedyną nicią, wiążącą ją z ziemią. Jedna mogiła, gdzieś daleko, daleko, w nieznanej krainie, przysypana warstwą śniegu, przykryta ziemią, nie rozmarzającą nigdy, i to dziecko, świadectwo istnienia i pamiątka człowieka, który w owej mogile snem wiecznym spoczywał, oto były całe jój skarby, urny, w które przelały się wszystkie jój łzy, radości, rozpacz i nadzieje. Życie jój całe streściło się w mogile i kolebce. I przyszła chwila, w której zdało się jój, że to dziecko, co było całym jój światem, zgubą jest zagrożone, i głos wewnętrzny, głos sumienia i przestraszonego serca, ścigał ją wciąż pytaniem: — Matko, coś uczyniła z dzieckiem twojem!... — Wyteżała wzrok i słuch, patrzy-

ła, badała i, widząc tylko same ciemne jakieś mary, o których nie wiedziała, czy były urojeniem lub rzeczywistością, wołała w paroxyzmach trwogi najwyższej: — Boże! niech zobaczę to nieszczęście! niech umrę, ale niech zobaczę!...

Nie brakło też głosów niewyraźnych, nie nie objaśniających, a jednak złowrogich, które głębsze jeszcze cienie rzucały w umysł strwożonej matki, nie jej nie ukazując, a jednak zjadliwie szepcząc o nieszczęściu.

Raz naprzykład, Kamilla przysłała jej kosz owoców przez ulubionego sługę swego męża, Michałka. Pani G. była właśnie zajęta pisanem kilku słów do córki, któremi ją wzywała do siebie, gdy ze sąsiedniego pokoju doszedł do niej głos lokaja, mówiącego do Kazi:

— Licha tam szczęśliwa! mojem zdaniem jest, że jabym pannie Kazimirze takiego szczęścia nie życzył!

— Jezu kochany! niechże pan Michał powie mi, co tam takiego się dzieje! — zawołała Kazia.

— At — odpowiedział Michałek — kiedyś mówił, że panna Kazimira jest prawdziwą córką Ewy, to miałem rację; po co tyle ciekawości?

Pani G. zerwała się na równe nogi i przyłożyła ucho drzwi, ale usłyszała już tylko westchnienie Kazi i wraz po niem rozpoczęła rozmowę:

— Budzę pannę Kazimirę!

— W jakim kolorze?

— W zielonym, naszywanym złotem i t. d.

Długo stała jak wryta, nie myśląc o tém, że popętnia postępek niezgodny z jej dumą i prawością, że pierwszy raz w życiu podsłuchiwała pode drzwiami. W myślach jej błąkało się wciąż pytanie: — Czy słuzący mówił o jej córce, nie życząc ukochanej swojej podobnego jej szczęścia? — Całą godzinę przesiedziała nad papierem i, nie nie napisawszy, ustnie rozkazała Michałkowi, aby powiedział swęj pani, żeby nie przyjeżdżała do niej ani dziś, ani jutro. Nie chciała widzieć córki, bo czuła się słabą, do głowy jej biła fala krwi, a w piersi grzmiał głos piorunujący: — Matko, coś uczyniła z dzieckiem twojem?

Innym razem, idąc ulicą, spotkała dwóch nieznanym młodych ludzi. Mijali się z blizka na wąskim chodniku i dosłyszała, jak jeden z nich mówił do drugiego:

— Półki życia nie pójdę do tego niegodziwca! Człowiek wchodzi do niego z pełną kieszenią, a wychodzi goły, jak święty turecki!

Drugi młodzieniec zaśmiał się i odpowiedział:

— Ale zoneczka cud piękności...

Mówił coś dalej, ale pani G. już nie słyszała, bo i przechodnie zbyt się oddalili, i w jej uszach zaszumiało. Nazwisk nie było wymienionych żadnych, a jednak nieokreślone przecucie szepnęło jej, że była mowa o jej zięciu i córce. Poczula w sercu toną-

ce ostrze sztyletu i, nie mogąc iść dalej, weszła do jakiegoś znajomego sklepu i usiadła, aby spocząć, pomysłu i nowych sił nabrać.

Gdy tak siedziała, usłyszała, jak w drugiej sali niewidzący ję starszy sklepowy dyktował drugiemu :

— Do księgi rachunkowej wpisać dług pana Kalexta Graby.

— Ile? — zapytał głos stojącego za wysokim biurkiem człowieka.

Sklepowy wyraził dość znaczną cyfrę.

— Czy przedłużyć kredyt? — zapytał głos z za biura.

— Nie — odrzekł starszy sklepowy — domagać się wypłaty.

— Czy mu nie wierzycie, panie Andrzeju? — zapytał młody, skończywszy zapisywanie.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się starszy ostro, szyderczo — powtarzałem ci już nieraz, Józiu: wierzę w rubla jedyne, wszechmogącego, a takim panom, jak pan Graba, nie wierzę, bo u nich rubel, to jak ten aktor w Operze buffo, na którą chodziliśmy z tobą przeszłej niedzieli, co to Figaro tu, Figaro tam! ha, ha, ha!...

Pani G. ciężkim krokiem wyszła ze sklepu: niczego się nie dowiedziała, a jednak obawy ję wzmacniały się, przecucia, niczem nie rozjaśnione, dorastały

wzrostu cieniów, wlokących się za niewidzialnymi olbrzymami.

Przyszła do mieszkania swego znużona, z bladymi ustami, a zarumienioną od krwi napływającej czołem, i wzrok ję padł na portret męża, zawieszony nad ję łóżkiem, a narysowany ręką Kamilli. Zdawało się ję, że od portretu tego płynął ku nię głos smutny i groźny zarazem, wołający: — Matko, coś uczyniła z dzieckiem twojem?

Upadła na kolana, zakryła twarz rękoma, ale nie zapłakała, tylko pierś ję podniosła się z ciężkością, a usta szeptały: — Boże! niechże ujrzę to nieszczęście! niech umrę, ale ujrzę, jakim jest ono!...

W téj saméj chwili, Kazia wślizgnęła się do pokoju i położyła na stole list, mówiąc z cicha:

— Od pani Grabiny!

Pani G. żywo powstała i wzięła pismo córki. Był to bilecik różowy, woniejący, tchnęła zeń elegancją światowej damy i spokój bogatej kobiety, mającej czas do wystudowania piękna, nawet w sposobie składania papieru.

Kamilla pisała do matki:

„Najdroższa matenka!

„Nie mogę być dziś u ciebie, bo całkiem niespodzianie zaskoczył mnie bal u pani R., na który otrzymałam zaproszenie dziś z rana. Pojmiesz więc, że jestem cała zatopiona w rozważaniu krep, kwiatów i koronek, stosami leżących przede mną. Prawdę

mówiąc, wołała-bym ten wieczór spędzić u ciebie, ale należy się coś i światu, szczególnież ode mnie, której ten świat daje tyle! tyle! A ta poczciwa pani R. tak dla mnie dobra, że nawet nie godziło-by się jęj odmawiać. Występuję więc dziś *dans toute ma gloire*, w owym wieńcu *à la Norma*, który ci się tak podobał onegdaj, gdy ci go pokazywała. Zmów tam, kochana matenka, paciorek na moję intencją, abym sobie dziś w tańcu nogi nie zwichnęła, bo, jakem ci opowiadała, ten biedny pan R. ma słabość do ślizkich posadzek, i ile razy jestem u jego żony, używam wszelkich usiłowań, aby się na nogach utrzymać i nie stracić tęg powagi i pewności postawy, którą, jak słyszałam, ludziska się zachwycają. Jutro po obiedzie przybiegnę do ciebie, aby ci o moich balowych opowiedzieć tryumfach.

„Kalixt całuje twoje ręce, a ja ręce i stopy.
Twoja wypieszczona Kamilla”.

Pani G. dwa razy list przeczytała, potem długo zamysłona trzymała go w ręku, i nakoniec rzekła do siebie :

— Czyliż nieszczęśliwa kobieta może tak pisać?

Tego wieczora położyła się znów do snu znacznie spokojniejsza, ale nazajutrz, gdy się tylko obudziła, zabrzmiął w jęj uchu głos spotkanego wczoraj młodzieńca, mówiącego :

— Nie pójdę już nigdy do tego niegodziwca!..

Nie miała najmniejszych danych do sądzenia, że mowa to była o jęj zięciu, a jednak głos jakiś niewytłomaczony mówił jęj uparcie, że tak było.

Przeczytała wczorajszy, tak wesoly, swawolny niemal, list córki, i szepnęła :

— Biedne dziecię! może nie wie, że tańczy na pogrzebie swego szczęścia!

Piers jęj podniosła się łkaniem, ale oczy nie zasły łzami, tylko falą krwi się zaćmiły.

To ciągle pasowanie się z marą niepochwytą, grożącą z cieniu, niewidomych kształtów, te nieustanne przechodzenia z trwogi do spokoju i z uspokojenia w obawy, zużywały siły staręj kobiety, i tak już nadwątłone niedawną gwałtowną chorobą. Twarz jęj zapadła, na czole przybyło mnóstwo zmarszczek, postawa, niedawno dumna i wyprostowana, zgarbiła się, jakby pod tłoczącym naciskiem tęg mary, której lękała się, a którą jednak pochwycić pragnęła. Kamilla patrzyła na zmianę, zaszła w matce, z niezmierném przerażeniem; ale tak była pewną, że doskonale odgrywa rolę szczęśliwęj kobiety, tak starannie usuwała od matki wszystko, coby ją o prawdzie oświecić mogło, że ani domyśliła się prawdziwego źródła nagłego podupadnięcia jęj na siłach i zdrowiu. Przyписыwała je wciąż chorobie, przywoziła najdoskonalszych w mieście lekarzy, otaczała matkę mnóstwem drobnych przyjemności i wygódek, i miała nadzieję, że spoczynek, starania i czas powrócą jęj zdrowie.

Była to jedyna jęj nadzieja.

Pewnego dnia jednak pani G., wstrząśniona znowu jakimś z dala dosłyszaniem o zięciu słowem, spostrzegłszy pośepny blask, który błyskawicznie przebiegł w oczach jęj córki, gdy spojrzała na męża, powiedziała sobie:

— Tak długo być nie może! muszę się dowiedzieć o wszystkim. Zamieszkam u nich parę tygodni, a jeśli przez ten czas niczego się nie dowiem, i na dłużej!..

Nazajutrz po wzięciu tego postanowienia, oznajmiła je córce.

Kamilla przyjęła wieść tę z objawem radości, ale gdy, śpiesznie wyszedłszy, pod pozorem potrzeby urządzenia pokoju dla matki, wsiadła do karety, na twarz jęj, pobladłą śmiertelnie, wybił się wyraz wielkiego niepokoju.

Było to w parę tygodni po rozmowie poufnęj Kamilli z Celiną Klońską, a w miesiąc przeszło po tém, jak odmówiła ona stanowczo mężowi złożenia wizyty pani marszałkowej X., w celu zwabienia do swego domu młodych marszałkowiczów.

Dzień był kwietniowy, pogodny. Kamilla krzątała się po swém mieszkaniu, urządzając pokój dla matki, najbardziej oddalony od salonów, w których mąż jęj przyjmował gości, oddzielony jednym niewielkim pokojem od budoaru, w którym siadywała najczęścięj.

Około obiadu nadszedł pan Graba.

— Cóż znaczy to *remue-ménage*, kochana żono? — zapytał, spoglądając na lokajów, ustawiających meble i zawieszających firanki w pokoju, służącym dotąd za garderobę.

— Matka moja mieszkać tu będzie przez parę tygodni — odrzekła Kamilla, przenikliwie i znacząco patrząc na męża.

— A! — rzekł Graba — nie nie mam przeciw temu.

I chciał odejść.

Ale Kamilla go zatrzymała.

— Słuchaj — rzekła — to nie dosyć, że nic nie masz przeciw temu, ale trzeba, aby przez te dwa tygodnie dom twój wyglądał na dom pocziwego człowieka. Rozumiesz mnie?...

Graba się zaśmiał.

— Czy chcesz, kochana żono — odrzekł — abym w czterech rogach bawialnego salonu postawił posągi czterech Ewangelistów, a na obiady zaprosił cały konwent ojców Bernardynów? Przyznaj sama, że było-by to trochę nudne dla tak światowych, jak my, ludzi!

W oczach Kamilli błysnęła energia.

— Kalixcie! — zawołała — gdy idzie o matkę moję, nie żartuj! nie żartuj z jęj życia i spokoju, bo na jęj głowę, na tę ostatnią nić mojego serca, której

nie zerwałeś jeszcze, przysięgam, że spełnię groźbę moję! powiem wszystkim wszystko!...

Kalixt odstąpił kilka kroków i, z zachwyceniem przypatrując się żonie, wyciągnął ku niej ramiona i zanucił:

— Śliczna jesteś! cudowna jesteś! oto pierwsza zwrotka!

A potem dodał z uśmiechem:

— Nigdy nie jesteś tak piękną, jak wtedy, gdy się gniewasz!...

Kamilla zmierzyła go wzrokiem pogardy i ozwała się powoli i wyraźnie:

— Przez cały ciąg pobytu mojej matki w domu twoim, ma tu być cicho i porządkie, jak w każdym domu uczciwego człowieka. Gości ja sama wybierać i zapraszać będę, a ty pójdziesz grać w karty gdzieindziej. Pierwszy otworzony zielonik stolik tu, w obecności mojej matki, otworzy mi usta. Nieszczęście moje będzie wysoką wieżą, na której stanę i zawołam do ludzi: — Chodźcie i patrzcie na tego człowieka, jakim jest; zdejmuję z niego zasłonę!

Graba, klaszcząc w ręce, zawołał:

— Brawo! brawo! bravissimo! O, moja ty Ristori! moje ty dziecko zachwycającej naiwności! za kogoż mnie masz, jeśli sądzisz, że pogrożek twych mogę się lękać i paraliżować sobie dla nich moje interesa!

Mówił to ze śmiechem i szyderstwem, ale nie mógł

pokryć niepokoju, który co chwila nerwowo wstrząsał jego ustami i okiem.

— Pogrożek moich lękaasz się — rzekła ze stanowczym spokojem Kamilla — a bojaźni tej nie ukryjesz przede mną, bo nauczyłam się już, niestety, patrzeć w czarną głębią twoich myśli. Wiész, czego się masz spodziewać ode mnie... Strzeż się! bo, gdy idzie o matkę moję, jestem nie kobietą, ale drapieżną lwicą.

— Ha, tego już nadto! — zawołał Graba, któremu oczy zapalały złością. — Nie dość, że ci przyjmuję matkę twoję do mego domu, że dotąd, przez miłość dla twych pięknych oczu, grałem przed nią rolę cnotliwego Katona i czulego Petrarki? Mam-że jeszcze, przez wzgląd na jakąś starą i obcą kobietę, uczynić z domu mego siedlisko Anachorety i odstręczać od siebie ludzi, którzy mi są potrzebni? Tego nie spodziewaj się bynajmniej ode mnie, moja ty piękna królowo, którą uszczęśliwiłem moją ręką! Rób tam ze swoją matką, co ci się będzie podobało, sprowadzaj ją tu, czy nie sprowadzaj, kłam przed nią, czy mów prawdę, to mi wszystko jedno! ale mnie nie zaczepiaj, bo na różne choroby są różne sposoby, mówi przysłówie, a ja nie wszystko ci jeszcze pokazałem, co umiem...

Rzekłszy to, wyszedł, pogwizdując, z budoaru, i zaczął wołać na służbę, aby obiad podawała.

Kamilla, zostawszy sama, stała, jak przykuta do

miejsca, oczy jęj paliły się gniewem, nienawiścią. Zakryła twarz rękoma i szepnęła z najwyższą trwogą:

— Boże wielki! cóż się stanie? co się stanie?

Tego samego wieczoru, pani G. przyjechała do domu córki, która z wypogodzoną twarzą spotkała ją i zaprowadziła do małego, ślicznego pokoju, pełnego kwiatów i książek, ocienionego zielonemi frankami u okien, zaślanego miękkim dywanem.

Pana Graby w domu nie było.

Pani G., obejrzawszy przeznaczony dla nięj pokój, wsparta na rękę córki, zaczęła przechadzać się po całym mieszkaniu.

W cichych obszernych salonach paliły się lampy, przyćmione misternie wyrabianemi umbrami, na stołach pięknie oprawne albumy lśniły stalą i srebrem, i rzucone gdzieśniedzie dzienniki wabiły drukowaném echem z odległych światów. Fortepian milczący stał otwarty, błyszcząc także pozłotą bronzów, a z przedpokoju dolatywały niekiedy gwarne, choć tłumione, głosy służby i dźwięk srebra, którem zastawiano stół w przymkniętej sali jadalnej. Pani G. patrzyła wkoło siebie zamyślona, wzrok jęj przechodził od złoconych szlaczków obicia, obiegających ściany pod sufitem, do mebli międko wysłanych i ślizkich kwadratów posadzki. Czoło jęj było zmarszczone i zaciśnięte usta. Spojrzała na córkę. Kamilla szła obok matki, patrząc na nią, usta jęj uśmiechały się, ale w oczach paliła się gorączka bóleści i obawy.

— Czegoś ty taka blada, Kamillo? — zawołała pani G.

Kamilla zadrżała lekko.

— Jam blada? — powtórzyła spokojnym głosem — może dlatego, że mnie dziś głowa boli.

Pani G. stanęła i patrzyła na nią długo, badawczo; nagle wyciągnęła ku nięj ręce i zawołała:

— Dziecko moje! ty coś ukrywasz przede mną!

Głuchy jęk wydarł się z piersi Kamilli, ale w mgnieniu oka odzyskała całą przytomność i wolę, ujęła rękę matki, a niosąc ją do ust, odrzekła dziwnie spokojnie:

— Zkąd ci tak złe myśli o mnie, matko!

— Ja mam przecucia, smutne jakieś mam przecucia!

— O! więc mylą cię one, matko.

— I nic nie masz mi do powiedzenia innego, jak to, co mi mówisz zawsze, to jest, żeś szczęśliwa? — pytała z naleganiem pani G.

Kamilla spuściła głowę i błyskawicznie szybki rumieniec lica jęj oblał, ale podniosła prędko twarz znowu spokojną, i rzekła żywo i z wysileniem:

— Nic, o nic, moja matko, zupełnie nic, oprócz tego, że... szczęśliwa!...

W tęg chwili do salonu, w którym rozmawiały dwie kobiety, wszedł pan Graba.

— Nic niema piękniejszego na świecie! — zawołał od progu — jak widok was obu, moje miłe panie,

gdy jesteście razem. Gdybym był Rafaelem, lub Michałem Aniołem, malował-bym z was grupę, ale ponieważ jestem, niestety, prostym śmiertelnikiem, mogę tylko was kochać, jeśli na to pozwalacie!

Mówiąc to, zbliżył się ze swobodą i powitał obie kobiety pocałowaniem w rękę. Kamilla położyła dłoń na jego ramieniu i podała mu czoło do pocałowania. Zdziwienie odmalowało się na twarzy Kalixta, ale, spojrzawszy na panią G., uczynił głową taki znak, jakby się domyślił wszystkiego i długim pocałunkiem okrył czoło i usta żony. W czasie téj krótkiej, tak czulej na pozór sceny, obojga ich twarze zbladły strasznie: oczy Kalixta zapalały i wargi jego zadrżały namiętnością — usta Kamilli zsiniały i zacisnęły się, jak pod poczuciem śmiertelnego bólu i wstrętu. Ale ta gra dwóch twarzy szybko minęła, i nie spostrzegła jej pani G., bo poprawiła swoje błękitne okulary, co było u niej zawsze oznaką zadowolenia, a przytém zasłona, przykrywająca lampę, rzuciła cień na grupę całujących się małżonków.

Po chwili Kamilla wyszła, a Kalixt, usiadłszy na przeciw pani G., zaczął z nią prowadzić dowcipną i ożywioną konwersacyą.

Staruszka co chwila poprawiała okulary, uśmiechała się i z widoczną przychylnością patrzyła na zięcia. Przez głowę przebiegała jej myśl:

— Niema nic nedorzeczniejszego, jak trwożyć się na niczém nieopartemi przeczuciami! Gdzież to

niebezpieczeństwo, które mnie niepokoi? nie widzę go.

Tego samego wieczoru, kiedy pani G. udała się już na spoczynek i oboje małżonkowie sam na sam znaleźli się w salonie, Kalixt ozwał się do Kamilli z głębi fotelu, w którym siedział rozparty:

— Kochana żono! zgadzam się z chęcią na jak najdłuższy pobyt w domu naszym twojej matki, jeśli mi za to płacić będziesz codziennie takim dobrowolnym serdecznym uściskiem, jakim mnie dziś, dzięki jej obecności, obdarzyłaś.

Z rąk Kamilli wypadł dziennik, na który machinalnie patrzyła, szybko i w milczeniu zbliżyła się do męża, stanęła przed nim i składając ręce, wyszepnęła śpiesznie i szybko:

— Kalixcie! niema ofiary, której-bym nie uczyniła dla zdrowia i spokoju matki mojej! Rób ze mną, co ci się podoba, ale oszczędzaj jej. Niech wyjdzie z twego domu, upewniona o szczęściu mojem, niech nie widzi i nie słyszy tego, co ja widzę i słyszę tak często!...

Graba zaśmiał się, wypuścił z ust kłęb dymu cygarowego i nie odpowiedział. Na twarzy jego zarało tylko szyderstwo, połączone z gniewem.

Kamilla patrzyła na niego długo, ręce jej rozploty się i osunęły między fałdy sukni, głowa znów poniosła się hardo.

— Powiedz mi — rzekła — czy jest w tobie choć odrobina serca ?...

— Pytanie to, kochana moja — odpowiedział Kalixt — dowodzi, żeś nigdy nie studyowała fizjologii. Serce jest centralnym punktem organizmu ludzkiego, i gdyby ono jakkolwiek nadwreżoném było u mnie, nie żył-bym, albo przynajmniej był-bym chory. Mam serce, moja najdroższa, całe i zdrowe; uściśnij mnie, a przekonasz się, jak silnie ono bije dla ciebie...

Kamilla nie odpowiedziała, zwróciła się powoli, przeszła przez salon i zniknęła za drzwiami budoaru.

Kalixt ścigał ją wzrokiem w pół gniewnym, w pół namiętnym, a gdy wyszła, rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Harda istota! Zobaczmy, kto z nas przed kim się ugnie!

X.

Tydzień upłynął od przybycia pani G. do domu córki. Przez ten czas nic nie zaszło takiego, co-by mogło matce Kamilli jakiegokolwiek złowrogie nasuwać uwagi. Wprawdzie pan Graba rzadko był obecny w domu: ale Kamilla wymawiała go interesami i obowiązkami towarzyskimi, a pani G., przypominając sobie z dawna znane obyczaje światowego życia, wcale nie dziwiła się tej częstej nieobecności zięcia. Zresztą, poważne lub światowe kobiety odwiedzały Kamillę, ona sama codziennie prawie wyjeżdżała dla oddania kilku wizyt; raz kilkanaście zaproszonych osób, kobiet i mężczyzn, zjechało się na obiad, po którym do późna grano, śpiewano i bawiono się ożywioną, podsycaną przez dowcipnego gospodarza do mu rozmową, a wszystko to było tak naturalne, tak przyzwoite i światowe, że pani G., pilnie przypatrując się i badając, nic nie znalazła do zarzucenia temu, co wkoło niej się działo. Pewnego dnia jednak po-

czuła się trochę słabą, i na usilne prośby Kamilli zgodziła się przez dzień cały nie opuszczać swego pokoju. Słabość ta była zresztą lekką i niezastraszającą, prosty ból głowy, któremu ulegała często od ostatniej swojej choroby.

Dzień był pochmurny; w poobiedniej porze lekki zmrok panował w salonie, w którym Kamilla sama jedna siedziała pod oknem, z książką w ręku.

Lokaj oznajmił wizytę panny Ryty Słabeckiej. Kamilla, ze zwyczajną sobie obojętnością, powstała na spotkanie przybywającej.

— Przyszłam pożegnać cię — rzekła Ryta, podając jej rękę — za parę dni wyjeżdżamy na wieś.

— Na długo?

— Mama chce wrócić w jesieni.

Usiadły obok siebie i milczały przez chwilę.

— Zanim odjadę — ozwała się Ryta — chcę ci wypowiedzieć, co mam na sercu.

— Mów — odrzekła obojętnie Kamilla.

— Znamy się od dzieciństwa — mówiła Ryta — pamiętasz zapewne te miłe lata dziecińne, któreśmy razem przepędziły na pensyi.

— Pamiętam — odpowiedziała młoda kobieta, ale w głosie jej nie zadrgało żadne rzewniejsze uczucie.

— Pamiętasz zapewne i to, żeśmy się niegdyś przyjaciółkami zwały?

— Tak.

Ryta patrzyła na nią uważnie.

— Dlaczegoż odebrałaś mi przyjaźń swoją? — zapytała po chwili z cicha, ujmując jej rękę.

Kamilla żywo ją usunęła, dziwny uśmiech przebiegł po jej ustach.

— Ja nie mam prawa być niczyją przyjaciółką — odrzekła z wolna.

— Przez całą zimę spotykając cię, często widziałam, że nie chcesz być moją, a źle czyniłaś, bo nieszczęśliwi powinni sobie ręce podawać.

— Tyś nieszczęśliwa? — zapytała Kamilla ze zdziwieniem.

— Tak — odparła Ryta spokojnie — i tobie pierwszj to mówię, bo wiem, żeś jeszcze nieszczęśliwsza ode mnie. A jednak, możebyśmy mogły dopomódz sobie wzajemnie.

— Ani mnie nikt, ani ja nikomu dopomódz nie mogę... — z wolna wyrzekła Kamilla.

I po raz pierwszy od lat dziecięcych ujęła obie ręce Ryty.

— Posłuchaj, Ryto — mówiła dalej — mojenieszczęście jest tak głębokie, jak otchłań, a tak milczące być powinno, jak grób. Biada tym, którzy przestępują próg domu, w którym mieszkam, a więc i tym, którzy zbliżają się do mnie. Rozkazałam milczeć sercu memu i twarzy mej być zimną, jak marmur, aby nic we mnie nie pociągało nikogo. Przyjaźni wzbroniłam sobie jak grzechu, bo nie chciałam być do-

browolnie posługującym narzędziem w ręku tego, który przyjął na siebie rolę szatana kusiciela na ziemi. Więc nie szukaj we mnie serca i nie prosz o związek serdeczny, a jeśli mogę w czémkolwiek uczynić co dobrze, mów, ale wiédz z góry, że prosisz o pomoc nie już téj, która tonie, ale téj, która... utonęła.

— Kamillo! Kamillo! — rzekła Ryta, tuląc jéj ręce w swoich — o, jak niezbadane są losu wyroki! Któż-by przepowiedział nam wtedy, gdy dziećmi igralśmy razem w swobodzie, rojąc przyszłość złotą dla siebie, że znajdziemy się kiedyś... wkrótce... obie dotknięte ciężką boleścią, obie rozczarowane do świata, który ukazywał się nam niedawno, jako kraina wszelkich radości!

Kamilla pochyliła głowę i nie odbierała rąk z uścisku przyjaciółki dzieciństwa.

— Czy pamiętasz — mówiła dalej Ryta głosem, w którym zwykła energia jéj łączyła się z rozrzewnieniem — czy pamiętasz tę altanę, uplecioną z głogu i bluszczu w ogrodzie pani D., w której lubiałyśmy siadywać razem, uściśnięte, z oczyma utkwionemi w niebo błękitne, przeglądające z za zielonéj gęstwiny? Czy pamiętasz, jakeśmy wtedy opowiadały sobie wzajem dziecinne, a potem dziewicze marzenia swoje! tyś kochała nad życie matkę swoją, ja brata, i mówiłyśmy o tych drogich nam istotach, i snułyśmy dla nich całe pasmo życzeń... pragnień! Czy pamię-

tasz, jak nad naszymi głowami przelatywały niekiedy dwie jaskółki, a myśmy je porównywały do siebie; wskazując jedną z nich, mówiłaś: — To ty, Ryto! — a ja, patrząc na drugą, mówiłam: — To ty, Kamillo! — Jaskółki leciały wysoko, myśmy je wzrokiem ściagały, a potem zrywałyśmy różowy kwiat głogu i plotłyśmy z niego wieńce do ołtarza Matki Bożkiej, przed którym modliłyśmy się rano i w wieczór. Czy pamiętasz to wszystko, Kamillo?

— Pamiętam — szeptem odrzekła Kamilla, a głos jéj zdrzął i zwilgotniały oczy.

— Te lata dziecięce, te lata dziewicze, były jurzenką naszego życia; zaraz po niéj przyszły boleści. Kamillo, ty cierpisz, ale i jam nieszczęśliwa; czy wierzysz mi?...

— Wierzę — odszepnęła Kamilla, i jedna duża łza potoczyła się po jéj twarzy.

Podniosła rękę i otarła ją, jakby ze zdziwieniem.

— Ja płaczę! — rzekła stłumionym głosem — to dziwne! Od pierwszego poranku, który nastąpił po ślubie moim, nie płakałam ani razu; chciałam płakać niekiedy, lecz nie mogłam. Łzy zgorzały w mojej piersi od ognia rozpacz i, zmienione w lawę gorącą, paliły mnie tylko, a nigdy nie ochłodziły mi oczu. Ryto! pociś mi wywołała tę łzę? Jam płakać nie powinna.

— I ja nie płaczę nigdy — odpowiedziała Ryta — jednak, kto-by spojrzał w serce moje, smutne-by

tam zobaczył rzeczy. Historya cierpień moich krótka. Kiedym z pensyi w świat wyszła, zobaczyłam wkoło siebie same wstętne naturze mojej i przekonaniom moim żywiły. Długo o tém mówić nie mogę i nie powinnam; domyśl się sama... Dla serca prawego niema większego cierpienia, jak, jeśli ono zmuszoném jest gardzić tém, co czcić powinno. Wyjechałam z matką za granicę, zostawiłam tu brata. Przez dwa lata oddalenia marzyłam o nim i dla niego tysiące pięknych rzeczy. Chciałam go widzieć nietylko zawnym i prawym człowiekiem, ale sniłam w nim bohatera. Te marzenia i pragnienia moje spotęgowały jeszcze przywiązanie, jakie mnie z nim od kolebki łączyło. Wróciłam do kraju i zobaczyłam—cóż? ty wiesz Kamillo, patrzysz na życie Tozia. Najlepsze skłonności, najpiękniejsze zdolności jego—zmarnowane, fizyczne i moralne siły—zwałtowane, zaledwie słaba iskierka życia w nim tleje. A wszystko to czyjś jest dziełem? tych właśnie, których imię świętością być dla mnie powinno, a którzy jednak winni są zguby mojego brata. Kiedy patrzę na niego, cierpię strasznie; kiedy patrzę na matkę naszą, cierpię straszniej jeszcze!

Ostatnie słowa Ryta wymówiła bardzo cicho, jakby dla siebie i swego sumienia.

Po chwili mówiła dalej:

— Mówię ci to, Kamillo, aby widokiem mojej boleści rozbudzić w tobie serce, które sądziłam, że usnę-

ło wśród własnych cierpień. Wszakże jesteś żoną człowieka, który dziś najbardziej pociąga do zguby mojego brata; bez niego, może-by on już zszedł z fatalnej drogi, na którą popchnęło go złe wychowanie. Błagam cię w imię miłości twój dla matki, przez wspomnienie wspólnie spędzonych ze mną lat dziecinnych, uczyn cokolwiek, aby zerwać stosunek męża twego z moim bratem

Umilkła i patrzyła na Kamillę z prośbą i czułością.

Twarz żony pana Graby pokrył wyraz strasznej boleści.

— Niedawno, nieszczęśliwa żona błagała mnie o to samo, dziś błaga siostra! — szepnęła do siebie posępnie i schyliła nisko głowę pod wielkim ciężarem upokorzenia, jakiego doświadczyć musiała.

Po chwili opuściła ręce i wyrzekła z mocą:

— Ryto, ja nic uczynić nie mogę!

Wpatrzyła się w przyjaciółkę wzrokiem pełnym niepokoju i zawołała rozpacznie:

— Ty mi nie wierzysz!

Ryta objęła ją z dobrocią i pociągnęła ku sobie.

— O, wierzę, wierzę ci, nieszczęśliwa! — rzekła — znałam cię przecież, gdyś była czystą, jak anioł, i dobrą jak anioł, i wiem, że gdybyś mogła, ratowała-byś tych, którzy giną wobec ciebie. Ale powiedz mi, powiedz mi, Kamillo, dlaczego żyjesz z tym potworem? dlaczego nie opuścisz go i nie otrzą-

śniesz ze stóp swych nawet prochu, zabranego z jego mieszkania?

Kamilla wyciągnęła rękę w kierunku swego budoaru i rzekła cicho, pośpiesznie:

— Tam, tam, Ryto, jest istota, dla której przeniosła-bym piekielne męczarnie... Matka moja! ona o niczym nie wie... gdyby się dowiedziała, umarła by z rozpaczy... więc milczę, jak grób, i milcząć będę, dopóki sama nie pójde do grobu... oby prędzej, o Boże!

Zakryła oczy obu rękoma i drżała całym ciałem.

— Bądź zdrowa — rzekła Ryta, powstając. — Jeśli będziesz mogła uczynić cokolwiek dla brata mego, ostrzedz go słowem jakimś, spojrzeniem, uczyn to, i niech ci Bóg dopomoże dźwigać ciężki krzyż!

— Wszak brat twój musi odjeżdżać z wami na wieś? — zapytała Kamilla, podnosząc głowę.

— Tak, ale wieś nasza zaledwie o kilka mil ztąd jest oddalona, będzie więc tu przyjeżdżał, bo złe nałogi kuszą człowieka, kuszą z piekielną potęgą. Zresztą, wrócimy jesienią do miasta; matka moja nie zniesie długo ciszy wiejskiej. Dziś nawet brat mój jest zaproszony przez twego męża na wieczór.

— Na wieczór? — zawołała Kamilla, zrywając się z siedzenia — dokąd?

— Naturalnie do jego, a więc i do twego domu.

— Jakto? dziś ma być tu wieczór! wtedy, gdy matka moja chora?

— Biedna! więc ty nie wiesz! Ja wiem wszystko i powiem ci, bo Tozio opowiedział mi rzecz całą. Mąż twój długo starał się o znajomość z młodymi synami marszałkowej X., ale są to jeszcze dzieci prawie, dzieci zresztą łagodne i niezmiernie przywiązane do matki, tak, że ich dotąd pochwycić nie zdołał. Dziś dopiero pierwszy raz przyrzekli mu oni być u niego wieczorem, więc, dla lepszego zabawienia ich, sprosił całe grono tutejszej bawiącej się młodzieży i rozstawił przed nimi zapewne kilka zielonych stołów i bogaty w butelki bufet.

Kamilla słuchała blada i drżąca. Wiedziała ona dobrze, co znaczą takie wieczory, wydawane przez jej męża. W uszach jej brzmiał już hałas nieopisany, dźwięk szkła i ochryple wołania graczy. A tam... tam za ścianą, leżała jej matka, która ją spyta zapewne, co znaczy to hulaszce towarzystwo, zebrane w domu, w którym są kobiety, i jedna z nich, stara matka, chora.

Kamilla podniosła obie ręce do czoła; chwila straszna, chwila odkrycia, w której miała się rozstrzygnąć sprawa życia lub śmierci jej matki, stawała przed nią nagle, niespodziewanie, tuż, tuż, tak blisko!

— Bądź zdrowa — powtórzyła Ryta, odciągając jej ręce od twarzy i ściskając je w swoich — żałuję

cię i kocham. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała jakiej pomocy, rady, lub choćby słowa pociechy, pomyśl o mnie i rachuj na mnie.

To rzekłszy, odeszła powoli. Kamilla została na miejscu, jak przykuta.

Ryta zwróciła się raz jeszcze do niej od progu i wyrzekła:

— Kamillo, jeśli będziesz kiedy potrzebowała jakiej pomocy, pamiętaj o mnie.

W godzinę po tej rozmowie, zmierzchało. Lokaje poczęli krzątać się po salonach, wnosząc światła, zapalając kinkiety; brzęk srebra i przygotowywanych naczyń dolatywał z przedpokoju do ucha Kamilli, siedzącej nieruchomie u okna, na tém samém miejscu, na którém zostawiła ją Ryta. Podniosła głowę, i blask zapalonych wokoło światel przykro jęj wzrok uderzył.

— Józefie — ozwała się do lokaja, najbliżej stojącego i zajętego porządkowaniem wazonów, stojących na etażerze — czy mąż mój dał ci dziś, jak zwykle, listę zaproszonych gości?

— Tak, jasnie pani — odrzekł kamerdyner, prostując się z uszanowaniem.

— Pokaż mi ją.

Służący wydobyl z kieszeni fraka ćwiartkę cienkiego papieru i podał ją Kamilli.

Rzuciła na nią okiem. Na czele stały nazwiska obu młodych marszałkowiczów X., dalej nastę-

poważo jeszcze kilkanaście imion, obok ostatniego stała cyfra 20.

Dwudziestu mężczyzn miało się bawić tego wieczora w jęj domu.

— Czy jasnie pani ma co do rozkazania? — zapytał służący.

— Nie — odpowiedziała Kamilla; oddała papier, i powstawszy z wolna, poszła do pokoju matki.

Przyćmione światło lampy słabo oświetlało głęboki fotel, na którym spoczywała pani G. Głowa jęj, oparta o tylną poręcz, pochylała się na ramię w uspieniu; oczy miała zamknięte, a blada twarz, na której wiek i troski wyryły głębokie bruzdy, wybitnie rysowała się wśród tła ciemnego atłasu poduszki. Białe i wychudłe jęj ręce złożone były na piersi, podnosząc jęj słabym, zaledwie widocznym, oddechem.

Kamilla, na palcach przeszedłszy przez pokój, stanęła naprzeciw matki i wpatrzyła się w jęj uspięne rysy. Stała tak długo; wyraz niewypowiedzianej czułości rozświecił jęj twarz, zwykle surową, ręce podniosły się z wolna i złożyły jak do modlitwy, usta poruszały się cichym, niedosłyszonym szeptem.

Nagle, z najbliższego salonu rozległ się donośny, rozkazujący głos Graby:

— Czy wszystko gotowe?

Odpowiedź służących cichszym ozwała się gwarem.

— Więcej światła do jadalnej sali! — zabrzmiał

znowu głos pana domu. — Od Borela przyniesiono wszystko, com przynieść rozkazał?

Kamilla zadrżała; na twarzy jej drgnął niewysłowiony wyraz obawy i, żywo zwróciwszy się, wyszła z pokoju matki, starannie za sobą drzwi zamykając.

Przebiegła raczej, niż przeszła przez pokój, poprzędzający budoar i, drugie drzwi zamknawszy, oko w oko spotkała się z mężem, który stał na środku budoaru.

— Urządzą ci niespodziankę, kochana żono... — zaczął Kalixt.

Ale Kamilla nie dała mu dokończyć. Śpiesznym, gorączkowym krokiem podeszła ku niemu i, składając ręce, rzekła półgłosem:

— Kalixcie! na miłość Boga! Matka moja dziś chora...

— Doprawdy? — odparł Graba obojętnie, poprawiając zwieszające się nad zwierciadłem gałęzie bluszczowe — musi to być chyba lekka słabość, kiedy pierwszy raz o niej się dowiaduję.

— Tak, lekka dotąd, dzięki Bogu — mówiła Kamilla — prosty ból głowy tylko, ale może się w inną zamienić, jeśli... jeśli...

— Jeśli co?

— Jeśli nie zmienisz planów swoich na dzisiejszy wieczór.

Kalixt zwrócił się do niej żywo, ze zdziwieniem spojrzał w jej twarz i zapytał:

— W jakiż sposób mam, wedle ciebie, zmienić te plany?

— Wszak jeśli zejdą się zaproszeni przez ciebie goście, całą noc trwać będzie wrzawa i hałas, będziecie grać w karty i bawić się po swojemu, matka moja wszystko posłyszysz, wszystkiego się domyśli...

— Więc cóż z tego? — najobojętniej zapytał Graba.

Na twarzy Kamilli widoczna była walka dumy i nienawiści z pragnącą nad niemi zapanować wolą.

— Kalixcie — rzekła znowu łagodnie — ty wiesz, jak dziwnymi są te towarzystwa, jakie niekiedy zbierasz u siebie... o ileż obecność towarzystwa takiego dziwniejszą jeszcze będzie wtedy, gdy w domu twoim słaba i zmęczona jest stara kobieta... matka twojej żony...

— Po raz drugi zapytuję się: cóż ztąd? — niecierpliwie zagadnął Kalixt.

— Cóż ztąd? — odpowiedziała Kamilla, hamując się z całej mocy — pytasz: cóż ztąd? ależ matka moja zapyta mnie, co znaczą te hałasy, co znaczy ta zabawa, o której ja, żona twoja, gospodyni domu, nie nie wiedziałam? co jej na to odpowiem?

— Co sama zechcesz; ja się w to nie wdaję. Jestem panem w moim domu, a jeśli to, co czynię, nie podoba się matce twojej, może wrócić do siebie.

Wtęj chwili za drzwiami pokoju, przedzielające-

go budoar od sypialni pani G., dał się słyszeć lekki szelest.

Kamilla drgnęła i obejrzała się; ale widząc drzwi zamknięte, zwróciła się znowu do męża.

— Czy ty nie masz ani trochę litości, ani trochę sumienia, Kalixcie? — rzekła. — Czy ci nie dość tego, żeś złamał, zniweczył na zawsze życie moje? czy chcesz jeszcze odebrać mi tę jedyną miłość moją, to jedyne moje szczęście na ziemi? czy chcesz zabić moją matkę?

— Za kogoż mnie bierzesz, piękna tragiczko? — zaśmiał się Kalixt. — O ile przypominam sobie, miałem już zaszczyt powiedzieć ci raz, że nie jestem żadnym, ukrywającym się pod przybranym mianem, rozbójnikiem. Ja miałbym zamiar zabijać kogo? a to mi na co? Wyobraźnia twoja przedstawia mnie sobie w zbyt czarnych kolorach!

— O, nie szydź, błagam ciebie, nie szydź teraz! — zawołała Kamilla, a pierś jej podniosła się łkaniem gwałtownym — wszak szyderstwo twoje znoszę zawsze w milczeniu i znoś je całe życie będę muszę... dla miłości mojej matki. Ale teraz, w tej chwili... miej litość! oszczędź tej, która o kilka kroków stąd śpi spokojnie, marząc zapewne o tém, że córka jej jest szczęśliwa, a gdy obudzi się, zobaczy cały ogrom nieszczęścia mego i swego, jeśli nie zapobiegiesz temu!...

— Więc czegoż chcesz nakoniec? — zawołał Graba z niecierpliwością.

— Proszę cię, zaklinam, abys zaniechał dzisiejszego wieczoru, abys odprosił na inny dzień wesółych twych gości...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Graba szyderczo, przerywając — śmieszna jesteś, doprawdy! Czyż możesz na seryo przypuścić, abym ja dla twego kaprysu, dla twojej fantazyi, opuszczał zręczność, na którą tak dawno czekałem, odmawiał przyjęcia marszałkowi X., od których z takim trudem wymogłem słowo, że będą dziś u mnie?

— O, nie wymkną się oni tobie! — przerwała Kamilla — pochwycisz ich potem, zrobisz z nimi, co ci się podoba, bo szatańska moc jakaś pomagać ci musi w tej walce ze wszystkiém, co świeże i młode. Wszak i ja broniłam się tobie długo, a jednak pochwyciłeś mnie; stanie się tak i z temi dziećmi, dla których dzień, w którym tu wejda, będzie może pierwszym dniem zguby... ale wszak możesz kilka dni poczekać... za kilka dni matka moja wyjedzie stąd... a wtedy sprowadzisz ich tu, wpłatasz w fatalne koło i będziesz ich wysysał, jak pajak muchy, uwięzione w pajęczynie...

— Tracisz przytomność, Kamillo — rzekł Graba — mówisz to, o czém ci wspominać zakazałem... radzę ci wypić szklanekę zimnej wody i pójść czytać wyjątki z Pisma Świętego matce, a mnie zostawić

moim zabawom, które ci dają salony, powozy i axamitne suknie.

To rzekłszy, chciał wyjść; jednocześnie za zamkniętymi drzwiami dał się znowu słyszeć lekki szelest. Ale nie dosłyszała go już Kamilla; poskoczyła naprzeciw mężowi i zastąpiła mu drogę. Pierś jej pracowała gwałtownie, po twarzy toczyły się dwa strumienie łez.

— Kalixcie! — zawołała stłumionym głosem — patrz, ja płaczę, wszak nie widziałeś mnie nigdy płaczącą... ja proszę ciebie, a dotąd nigdy cię nie prosiłam. Do łez nad sobą i do prośby za siebie nie zniżyłam się nigdy, ale teraz idzie o życie mojej matki... Kalixcie, ja ciebie na klęczkach błagam...

To mówiąc, odstała parę kroków, gwałtowna walka wstrząsała całym jej ciałem i twarzą, ale w mgnieniu oka zgięła kolana i głowę uchyliła do stóp męża.

Graba zaśmiał się głośno, przeciągle.

— Ha! — zawołał — u nóg moich leżysz, dumna kobieto, która chciałaś walczyć ze mną, która odmawiała mi zawsze uścisku miłości... tak, wiem, że trzymam w ręku życie twojej matki...

Nie dokończył, bo otworzyły się drzwi zamkniętego pokoju i na progu stanęła pani G. Suknia jej była w nieładzie, siwe i długie włosy opływały ramiona, całe ciało drżało, jak w febrze.

Na ten widok Kamilla zerwała się z kolan, Graba umilkł i oboje stanęli, jak wryci.

Pani G. patrzyła na nich oczyma, które krwią nabiegły, i po chwili milczenia ozwała się ochryplym szeptem:

— Wszystko słyszałam!

Kamilla jęknęła głucho, Graba odstał parę kroków i oparł się o konsolę.

— Takież-to szczęście mojej córki! — mówiła pani G., wyciągając drżącą rękę, a słowa wydobywały się z ciężkością z jej gardła — takimuz to człowiekowi ją oddałam?...

Twarz jej cała zalała się ponsową falą krwi, konwulsyjnie zaciśniętą ręką uderzyła w pierś i strasznym głosem zawołała:

— Matko! cóżeś uczyniła z dzieckiem twojem!

Jednocześnie zachwiała się i upadła, a głowa jej głucho o próg się odbiła.

Kamilla z krzykiem rzuciła się ku niej.

Kalixt wybiegł z budoaru i, przebiegłszy salony, zawołał w przedpokoju:

— Doktora! czempredżé! Pani G. zasłabła!

Zaledwie to wymówił, dzwonek kilka razy dał się słyszeć u drzwi, i kilku mężczyzn weszło, śmiejąc się i rozmawiając.

W pół godziny potem, salony napełniły się gwarem dwudziestu głosów, lokaje roznosili na srebrnych tacach herbatę, owoce i trunki; drzwi budoaru były

zamknięte. Pan Graba powiedział gościom, że żona jego przed godziną dostała niespodzianie migreny, ale ponieważ pokoje jej dosyć są oddalone, spokojnie spoczywa zapewne.

* * *

Była pierwsza godzina po północy.

W przedpokoju mieszkania państwa Grabów, dwaj mężczyźni o poważnych i szlachetnych twarzach, śpiesznie nakładali paletoty, gotując się do wyjścia.

— Straszną scenę widzieliśmy, kolego, nie prawdaż? — rzekł cicho jeden z nich do drugiego.

— W istocie — była odpowiedź — śmierć tak nagle... i ta niema rozpacz córki! Ale należało się tego spodziewać. Powtórny atak apoplektyczny w tym wieku, jest prawie zawsze śmiertelny.

Gdy poważny doktor mówił to i, trzymając już jedną ręką za kłamkę, szukał jeszcze laski, otworzyły się drzwi salonów, i buchnął z nich potok rześistego światła i gwar wesołych głosów.

Obaj lekarze stanęli, jak wryci; na twarzach ich malowało się oburzenie, połączone z boleścią.

— Co za kontrast! — rzekł jeden. — Tam śmierć, a za ścianą hulanka.

— Wyjdźmy stąd copędzaj! — zawołał drugi, młodszy. — Zgroza mnie porywa i czuję ochotę pójść porozpędzać tych ludzi, którzy profanują śmierć i nie-szczęście!

— Oj, ludzie, ludzie! — westchnął starszy. —

Dalsze lata, młody mój kolego, nauczają cię z rozkoszą uciekać od nich, do naszych cichych gabinetów pracy i nauk, gdzie, trudząc się dla nich, z nimi do czynienia nie mamy.

Ze smutnie spuszczonei głowami, wyszli obaj pracownicy z mieszkania pana Graby.

* * *

W bawialnym salonie, przytykającym do budoaru, przy kilku zielonych stołach młodzi ludzie grali w karty, inni przechadzali się, paląc cygara i bawiąc się kawalerską pogadanką.

Przy jednym ze stolików stał bardzo młody, dwudziestoletni mężczyzna, z twarzą dziewiczej świeżości, z czarnemi ognistemi oczyma.

Wzrokiem, w którym widocznie po raz pierwszy, zapalała do gry namiętność, ścigał rękę bankiera, z niesłychaną szybkością przerzucającego karty na prawo i lewo.

— Wygrałeś, szczęśliwczu! — zawołał Graba, który bank ciągnął i kupę asygnat posunął do młodzieńca o czarnych oczach.

— Świetny początek! — ozwało się parę głosów.

Ale młody marszałkowiec X. nie wyciągnął ręk po wygrane pieniądze. Na twarzy jego ukazał się wyraz wahania. Odstąpił parę kroków i był bardzo blady.

— Nowicyuszu! — zawołał ze śmiechem głos jakiś — weź-że swoją wygraną! Możesz z niej zrobić

jaki dobry i chrześcijański użytek! Oddaj te pieniądze ubogim, na dom sierot na przykład!

— Albo podrzutków! — dorzucił ktoś dowcipny, a tym dowcipnym był podobno pan Jodek.

Kilkanaście głosów zaśmiało się, ale wybuch ten wesołości umilkł nagle, jakby go jakaś czarodziejska moc przerwała.

Drzwi budoaru otworzyły się i do salonu weszła Kamilla. Ręce jej bezsilnie zwiesiły się między fałdy czarnej sukni, warkocze w nieładzie opuszczone były na ramiona i czoło, dodając tém pośpyności twarzy śmiertelnie bladą.

Młodzież powstała z miejsc z wyrazem uszanowania i zdziwienia na twarzach.

Graba porwał się z miejsca i chciał postąpić ku żonie, ale zatrzymała go giestem i ozwała się z cichym, przerywanym płaczem:

— Przebaczcie, panowie, że wam mieszam zabawę... ale tam za ścianą jest śmierć... Matka moja przed godziną umarła... spodziewam się, że poszanujecie zmarłą i zechcecie się rozejść...

Umilkła, ale usta jej zostały półotwarte; zdawało się, że zabrakło jej siły do ich zamknięcia. Stała nierachoma, i suchym, pełnym niemój rozpachy wzrokiem, wodziła po twarzach obecnych.

Twarze te wyrażały rozmaite, ale przykre uczucia, ani jedna z nich nie została obojętną.

W oczach młodych marszałkowiczów X. błysnęły

łzy; inni to z oburzeniem, to z przerażeniem, to z podziwem patrzyli na gospodarza domu.

Graba nie stracił przytomności umysłu.

— Nagła słabość, panowie! — wyrzekł głosem pełnym żalu — kiedym dziś rano dom opuszczał, była zdrowa, zupełnie zdrowa! Nikt się tego nieszczęścia nie spodziewał, wiercie mi!

— Chcielibyśmy w to wierzyć — rzekło kilku mężczyzn, wychodząc z salonu.

Kilku innych zbliżyło się do Kamilli z pełnem szacunku i współczucia upewnieniem, iż, przychodząc tu, nie wiedzieli o chorobie jej matki, i całkiem mimowiednie zabawą swą ubliżyli jej boleści.

Kamilla nie odpowiedziała, zdawało się, że nie słyszała wcale ich głosów.

W przeciagu kilku minut, salon został zupełnie pusty.

Kiedy Graba wrócił z przedpokoju, dokąd przeprowadził swych gości, Kamilli już tam nie znalazł.

Stał na środku salonu i długo stał nieruchomie, a czarne myśli przesuwaly się mu po czole i oko gwałtownie mrugało.

Potem zawołał na lokajów, żeby gasili światła, a sam rzucił się na najbliżej stojący fotel.

Pogasły światła, tylko w salonie, w którym siedział pan domu, jedna paliła się lampa; milczenie głuche zaległo to, tak ożywione przed chwilą, mieszkanie, tylko z pokojów Kamilli dochodziły tłumione sze-

pty i westchnienia, czasem jedno łkanie, straszne boleścią bez granic, i posępna nuta pieśni żałobnej, śpiewanej nad umarłą przez jakąś pobożną sługę.

Noc minęła, lampa zagasła i szare światło wcho-
dzącego dnia, wdzierało się do salonu z po-za ciężkich firanek.

Pan Graba siedział jeszcze, z twarzą opuszczoną na dłonie.

Przez tę długą bezsenną noc, w sąsiedztwie ze śmiercią spędzoną, co działo się w myślach jego?

Ciemne musiały być one, bo, gdy odjął ręce od twarzy... błądy był wielką bladością zgryzoty i niemal przerażenia.

Koniec części drugiej.



